



CHRISTINE RIMMER

Uśmiech fortuny

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Maj powoli dobiegał końca. Tuż po ósmej niedzielnego ranka dwa wózki golfowe wjechały na miejsce, skąd gracze wybijali piłki do dziewiątego dołka. W pierwszym z nich siedzieli Tyler Murdoch i Spence Harrison. W drugim, zaraz za nimi, znajdowali się Flynt Carson i doktor Michael O'Day, ściągnięty z klubu, gdy okazało się, że Luke Callaghan nawalił.

Był to jeden z tych rzadkich idealnych poranków, kiedy temperatura sięga dwudziestu paru stopni, niebo zaś zamienia się w odwróconą do góry dnem błękitną misę, po której dryfuje jedna strzępiasta chmurka, a co najwyżej dwie. W górze, pośród drzew, gruchała para gołębi.

Kiedy mężczyźni wyjechali z cienia dębów, aleja lśniąca jeszcze ranną rosą była wprost nieprawdopodobnie zielona, jak gdyby nie z tego świata. Jaka głęboka, nasycona zieleń, myślał Flynt Carson. Zupełnie jak oczy Josie...

Zaklął pod nosem. Minął już prawie rok od chwili, gdy przysięgł sobie nie wracać do tej kobiety myślą. Tymczasem jej imię wciąż znajdowało drogę do jego pamięci.

- Mówiłeś coś? - Michael O'Day zatrzymał wózek tuż za Spence'em i Tylerem. - Nie słyszałem dokładnie, ale chyba wiem, o co ci chodzi. - Wykrzywił wargi w porozumiewawczym uśmiechu.

Flynt zakazał sobie zbędnych dywagacji i usiłował skupić się na grze.

- Nie mogę przeboleć tego ostatniego dołka. Gdybym się lepiej przyłożył, miałem szansę wyrównać. Tak, tak, muszę jeszcze nad tym popracować.

Michael zaśmiał się.

- Daj spokój, przynajmniej...

I wtedy Flynt usłyszał dźwięk, który absolutnie nie kojarzył się z golfem. A nawet więcej, na polu golfowym był nie do pomyślenia. Flynt podniósł rękę, żeby uciszyć Michaela, który sam wcześniej zamilkł.

Mężczyźni w pierwszym wózku także to usłyszeli i obrócili głowy. Dźwięk zabrzmiał po raz wtóry. Cichy, grymaśny płacz.

- Tam - wskazał Spence, pokazując gruby żywopłot, który zakrywał częściowo dom dozorca jakieś trzydzieści metrów dalej.

Czarne brwi Michaela rozdzieliła zmarszczka.

- Całkiem jakby...

Spence wyskoczył już na trawę.

- Cholera, to niemożliwe! Flynt także nie mógł w to uwierzyć.

Zamrugał powiekami i spojrzał ponownie w tamtą stronę.

Nic nie zmieniło się w polu jego widzenia. Tuż przy żywopłocie tkwił wyraźnie fotelik samochodowy dla dziecka. A na nim owinięte w puchaty różowy kocyk niemowlę wymachiwało małykami i zanosilo się płaczem.

Dziecko. Zupełnie samo. Na polu golfowym, którego twórcą był Ben Hogan, a które należało obecnie do klubu Lone Star.

- Co za idiota zostawia dziecko na polu golfowym? - Tyler

Murdoch zadał w zasadzie retoryczne pytanie.

Wysiadł z wózka, Flynt i Michael zrobili to samo.

W połowie drogi między wózkami a lamentującym maluchem mężczyźni zwolnili. Dziecko załkało jeszcze głośniejszym, i jeszcze gwałtowniej zamachało piąstkami.

Wszyscy czterej mężczyźni byli teksańczykami, wszyscy mieli szczupłe biodra i szerokie ramiona, byli wysocy i dumni. Przystanęli, dwóch z przodu i dwóch z tyłu, jakieś pięć metrów od dziecka. Trzech z nich brało wspólnie udział w wojnie w Zatoce Perskiej i wszyscy trzej zostali odznaczeni Srebrnym Krzyżem za odwagę. Czwarty, Michael O'Day, był prawdopodobnie najlepszym kardiochirurgiem w Teksasie. Całe swoje zawodowe życie poświęcił ratowaniu ludzi na sali operacyjnej, i zwykle w tej walce zwyciężał. Ojciec Flynta, Ford Carson, był jednym z jego beneficjentów, żywym świadectwem zdolności i stalowych nerwów doktora O'Daya.

I oto płaczące rozpaczliwie dziecko wprawiło owych czterech nieustraszonych mężczyzn w przerażenie. Świat uważał ich za bohaterów, ale żaden z nich nie miał żony ani dziecka. I żaden nie miał najmniejszego pojęcia, co, u diabła, począć z wrzeszczącym dzieciakiem.

Przystanęli więc, a dziecko darło się coraz głośniejszym.

Flynt i Michael zrobili krok do przodu, stając w jednej linii, ramię w ramię z dwoma pozostałymi mężczyznami. Wymienili spojrzenia, jakie mogą wymienić tylko bezdzietni, pozbawieni kobiecej pomocy kawalerowie w obliczu szlochającego niemowlaka.

- Może matka jest tu gdzieś - zaczął z nadzieją Spence.
- Gdzie? - spytał rozpaczliwie Tyler. - Schowała się w krzakach?

A może w jakimś budynku?

- No. To jest myśl.

Minęło kilka napiętych sekund, dziecko traciło siły, jego mała pomarszczona twarzyczka poczerwieniała, a rączki szalały.

I wówczas Tyler zabrał głos.

- Spence... - Wskazał głową w lewą stronę. - Ja pójdę w prawo.

Okążymy dom i rozejrzemy się po podwórzu za domem. Potem sprawdzimy, co jest wewnątrz.

- Tak jest. Wystartowali. Po kilku krokach Tyler odwrócił się i zawołał do kolegów przez ramię:

- Lepiej zobaczcie, co z tym małym.

Flynt nie chciał się sprzeczać. Miał już na końcu języka: Mowy nie ma, ty idź do dziecka, my sprawdzimy dom, ale spóźnił się i zostali z Michaeliem wrobieni w dziecko.

Michaelowi zrzędła mina. Flynt dałby głowę, że jego własna twarz jest lustrzanym odbiciem twarzy doktora. Ale czy mają, do cholery, jakiś wybór? Ktoś musi zająć się niemowlęciem.

- No to chodźmy - rzekł posepnie, kierując się w stronę samochodowego fotelika i jego nieszczęsnego pasażera.

Ledwie cień Flynta przykrył dziecko, płacz ustał. Cisza, która nagle zapadła, wydała się Flyntowi wprost nieogarniona. Nieogarniona i cudowna po tym nieludzkim wrzasku.

Dziecko zamrugało powiekami. Flynt po kolorze kocyka zgadł, że to dziewczynka. Jej żywe niebieskie oczy wpatrywały się w niego z wielkim napięciem. Trwało to chwilę, po czym dziewczynka poddała się, zamknęła powieki, otworzyła maleńkie usteczka i wydała z siebie

przeciągły, pełen złości szloch.

Flynt przykucnął obok dziecka.

- Hej, hej. No, już dobrze, nic się nie stało... Nie wiedział, co się dzieje. Mała mogła mieć mokro

albo być głodna. Z całą pewnością należało ją uspokoić i Flynt zamierzał się tym zająć. Wtem dojrzał niedużą kartkę papieru zapisaną niebieskim atramentem, przypiętą do kocyka. Zaczął więc od niej.

Kartka była zmoczona. Spadały na nią krople wody ze zraszanego żywopłotu i początek listu rozmył się kompletnie.

Tylko jedno udało się Flyntowi odczytać z pierwszych linijek listu. Było to imię dziewczynki: Lena.

- Hej, Lena. Jak się masz?

Szloch urwał się, dziecko czknęło i rozryczało się na nowo.

- Pokaż mi tę kartkę - odezwał się Michael, który stał nad nimi.

Flynt odpiął kartkę z kocyka i podał ją Michaelowi, potem spróbował wydobyć dziewczynkę z fotelika. Lena nie przestawała kopać i wymachiwać rękami.

Kocyk zsunął się z niej, pokazując niezbyt skomplikowany pas, którym mała była przypięta do fotelika. Pas biegł znad ramienia przez drobny tułów dziecka i zapięty był na klamerkę pod nogami. Flynt działał bardzo ostrożnie i w końcu delikatnie uwolnił Lenę z jej więzów.

W międzyczasie bez przerwy coś do niej mówił, żeby ją uspokoić, ale nie był w tym przekonujący.

- Hej, Lena, zaraz cię stąd wyjmemy. Wszystko będzie dobrze, no, już. Hej...

Cholera, jest taka maleńka. Jak Dziki Willi, kociak chuchro,

najsłabszy z miotu, którego znalazł kiedyś w stodole. A do tego o wiele bardziej bezbronna. Podłożył dłoń pod jej główkę w czarnych loczkach. Parę lat wcześniej czytał to i owo o opiekowaniu się dziećmi. Było to przed wypadkiem, kiedy Monica nareszcie zaszła w ciążę i Flynt miał zostać ojcem. Śmiał nawet sądzić, że będzie z niego całkiem dobry ojciec, taki jak jego własny. Z tamtych to czasów zapamiętał, że należy podtrzymywać główkę maleństwa, które jeszcze nie potrafi samo jej utrzymać.

Lena przestała płakać, gdy tylko wziął ją na ręce. Znowu mrugała powiekami, starając się skoncentrować na jego twarzy. Flynt jak przez mgłę przypominał sobie, że czytał też chyba, iż takie małe dzieci widzą ludzkie twarze tylko z bliska i przywiązują się do tych dorosłych, którzy trzymają je na rękach. Dziewczynka patrzyła na niego.

Tak, naprawdę patrzyła.

- Lena... - wyszeptał łagodnie, delektując się tym dźwiękiem.

Dziewczynka puściła głośnego bąka i skrzywiła się przezabawnie. Flynt przytulił ją, a ona umościła się wygodnie. Była ciepła, maleńka i miękka. Cudownie było czuć przy sobie jej drobne ciało. No i na szczęście zamilkła. Przynajmniej na razie.

Flynt podniósł się i odwrócił do Michaela, który właśnie mówił do niego:

- Stary, masz dobrą rękę do dzieci.

Flynt przemilczał to, bo cóż miał powiedzieć? Pozostali dwaj mężczyźni wychynęli tymczasem z krzaków.- Nic nie znaleźliśmy - oznajmił Spence. - Jeśli matka tu była, to już jej nie ma.

Tyler zmarszczył czoło.

- A co z tą kartką przypiętą do kocyka? Michael wręczył mu ją.

Tyler zaczął czytać na głos:

- „Jestem twoją córeczką. Na imię mam Lena...” - Przekazał kartkę Spence'owi. - No, świetnie. To czyja to córeczka?

Spence bacznie wpatrywał się w kawałek papieru.

- Musiało tu być czyjeś imię, ale teraz został tylko kleks.

Tyler potrząsnął głową.

- No, świetnie. Nie wiemy, kto ją tu podzucił ani kto miał ją znaleźć.

Przez chwilę żaden z nich nie powiedział słowa. Lena, wciąż w ramionach Flynta, czknęła, a potem westchnęła. Czuł, jak unosi się jej klatka piersiowa, jej ciepły oddech uderzył w jego koszulę.

Michael przerwał w końcu ciszę.

- Tak czy owak uważam, że jedno z rodziców powinno się nią zainteresować. Przecież tu jest wyraźnie napisane: „Jestem twoją córeczką”.

Spence pokiwał głową.

- Tylko że mnie się wydaje, że ten ktoś, ten adresat listu, czy to kobieta, czy mężczyzna, nie ma zielonego pojęcia, że ma córeczkę.

- Bardzo ciekawa hipoteza! Kobieta, która nie wie, że urodziła dziecko! - zachnął się Michael. Spence uniósł ramiona w obronnym geście.

- No więc prawdopodobnie adresatem jest ojciec.

- Ojciec - dodał Tyler - który nie wie, że został ojcem.

Michael uniósł brwi z namysłem.

- Wy trzej spotykacie się w klubie w każdą sobotę, prawda?

Zaczynacie o szóstej piętnaście i zawsze około ósmej jesteście w tym miejscu, obok dziewiątego dołka. A, i jeszcze Luke Callaghan.

Znowu zapadła cisza, tym razem dość brzemienne. Flynt ledwie to zauważył. Nie wiedział, co myślą inni i wcale go to nie obchodziło.

Jego myśli ruszyły galopem.

Cholera. Czy to możliwe?

Niebieskie oczy, czarne włosy...

Nie, to się nie zgadza, przynajmniej jeśli chodzi o Josie. Jej włosy są barwy księżyca, oczy zaś nie do zniesienia, niezapomniane, zielone.

Flynt miał włosy piaskowe. A zatem pasował tu tylko kolor jego oczu, niebieski jak u jego matki i brata. No ale z drugiej strony podobno wszystkie dzieci mają po urodzeniu niebieskie oczy.

Ile miesięcy może mieć ta mała? Przypuszczalnie dwa czy coś koło tego, o ile w ogóle był w stanie to ocenić. Czyli, jeśli chodzi o czas, wszystko by się zgadzało.

Bardzo ostrożnie położył dziecko przed sobą. Lena ziewnęła i wsadziła piąstkę do buzi, a następnie wyjęła ją i bacznie studiowała. Miała przy tym dość nieokreślony wyraz twarzy, z której poza wszystkim biła jakaś mądrość.

Przypominała... dziecko. Mała i pulchna, z zadartym nosem i maleńkimi różowymi usteczkami w ciup. Nie, nie mógłby uczciwie stwierdzić, że jest podobna do niego albo do Josie Lavender. Nie, cholera.

A równocześnie nie mógł tego wykluczyć.

Jednej jedynej zakazanej nocy z Josie pozwolił sobie na pewną nonszalancję. Schrzanił tę noc po królewsku i z pompą, i to na wiele sposobów.

Ale dlaczego? Czemu, do diabła, Josie miałyby mu to zrobić? Takie nieodpowiedzialne, szalone zachowanie nie pasuje do niej, nie tak zawiadomiłaby go, gdyby został ojcem. Nie, to zupełnie nie w jej stylu.

A mimo to jakoś się to wszystko składa do kupy.

Po tamtej nocy wyrzucił ją w zasadzie i nie widzieli się od tamtej pory. Josie wyjechała z miasta i wróciła dopiero parę tygodni temu. Zresztą tylko o tym słyszał. Krążyła pogłoska, że jej matka zachorowała i Josie przyjechała się nią zaopiekować. Żadna plotka czy pogłoska nie wspominała wszakże o dziecku.

Flynt delikatnie wziął znowu małą na ręce. Przelotnie spotkał się wzrokiem z Tylerem i natychmiast obaj odwrócili się od siebie. Spence wciąż wlepiał oczy w list. Michael skupiony przenosił spojrzenie z Tylera na Flynta i dalej na Spence'a. Wszyscy zachowują się trochę jakby... Jakby się zdenerwowali? Wystraszyli? - myślał Flynt.

Czyżby każdy z nich, podobnie jak on, podejrzewał, że list jest adresowany do niego?

Nie wiadomo, cholera. Cokolwiek przechodzi im przez myśl, Flynt wiedział już, co ma robić.

W gęstwinie drzew niedaleko alei gołębnie podjęły zaloty. Jakiś żółto upierzony ptak wykonał kilka skoków na trawie i poderwał się do lotu, znikając w czeluściach ogromnej magnolii.

Flynt zabrał głos:

- Słuchajcie, wezmę tę małą na ranczo, dopóki nie dowiemy się, o co tu, do diabła, chodzi.

Pozostali mężczyźni patrzyli teraz na niego, jakby właśnie oświadczył im, że zamierza obrabować bank i wziąć kilku niewinnych

zakładników.

Po dość znaczącej ciszy Spence zapytał ogólnie:

- Co powiedziałaś, stary?

No i Flynt musiał wszystko powtórzyć. Spence wyraźnie się przestraszył.

- To bardzo zły pomysł, mówię ci, z masą poważnych, prawnych konsekwencji. - Spence był prawnikiem, prawdę mówiąc piastował urząd lokalnego prokuratora okręgowego. - Przykro mi, stary. Nie ma mowy, żebyś zabrał dziecko do domu.

Flynt trzymał maleństwo w opiekuńczych ramionach.

- Zobaczymy.- Poczekaj - radził Spence. - Przemyśl to.

- Już przemyślałem - oznajmił Flynt zgodnie z prawdą.

Myślał o Josie Lavender. Jeśli to ona porzuciła dziecko w taki sposób, może słono za to zapłacić. Oczywiście zakładając, że Lena jest jej córką, czyli także jego córką. A jeżeli tak, Flynt ma przecież do niej wszelkie prawa.

- Daj spokój, Flynt - ciągnął Spence. - Wiesz, że musimy zawiadomić policję. Musi tu przyjechać ktoś z Towarzystwa Opieki nad Dziećmi i zabrać małą.

- Nie ma takiej potrzeby, już mówiłem. Ja się nią zaopiekuję.

- A ja ci mówiłem...

- Dobra - wtrącił Flynt, nim Spence dokończył zdanie. -

Wyłuszcze ci, jak jest. Otóż mam powód, żeby sądzić, że to ja jestem adresatem tego listu. A co za tym idzie, dziecko jest moje.

Gołębnie zamilkły. Cisza poniosła się echem. Każdy z czterech stojących tam mężczyzn unikał, jak tylko mógł, wzroku pozostałych.

Nad ich głowami przeleciał mały dwusilnikowy samolot, który wystartował z wąskiego pasa w Mission Ridge, kilka kilometrów od pola golfowego. Tyler odchrząknął donośnie. Michael wbił wzrok w swoje buty. Spence podniósł oczy na samolot, a potem spojrzał na Flynta, by po krótkiej chwili znowu zmienić obiekt. Flynt zniecierpliwiał się tymi wszystkimi błędzącymi spojrzeniami.

- Macie coś do powiedzenia, to wyplujcie to.

- Dobra - pierwszy odezwał się Tyler. - Pytanie.

- Strzelaj.

- Ile miesięcy ma ta mała według ciebie? Za Flynta odpowiedział Michael.

- Moim zdaniem jakieś osiem tygodni, mogę się mylić o tydzień w tę lub w tą.

- Czyli mówimy o minionym lecie, tak? Czerwiec albo lipiec? Ewentualnie sierpień?

Michael przekrzywił na bok głowę.

- Chodzi ci o moment poczęcia? Tyler skinął głową.

- Taa. To by się zgadzało.

- No to dobra. - Tyler odgarnął z czoła czarne włosy. - Sądzę, że to dziecko może być moje.

Michael wydał z siebie dziwny gardłowy dźwięk.

- Wiesz, co ci powiem? Może też być moje. Chociaż z naszej czwórki pewnie najtrudniej by mnie podejrzewać. Mało kto wiedział, że zjawię się tu dzisiaj, żeby pobawić się w chowanego.

- Dobra - rzekł na to Spence.

- Co dobra? - dopytywał się Tyler.

- Włączcie mnie do swojego grona potencjalnych ojców, ja też nie jestem świętoszkiem.

- A co w takim razie z Lukiem? - przypomniał im Tyler. - On też jest w każdą niedzielę o ósmej przy dziewiątym dołku, no, chyba że coś mu wypadnie. Nie uprzedzał mnie telefonicznie, że dzisiaj go nie będzie.

- Ani mnie - przyznał Spence.

- Dobra - rzekł Flynt. - Czyli nie przyszedł ani nie zadzwonił.

- Co nie znaczy, że można go wykluczyć - uznał Tyler. - Ten, kto zostawił dziecko, mógł z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że Lilke tu będzie. Czyli trzeba go wziąć pod uwagę, choćby na razie. List może być równie dobrze do niego. Może być do każdego z nas.

- Super! - Flynt tulił Lenę z wielką czułością. - No super. Więc to może być jeden z lias. To może być Luke, ale też może to być każdy inny facet. Tak czy owak, zabieram dziecko do domu.

Spence zawiesił na nim poważne spojrzenie, po czym westchnął głośno zrezygnowany.

- I nie dasz się przekonać?

- Dobrze mnie zrozumiałeś.

- Do diabła...

- Mów do mnie jeszcze.

- Dobra. Zgodzisz się na kompromis?

- Zależy.

Spence wyłożył mu swój pomysł.

- Mógłbym zasięgnąć języka tu i tam- Wziąłbyś ze sobą małą, ale mowy nie ma, żebyś wymigał się od przesłuchania. Powiedzmy sobie od razu: przesłuchań. Klub znajduje się w granicach miasta, ale ostatnio

wtrącają się tu władze okręgu. Od czasu kłopotu w Men's Grillu.

Kłopot to był eufemizm. Kilka miesięcy wcześniej skorumpowana grapa notabli z Mission Creek wysadziła w powietrze Men's Grill, bar dla golfistów znajdujący się na parterze głównego budynku klubowego. Niestety, nie udało im się spełnić swoich zamiarów i zabić przy okazji człowieka, który chciał ich wydać. Teraz właśnie bar odbudowywano. Za to posterunek policji w Mission Creek, jeśli chodzi o stan osobowy, znajdował się w dość opłakanym, szczątkowym stanie, ponieważ wielu z jego pracowników wylądowało za kratkami.

- Co ty gadasz, Spence? Że będę musiał rozmawiać z szeryfem?

- To wielce prawdopodobne. I jeszcze z kimś z naszej policji. I z Towarzystwa Opieki nad Dziećmi. Trzeba przez to przejść, krok po kroku.

- Szeryf... - powtórzył Flynt.

Szeryfem w ich okręgu był jeden z Wainwrightów, a konkretnie Justin Wainwright. Wainwrightowie nigdy nie byli mile widziani na ranchu Carsonów.

- Przykro mi - rzekł Spence. - Ale biuro szeryfa będzie się tym interesować.

- Mam to gdzieś.

- Lepiej tego nie lekceważ, jeśli nie chcesz, żeby aresztowali cię za uprowadzenie czy z jakiegoś równie przyjemnego paragrafu. Lepiej żebyś miał ich wszystkich po swojej stronie. W tej samej chwili Lena poruszyła się w ramionach Flynta i westchnęła. Było to słodkie, ciche westchnienie. I nagle perspektywa wizyty Wainwrighta na ranchu nabrała bardzo dużego prawdopodobieństwa. Niech będzie, co ma być, pomyślał Flynt.

- Pomożesz mi? Spence uniósł ramiona.
- Zrobię, co mogę.
- Nie będę tu siedział, żeby policja, szeryf czy Bóg wie kto tam jeszcze zaczął węszyć w klubie. Niech przyjadą na ranczo i tam ze mną pogadają, jeśli uznają to za konieczne.

- Chyba da się to jakoś zaaranżować.
- Poza tym nikomu ani słowa, o ile to możliwe.
- Postaramy się.
- Postarajcie się na serio. Życzę sobie, żeby to pozostało między nami.

- Flynt wciąż myślał o Josie, chciał ją uchronić przed skutkami plotek. Bo gdyby sprawa wyszła na jaw... Cóż, nikt jakoś nie lubi kobiet, które porzucają dzieci i znikają. Josie przeszła już swoje we wczesnej młodości, i jak dotąd mieszkańcy Mission Creek trzymali jej stronę. Byłoby fatalnie, gdyby stała się teraz obiektem pogardy miasta.

- Nie puszcze pary z ust, chyba że będę musiał - oświadczył Spence.

- Dobra - przystał Tyler. - Ja na pewno będę milczał.
- Nie ma sprawy - włączył się Michael. - Jeśli o mnie chodzi, wszystko zostaje między nami. Flynt patrzył po kolei na swoich towarzyszy.

- Świetnie. Czyli Lena zostaje ze mną, dopóki nie znajdziemy jej matki.

Spence wykrzywił się z żalem.

- Musisz przekonać do tego jeszcze kogoś. Flynt pojął go w lot.
- Opiekę społeczną.
- Tak jest.

- Jasne - rzekł Flynt cicho. Dziewczynka zaczęła znów kwilić. Poklepał ją delikatnie po plecach. - Powiedz mi, czego chcesz?

ROZDZIAŁ DRUGI

Historia klubu golfowego Lone Star sięga wstecz do roku tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego. Jego fundatorami byli pradziadek Flynta, Big Bill Carson oraz J.P. Wainwright, którego ranczo sąsiadowało z ranczem Carsonów.

W owym właśnie czasie obie posiadłości tak się rozrosły, że spotkały się na wspólnej granicy. I wokół niej właśnie Big Bill i J.P. wycięli ze swojej ziemi po około czterysta hektarów z każdej strony i stworzyli na niej klub golfowy.

Cztery lata później najstarszy syn Billa złamał serce Lou Lou, ukochanej córce J.P., i Lou Lou się utopiła. J.P. ścigał młodzieńca z bronią, z której ostatecznie postrzelił Big Billa. Roztrzaskał mu obie nogi, a przy okazji przeciął więzy przyjaźni, które łączyły ich przez trzy dziesięciolecia.

Od tamtej pory żaden Carson nie nazwał żadnego Wainwrighta swym przyjacielem. Spór między rodzinami był gorzki. Obfitował z obu stron w paskudne sztuczki i podchody, i zakorzenił się tak głęboko jak dumne dęby, które rosły wzdłuż podjazdu do budynku klubowego o strzelistej fasadzie, zbudowanego z różowego granitu.

Obydwa rancza rosły w potęgę, nie tracąc nic ze swojej powierzchni. Obie rodziny należały do najbardziej wpływowych w południowym Teksasie, w pobliskim miasteczku Mission Creek oraz w

klubie stworzonym przez swoich przodków.

Przedstawiciele obu rodzin siadywali w zarządzie klubu, utrzymując na owym neutralnym gruncie nie do końca spokojne zawieszenie broni.

W obecnej kadencji prezesem klubu był Flynt. Dziś cieszył się, że przyjął tę nominację, ponieważ dawała mu ona władzę. Pracownicy klubu bez zbędnych pytań wykonywali jego polecenia.

Gdy tylko udało się wypracować kompromis, Flynt wsadził Lenę do fotelika samochodowego, ten zaś przymocował do golfowego wózka. Michael usiadł za kółkiem i zawiózł ich do głównego budynku klubu.

Początkowo Flynt zamierzał udać się natychmiast na ranczo, ale mała nie przestawała płakać. Była głodna albo należało jej zmienić pieluchę. Postanowił zatem najpierw dowiedzieć się, co jej dolega, a następnie podjąć kolejne kroki. Wszedł do budynku tylnym służbowym wejściem.

W połowie schodów, w drodze na piętro, Flynt spotkał jedną z pokojówek. Kazał jej znaleźć Harveya Smaila, nowego kierownika klubu, którego niedawno zatrudnił, i przekazać mu, że Flynt Carson chce go natychmiast widzieć w biurze Harveya.- Tak, panie Carson. Już się robi.

Pokojówka pomknęła posłusznie spełnić jego polecenie. Lena uderzyła w głośny szloch. Flynt wymruczał kilka uspokajających słów i sam pognął na górę.

W biurze Harveya wyjął małą z fotelika i wziął ją na rękę. Ucichła nieco, kiedy głaskał ją po plecach, ale na krótko, minutę czy dwie. Potem wszystko zaczęło się od nowa. Kiedy Harvey wpadł do pokoju, Flynt miał za sobą pięciominutową przechadzkę, podczas której robił wszystko, żeby uciszyć Lenę i poniósł porażkę.

Na widok dziecka Harvey wybełkotał coś niezrozumiale. Flynt wypytał go dokładnie w kwestii pieluch, chusteczek i odżywki dla dzieci. Tak, powiedział Harvey, dysponują takimi rzeczami na wszelki wypadek, gdyby ktoś z gości potrzebował ich dla swoich dzieci.

- No to przynieś mi je. Ale szybko. I każ podstawić mojego pickupa pod wyjście służbowe. Ma tam być za dziesięć minut, z włączonym silnikiem. Nie chcę wychodzić głównymi drzwiami, rozumiesz? A ty i pokojówka, którą po ciebie posłałem, ani pary z ust.

- Tak, oczywiście, Flynt. Możesz liczyć na naszą całkowitą dyskrecję w tej sprawie. My...

- Świetnie. No to pędź.

Harvey wrócił z tą cholerną paczką pieluch po jedenastu minutach i trzydziestu czterech sekundach. Lena tak się już darła, że prawie nie starczało jej sił i czasu na oddychanie. W biurze kierownika klubu znajdował się kącik kuchenny z granitową ladą, kuchenką mikrofalową i zlewozmywakiem z nierdzewnej stali. Flynt posłał tam Harveya, by zajął się butelką, a sam zabrał się do zmiany pieluchy. Poradził sobie jakoś, chociaż uznał, że w życiu zdarzały mu się przyjemniejsze zajęcia. Harvey również stanął na wysokości zadania. Domyślił się, jak napełnić butelkę i zagrzał ją do odpowiedniej temperatury, żeby nie była za gorąca.

Teraz czekało ich karmienie. A jako że przewód pokarmowy Leny pracował jak należy, więc zaraz po jedzeniu trzeba było znowu zmienić pieluchę. Kiedy i to zostało wykonane, Flynt stwierdził, że może bezpiecznie ruszać na ranczo.

Był przekonany, że nikt nie widział, jak schodzili do służbowego wyjścia. Kierowcy, który podstawił mu samochód, wręczył dwadzieścia

dolarów i odesłał go do Harveya. Już Harvey mu wytłumaczy, że każdy, komu wypnie się jakaś niestosowna uwaga na temat pana Flynta wymykającego się tylnym wyjściem z jakimś niemowlakiem, stawia pod znakiem zapytania swoją dalszą pracę w klubie.

Lena przespała smacznie całą drogę. Pickup Flynta miał rozbudowaną kabinę, toteż Flynt ustawił fotelik z małą na tylnym siedzeniu. Co i rusz odwracał głowę i zerkał na nią. Wyglądała tak słodko. Główka opadła jej nieco na bok, jedwabisty czarny loczek spadł na pyzaty policzek. Flynt zadzwonił na ranczo z komórki. Telefon odebrała gospodyni. Flynt poprosił do aparatu Grace, swoją matkę. Miał szczęście, bo była jeszcze w domu.

- Flynt? O co chodzi?

- Mamo, potrzebuję twojej pomocy.

- Co się stało? - Z miejsca się zdenerwowała. Od roku nie tknęła alkoholu, ale była jego matką, a matki mają to do siebie, że się martwią. - Czy ty...

- Nic mi nie jest, mamo. Jestem trzeźwy jak abstynent. Zrobisz coś dla mnie?

- Nie rozu...

- Wyjaśnię ci wszystko, jak dojadę do domu, czyli za jakieś dziesięć minut.

- Och, Flynt. Jesteś pewny, że...

- Mamo! Mogę na ciebie liczyć? Nastąpiła chwila ciszy.

- Przecież wiesz, nie musisz pytać. Uśmiechnął się.

- Świetnie. Zaraz będę.

Czekała na niego na ganku. Pulchna, ładna kobieta w swojej

najlepszej niedzielnej sukience, z przyprószonymi siwizną, przyciętymi do brody jasnymi włosami i pełnymi dobroci niebieskimi oczami, zacienionymi teraz troską.

Zbiegła z kamiennych schodków i stanęła u drzwi pickupa, zanim Flynt zdążył na dobre zaparkować. Wkrótce wysiadł i odpiął fotelik Leny. Grace nie wyrzekła słowa. Flynt zostawił auto przed domem i razem z matką wszedł do środka. Grace śpieszyła przodem, Flynt z Leną i jej rzeczami sunął za nią.

Zajmował jedno skrzydło domu. Ruszyli wprost do jego części budynku, jakimś cudem nie wpadając na nikogo ze służby ani rodziny. Kiedy zbliżyli się do salonu, matka wepchnęła syna do środka. Zatrzęsnęła drzwiami i spojrzała na niego.

Wciąż nic nie mówiła. Nie musiała. Flynt doskonale widział wszystko w jej oczach.

Skończył trzydzieści cztery lata, od wielu lat do pewnego stopnia odpowiadał za ranczo. Na jego barkach spoczywały też inne interesy Carsonów, między innymi ropa, inwestycje w miejscowych plantacjach cytrusów i pewne lukratywne nieruchomości na wybrzeżu. Miał już za sobą wojnę i małżeństwo. Owdowiał i toczył walkę z alkoholem, którą zaczynał powoli wygrywać. Ale teraz, kiedy Grace Carson patrzyła na niego takim wzrokiem, czuł się znowu jak dziesięcioletek, który mocno nabroił.

Położył śpiącą Lenę na orientalnym dywanie u swoich stóp, rzucił na stolik paczkę pieluch i na siłę rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Wybierałaś się, zdaje się, do kościoła, mamó? Grace nie spuszczała z niego wzroku przez jakieś

dwadzieścia sekund. W końcu odezwała się:

- Pan będzie musiał poczekać na mnie tej niedzieli. Nic nie szkodzi. On jest nieskończenie cierpliwy, a ja nie. O co tu chodzi, Flynt? Niczego przed matką nie ukrywał, powiedział jej zatem wszystko - no, może prawie wszystko - o tym, jak znalazł Lenę na polu golfowym i o liście przypiętym do kocyka.

Grace z miejsca przeszła do rzeczy.

- A więc uważasz, że to twoje dziecko?

- Nie wykluczam tego, mamie - wyznał.

- Cóż, jeśli ty jesteś ojcem, to kto jest matką? Spodziewał się tego pytania, a jednak niełatwo mu

było na nie odpowiedzieć.

Grace знала Josie Lavender, co więcej, bardzo ją lubiła. Cztery lata temu Josie przyjechała do nich do pracy. Miała wówczas dziewiętnaście lat. Niedługo jednak była pokojówką. Po roku, dzięki swojej ofiarności, zdolnościom organizacyjnym i oddaniu została gospodynią. Grace, tak jak reszta rodziny, ufała jej, polubiła ją i obdarzyła szacunkiem. I wówczas, w minionym roku, Josie zniknęła bez słowa.

Grace do tej pory miała jej to za złe. - Flynt chciał jakoś załagodzić sprawę, tłumaczył matce, że Josie zniknęła z ich życia z powodu istotnych problemów rodzinnych.

Takie niejasne wyjaśnienia nie satysfakcjonowały Grace. A Flynt wyrzucał sobie, że matka ma Josie za złe coś, do czego sam się przyczynił. Wiedział też, że gdyby podał matce prawdziwy powód nagłego wyjazdu gospodyni, pogorszymy tylko sytuację.

Tak więc milczał i nienawidził się za to.

- Flynt, pytałam cię, kim jest matka tego dziecka?
- Nie mogę tego stwierdzić na sto procent. Jeszcze nie.
- No cóż... To może podzieli się ze mną przynajmniej swoimi

przypuszczeniami.

- Mamo, powiedziałem ci wszystko, co mogę. I proszę cię, żebyś mi pomogła zaopiekować się tym dzieckiem. Prosiłbym też o dyskrecję.

Mogę na ciebie liczyć?

Grace przybyło nagle lat.

- Powiedz mi wprost. Pomożesz mi czy nie? - nalegał.
- Och, Flynt. Doskonale wiesz, że nie musisz mnie o to prosić.

Grace podjęła zatem obowiązki niani. Po jakiejś godzinie na ranczu zjawił się detektyw Hart O'Brien z komendy policji Mission Creek, przyjaciel Spence'a. Hart rozmawiał już ze Spence'em, dostał od niego zalany wodą list. Na ranczu wysłuchał zeznań Flynta, po czym spytał go, dlaczego Flynt chce zatrzymać porzucone niemowlę pod opieką.

Flynt przyznał więc, że nie może wykluczyć, iż jest ojcem Leny. Wtedy detektyw O'Brien zadał mu to samo pytanie, które wcześniej zadała mu Grace.

- A zatem, kto według pana jest matką? Flynt zaczął asekurancko kluczyć.

- No wie pan, jeśli mam być szczery, nie jestem do końca pewny, czy to moje dziecko. Nie chciałbym pakować w kłopoty jakiejś niewinnej kobiety. Muszę się więc dowiedzieć, czy Lena jest moja, a jeśli tak, to chyba wszystko jest w porządku. Przeszła tylko z rąk jednego rodzica do rąk drugiego. A jeżeli nie jest moją córką... no, to nikt nie ma prawa wypytywać mnie, z kim spędzam czas. Zgadza się?

Flynt widział, że Hart dostrzega jego wykręty, mimo to odpowiedź detektywa dała mu nadzieję.

- No dobrze. Jedno jest pewne, że dziecko będzie tu miało dobrą opiekę. Spence mówił, że kontaktował się z Towarzystwem Opieki nad Dziećmi, a także z biurem szeryfa.

- Taa. - Flynt spojrział na swojego gościa. - Taki mieliśmy zamiar.

- Reprezentanci obu agencji powinni niedługo się tu zjawić.

- W porządku.

- Pozwoli pan, że poczekam? Chciałbym wiedzieć, jak pracownik socjalny zareaguje na tę sytuację.

Niecałe pięć minut później na ranczo przyjechała przedstawicielka Towarzystwa Opieki nad Dziećmi, szczupła kobieta o łagodnym głosie. Wręczyła Flyntowi swoją wizytówkę.

- Eliza Guzman - przedstawiła się. - Będę się zajmowała sprawą Leny.

- Bardzo mi miło.

Kobieta zbadała dziewczynkę i obejrzała dokładnie dom i najbliższą okolicę. - Będzie pan musiał przygotować dla niej pokój - stwierdziła.

Flynt pokazał jej pomieszczenie, które sąsiadowało z jego sypialnią. Dwa i pół roku wcześniej urządzono tam pokój dziecięcy, z kołyską i stolikiem do przebierania, koszem zabawek, stosem kocyków i pieluch. Kolorowe malunki pokrywały jasnozielone ściany. Po wypadku Flynt kazał wynieść wszystkie rzeczy do piwnicy, gdzie pozostawały do tego czasu.

Nie wchodził w szczegóły, poinformował tylko swojego gościa:

- W tym domu przyszło na świat wiele pokoleń. Dysponujemy

wszystkim, co jest potrzebne dziecku, trzymamy te rzeczy na dole. Każę natychmiast przynieść je i urządzić pokój dla Leny.

Przedstawicielka Towarzystwa Opieki nad Dziećmi chciała także wiedzieć, jak Flynt, bardzo zapracowany właściciel rancza i biznesmen, zamierza opiekować się maluchem, który wymaga doglądania przez okrągłą dobę.

- Zatrudnię nianię. Na razie moja matka zgodziła zająć się Leną, kiedy mnie nie będzie.

Kobieta uśmiechała się i kiwała głową.

- Czy zechce pan poddać się badaniu krwi na ojcostwo, skoro istnieje co do tego wątpliwość?

- Zrobię wszystko, co konieczne.

- No to w porządku. - Wyjęła z torby kartkę i podała mu ją. - Ma pan tu nazwę laboratorium w mieście, gdzie pobiorą panu krew. Może pan wpaść tam jutro, powiedzmy tuż po dwunastej? Umówię pana.

- Po dwunastej. Tak, będę.

- Dobrze. Próbkę krwi zostanie wysłana do badania, wynik otrzymamy w ciągu dziesięciu, dwudziestu dni roboczych.

- Znakomicie.

- Oczywiście, musi pan zabrać ze sobą dziecko, żeby mogli pobrać krew także od niej.

- Nie ma problemu.

Flynt był przekonany, że kobieta pozwoli mu zatrzymać niemowlę. Przynajmniej do czasu, gdy otrzymają wyniki badania. Nim jednak Eliza Guzman zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozdzwonił się telefon wewnętrznej linii.

Gospodyni poinformowała Flynta, że zastępca szeryfa czeka na niego w holu.

Zastępca, pomyślał z ulgą Flynt. Czyli nie będzie musiał kłaniać się i salutować przed żadnym Wainwrightem.

Podjął swoich oficjalnych gości kawą i słodkimi bułeczkami w salonie i odpowiedział na wszystkie pytania prócz jednego, które dotyczyło tożsamości matki. Obiecał, że zdradzi tę informację po otrzymaniu pozytywnych wyników badania krwi. Flynt czuł przychylność detektywa i pracownicy socjalnej, nie miał więc też problemu ze zdobyciem poparcia zastępcy szeryfa. Prawie po godzinie od przyjazdu zastępcy goście pożegnali się. Zdobyli dość materiału do raportów i zgadzali się wszyscy, że porzucona dziewczynka o imieniu Lena zostanie pod opieką Flynta Carsona do momentu, kiedy wyjaśni się sprawa ojcostwa.

Flynt odprowadził gości do samochodów. Właśnie minęła dwunasta. Piękny, łagodny poranek zamieniał się w prażące popołudnie, typowe w Teksasie o tej porze roku. Flynt przystanął w cieniu wyniosłego dębu, zasadzonego przez jego prababkę, i patrzył na kurz unoszący się spod kół odjeżdżających samochodów.

Jego pickup wciąż stał przed domem. Ten model wyposażony został w całą masę luksusowych gadżetów, a na dodatek miał silnik naprawdę sporej mocy. Taką zabawką można sobie pojeździć. Flynt miał ochotę wskoczyć do wozu i nacisnąć gaz, i z rykiem silnika pognać do miasta.

Wiedział, gdzie szukać Josie. Zacząłby od domu jej matki. Gdyby nie zastał jej u Alvy, miał niezły pomysł, gdzie próbować dalej.

Wpadło mu do uszu, że kiedy matka Josie wyszła ze szpitala, Josie

zatrudniła się jako kelnerka w Mission Creek Cafe, która od dziesiątków lat mieściła się niedaleko rogu Main i Mission Creek Road, w samym centrum miasta. Podawano tam proste domowe potrawy. I jeśli się nie myli, kafejka była czynna siedem dni w tygodniu, do ósmej albo dziewiątej wieczorem. Interes kręcił się tam najlepiej w dni robocze, ludzie wpadali wtedy na śniadanie i na lunch. Josie, jako nowa, pracuje zapewne w weekendy, myślał.

Dotarłby do miasta w ciągu pół godziny, a nawet szybciej, biorąc pod uwagę, że nie oszczędzałby opon.

A może jednak nie...

Gdyby pokazał się teraz w kafejce, gdyby o nią pytał, sprowokowałby plotki. Wizyta w domu jej matki w biały dzień była też dość ryzykowna. W końcu Flynt jest Carsonem, bogatym człowiekiem, który posiada władzę w tej społeczności. A Josie jest młoda, ładna i biedna. Ludzie zaczęliby gadać, że taki gość jak Flynt Carson może szukać takiej dziewczyny jak Josie Lavender wyłącznie z jednego powodu.

Jakiś głos szepnął mu: No i co z tego? Czemu by jej teraz nie poszukać? Kiedy prawda wyjdzie na jaw, i tak wszyscy się dowiedzą...

Zignorował ten głos. Ten głos szukał usprawiedliwienia dla jego zachcianek i wcale nie przejmował się Josie.

Lepiej poczekać, aż się ściemni, niech to rozegra się tylko pomiędzy nimi. Przynajmniej tyle jest jej dłużny.

Do diabła. Był jej dłużny więcej. Dużo więcej. Starał się jej jakoś wynagrodzić to, co się stało, tymi dziesięcioma tysiącami dolarów, które wcisnął jej do ręki, kiedy wyjeżdżała. Wtedy je wzięła, ale po pół roku

przysłała mu czek na okaziciela, zwracając pieniądze co do grosza. Czek przyszedł z Hurst w Teksasie, z okolicy Dallas Fort Worth. Flynt wiedział to z pieczętki na kopercie.

Patrzył wtedy na tę pieczętkę i czuł się dokładnie tak jak w tej chwili. Czuł, że zna drogę do Josie, że znajdzie ją, jeśli zechce.

A chciał tego. Chciał tak bardzo - nie, bardziej niż pragnął wziąć następny oddech.

Ale nie zrobił tego. I nie robi. Ani wtedy, ani teraz. Na pewno nie do wieczora.

Zerknął na zegarek. Ledwo minęło wpół do pierwszej. Ma przed sobą długi dzień, nie kończące się godziny, aż będzie mógł do niej pojechać i wydobyć z niej prawdę.

Zaklął cicho i zawrócił do domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Josie Lavender pracowała tego dnia na ostatnią zmianę. Została dłużej, żeby posprzątać, uzupełnić butelki z keczupem, napełnić pojemniki z solą, pieprzem oraz cukrem i nakryć stoliki na ranną zmianę. Wyszła z baru dwadzieścia po dziewiątej i po dziesięciu minutach znalazła się w domu.

Jej mama leżała na starej zielonej kanapie we frontowym pokoju i oglądała „Hi, Sweetie”. Alva Lavender uniosła maskę, która zakrywała jej usta i nos, by coś powiedzieć, i włożyła ją z powrotem, z trudem wciągając powietrze. Alva chorowała na rozedmę płuc. Codziennie spędzała

sporą część dnia przytwierdzona do butli tlenowej, która wspomagała jej oddychanie.

Josie zamknęła drzwi wejściowe. Mission Creek było dość spokojnym miastem, ale jeśli już coś się działo, to właśnie w okolicy, gdzie mieszkała matka.

- Mamo, jadłaś coś?

Matka poprawiła maskę i skinęła głową.

- Chcesz, żebym...

Alva nie pozwoliła jej skończyć. Odsunęła maskę.

- Nie przejmuj się mną. Jest dobrze.

- Na pewno?

Alva, znowu w masce, skłoniła potakująco głową, po czym zamachała swoją chudą dłoń. Wskazała na telewizor, dając do zrozumienia, żeby jej nie przeszkadzać. Powtarzali właśnie „Law and Order”. Kiedy grał Benjamin Bratt, świat dla Alvy przestawał istnieć. Miała do niego słabość.

- Dobrze, mamo - powiedziała miękko Josie. - Jeśli na pewno nic ci nie trzeba, wskakuję do wanny i prędko z niej nie wyjdę.

Alva ponownie zamachała rękami, nie zdejmując wzroku z ekranu telewizora.

Josie minęła otwarty łuk drzwiowy i weszła do małego kwadratowego przedpokoju, skąd już tylko dwa kroki dzieliły ją od sypialni.

Zapaliła światło. W pokoju mieściło się łóżko, toaletka i małe sosnowe biurczko, które wypatrzyła na wyprzedaży, kiedy chodziła jeszcze do szkoły.

Na biurku stał jej komputer z najnowszym oprogramowaniem i mnóstwem pamięci. Monitor miał całkiem duży ekran. Josie kupiła komputer, gdy mieszkała w Hurst. Korzystała przede wszystkim z poczty elektronicznej oraz starała się porządkować w komputerze swoje wydatki. W jakiś przedziwny sposób komputer dawał jej nadzieję, że robi coś ważnego i pnie się w górę.

Miała już samochód, nie żadne tam cudo, ale zawsze, oraz komputer. Nie będzie przecież do końca życia pracować na najgorszej zmianie w Mission Creek Cafe. Krok po kroku pokonuje trudności, jakie życie stawia na jej drodze, po jednym kroku każdego dnia.

Chwyciła skraj czarnego T- shirtu z pomarańczowym napisem Mission Creek Cafe na piersi. Już miała go zdjąć przez głowę, kiedy usłyszała, że ktoś stuka w okno.

Zamarła ze skrzyżowanymi ramionami, wciąż ściskając w dłoni brzeg koszulki. Pukanie powtórzyło się.

Trzy gwałtowne stuknięcia.

Josie spojrzała na żółtą, ściągniętą w dół roletę i zawahała się. Zobaczyć, kto to? Raczej nie powinna. To na pewno tylko jakiś kłopot. Każdy normalny człowiek podszedłby od frontu i zastukał do drzwi.

Ale znów, jeśli ten ktoś ma złe zamiary, to po co zdradza swoją obecność? Josie westchnęła, wygładziła koszulkę i okrążyła łóżko, żeby zajrzeć za roletę.

Na widok twarzy w cieniu za oknem jej tętno przyspieszyło, a gardło się zacisnęło.

- Flynt... - Wyszepiała to imię z trudem, ledwo słyszalnie.

Zdziwiła się?

Nie bardzo.

Spodziewała się, że to on?

Być może.

Czy widok jego twarzy zabolął?

Zdecydowanie tak.

Mówił powoli, by mogła odczytać jego słowa z układu warg, tych warg, które ją tak gorąco całowały, że na wspomnienie tych pocałunków oblewała się rumieńcem.

- Otwórz okno, Josie.

Nie drgnęła nawet, wpatrzona w jego twarz. Flynt nie odwracał od niej wzroku. W końcu uniosła rękę, dając mu znak, by chwilę zaczekał. Skinął głową, krzywiąc ponuro wargi.

Josie opuściła roletę i poszła zamknąć drzwi, nasłuchując odgłosów z saloniku. Telewizor pomrukiwał nieprzerwanie, szumiał okienny wentylator. Nic nie wskazuje na to, że matka zorientowała się, iż Josie ma gościa.

No i bardzo dobrze. Nie miała ochoty, by matka zarzuciła ją litanią pytań na temat Flynta Carsona. Alva nie musi wiedzieć, co stało się między Josie a jej byłym pracodawcą. Martwiłaby się tylko.

Wróciła do okna i spełniła prośbę Flynta. Podwinęła do góry roletę, podniosła szybę.

Flynt zaczął wspinać się do środka.

Nagle Josie stwierdziła, że to zły pomysł, ale trochę się spóźniła.

- Zaczekaj - szepnęła. - Wyjdę do ciebie. Pokręcił stanowczo głową.

- Ktoś mógłby nas zobaczyć.

Pewnie miał rację. Ktoś mógł ich zobaczyć. Ale właściwie co z tego? - pomyślała raptem, ale nie powiedziała tego. Pokazałaby co najwyżej, że jest arogancka. A przecież nie życzy sobie, żeby jej prywatne sprawy rozniosły się po mieście. Flynt chce ją tylko ochronić przed paskudnymi językami miejscowych plotkarzy.

W głębi serca Flynt to dobry człowiek, myślała. Po prostu po tym, co stało się z Monicą i ich dzieckiem, wszystko się w nim przewróciło do góry nogami. Przez jedną cudowną noc Josie miała nadzieję, że Flynt wybaczy sobie i zostawi za sobą przeszłość. W ostrym świetle następującego po owej nocy dnia zobaczyła, jak wielka jest siła wyrzutów sumienia. Tak wielka, że taka zwyczajna kobieta jak ona nie wygra z nimi pojedynku.

A teraz? No cóż, zawsze lepiej być optymistą. Wzrok Flynta był jasny i czysty, nie czuła od niego alkoholu.

- Po co przyszedłeś, Flynt? Zdziwiło go to pytanie.

- Nie wiesz?

- Nie pytałabym, prawda?

Zmrużył oczy i studiował jej twarz, potem pokręcił głową.

- Chyba nie będziemy tak rozmawiać. Ty w środku, a ja na dworze, szepcząc przez to cholerne okno.

- Dobra. Gdzie zaparkowałeś?

- Za rogiem.

- Wracaj do swojej zabawki. Zaraz przyjdę. Pięć minut. Patrzył na nią, jakby nie ufał jej obietnicy.

- No idź - szepnęła. - Powiedziałam „pięć minut” i tak będzie. -

Zamknęła okno i spuściła roletę, zanim zdążył wyszczekać jakieś polecenia.

- Mamo, skończyły mi się kulki do kąpieli! - zawołała, wychodząc.

W zasadzie nie skłamała, kulki do kąpieli naprawdę jej się skończyły i zapomniała wpaść po nie do sklepu w drodze z pracy.

- Polecę do Stop'n'Save'a.

Matka skinęła głową i pomachała ręką, a następnie zapatrzyła się znowu w ekran telewizora.

Josie wybiegła w ciemność, nie pojmując, co za diabeł ją napadł, że tak pędzi do faceta, który złamał jej serce.

Nie kazała mu długo czekać.

Flynt ledwo wsiadł do swojego pickupa, gdy zapukała w drzwi od strony pasażera. Wyciągnął rękę i otworzył jej. Wspięła się do środka, zamykając za sobą drzwi, więząc ich dwoje w pułapce ciasnej przestrzeni.

Flynt patrzył gdzieś w bok, przez okno. Nic to nie pomogło. Był cały skoncentrowany na Josie, umysłem i ciałem.

Odezwał się:

- Odesłałaś mi pieniądze.

- Owszem.

- Chciałem, żebyś je zatrzymała.- Ja zwracam dług. Ale dziękuję.

Przydały się na początku. A potem, jak tylko byłam w stanie, odesłałam ci je.

- Josie, ja... Przerwała mu.

- Ani słowa więcej na temat pieniędzy. Proszę. Znasz mnie bardzo dobrze. Wiesz, że bym ich nie zatrzymała. To by nie było w porządku.

Chciał się sprzeciwić, zapewnić, że suma była tak niewielka, że to się w ogóle nie liczy. Że ona ich potrzebowała, a on nie.

Odpuścił jednak. Nie wzięłaby ich, obojętne jak by ją przekonywał.

Zapytał więc:

- Urządziłaś się tam jakoś, w tym Fort Worth?
- Jakoś.

Dlaczego czuł taki... głód? Nie zaspokoiłby go nawet, kładąc na niej dłoń. Chciał wiedzieć, co robiła, co myślała, co widziała, czym się zajmowała. Chciał wiedzieć wszystko, co się wydarzyło, poznać każdy jej oddech z minionych jedenastu miesięcy.

- Miałaś mieszkanie?
- Pokój przy rodzinie. Przyzwoici ludzie, nie ciągnęli ode mnie dużo. Znośnie nam się układało. Znalazłam pracę, a właściwie dwie.

Pomyślał o Lenie, próbując wpasować ją jakoś w tamto życie Josie. Dwie prace, pokój przy rodzinie i dziecko.- Założę się, że pracowałaś ponad siły - zauważył ostrożnie.

- Nie przesadzaj..Jestem młoda i lubię pracować. Wiesz o tym. No a potem okazało się, że mama mnie potrzebuje i wróciłam.

Boże. Czuł jej zapach. Jej słodki zapach. I chyba coś jeszcze. Papierosy...

- Zaczęłaś palić, Josie?

Patrzyła przed siebie, jej idealny profil odcinał się od słabego światła latarni w dole ulicy. Wyglądała jak anioł, chociaż ten anioł właśnie wpadł w złość.

- Wiesz, Flynt, że nie znoszę tego twojego tonu. Położył ręce na kierownicy i zacisnął je, żeby nie wrywały się w stronę Josie.
- Po prostu pytam. Możesz powiedzieć tak albo nie.
- Właśnie skończyłam pracę. Pracuję w barze. - Rzuciła mu

wyzywające spojrzenie, po czym przeniosła wzrok przed siebie. - W Mission Creek Cafe, na pewno już wiesz.

Zrozumiał aluzję. Na stolikach w Mission Creek Cafe stały popielniczki i każdy kopcił ile sił.

- Zresztą to nie twój interes - dodała.

- Nie chciałbym, żebyś się truła, i tyle - powiedział łagodnie.

Posłała mu kolejne spojrzenie.

- Nie przejmuj się tak, nie truję się. A jak mi kiedyś przyjdzie do głowy, żeby wpaść w ten nałóg, zerknę na moją biedną matkę i zaraz mi przejdzie.

Flynt ucieszył się, życzył jej jak najlepiej. A to życzenie obejmowało też zdrowie, dla niej i dla Leny. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Josie paliła przy Lenie, albo, co gorsze, w ciąży.

No ale wyjaśniła mu już, że nie pali, i chciał jej wierzyć.

- To świetnie - stwierdził.

Josie milczała, wpatrzona w przednią szybę.

Flynt wertował swój umysł, szukając, jakby tu najlepiej przejść do najistotniejszego, do Leny. I nie znajdował żadnego dobrego sposobu, żeby zapytać siedzącą obok kobietę, czy jakimś przypadkiem nie urodziła jego dziecka i nie podzuciła go na pole golfowe klubu.

Zaczął więc najpierw o bezpieczniejszy temat.

- A jak się ma twoja matka?

Obrzuciła go po raz kolejny lodowatym spojrzeniem.

- O co ci chodzi, Flynt? Dobijasz się do mojego okna o ósmej wieczorem, żeby się dowiedzieć, jak było w Hurts i co z moją matką?

- Josie, ja...

- Co?

Czy urodziłaś moje dziecko? Czy Lena jest naszą córką?

Te pytania wisiały w powietrzu, tylko że on nie potrafił ich wypowiedzieć. Doczekawszy jedynie ciszy, Josie zaatakowała na nowo, tym razem głosem pełnym sarkazmu.

- Opowiedziałam ci już o moim życiu w Hurts. Więc tak, Flynt, moja matka jest chora. Nigdy nie wyzdrowieje. Ale czuje się lepiej niż trzy tygodnie temu. Zdaniem lekarza polepszyło jej się na tyle, że może na razie żyć samodzielnie. Wkrótce przeniosę się do osobnego mieszkania. Jeżeli fatygowałeś się, aby mnie przekonać, żebym wyniosła się z miasta, to przegrałeś. Mama musi mieć blisko kogoś, na kogo może liczyć. Jestem jedynaczką, mojego ojca nie ma już wśród żywych, więc tylko ja pasuję do tego opisu.

Urwała i patrzyła na niego przez minutę, jej oczy wyzywały go do zabrania głosu. Flynt milczał. Wyrzuciła z siebie powietrze, mówiąc:

- Zadowolony? Zaspokoiliam we wszystkim twoją ciekawość? Nie chcę twoich dziesięciu tysięcy, a moja matka nie czuje się dobrze. Jeśli to wszystko, spadam. - Nacisnęła klamkę, drzwi się uchyliły.

Flynt wyciągnął rękę i je zatrzasnął. Po drodze jego dłoń otarła się o piersi Josie.

Oboje głośno westchnęli. Flynt cofnął gwałtownie ramię. Zapadła cisza, rozgrzana ponad miarę. Flynt spojrzał na profil Josie, a następnie jego wzrok powędrował w dół.

Szkoda, że tak mało widać w tym półmroku. Zdawało mu się, że Josie nie utyla, że wygląda tak, jak ją zapamiętał. Cholera jasna. Co za idiotyzm siedzieć tak pół metra od niej i głowić się, czy urodziła jego

dziecko.

Nie był w stanie tego stwierdzić, tylko na nią patrząc. Powinien chyba zobaczyć jakiś znak, jakąś podpowiedź? Chyba jednak powinna utyć jak Monica?

Zmarszczył czoło. Nie, niekoniecznie. Nie wszystkie kobiety są takie jak Monica. Josie może należeć do kobiet, które przechodzą ciążę bez skutków ubocznych i zaraz po porodzie odzyskują formę.

Wreszcie Josie odwróciła do niego głowę. Jej jasne, gęste włosy złapały światło i zaśniły księżycowo. Flynt miał chęć zanurzyć w nich twarz, pławić się w ich ciepłe, w ciepłe Josie.

- I co? - spytała.

- Josie, musimy porozmawiać. Wbiła w niego wzrok, zirytowana.

- No dobra. To powiedz wreszcie, co masz do powiedzenia.

Niepewny, bacznie przyglądał się jej twarzy. Ani jej zachowanie, ani słowa nie wskazywały, że Josie ma pojęcie, w jakim celu jej szukał.

Ale czy jej oczy nie mówią czegoś przeciwnego?

Nie mógł tego stwierdzić z przekonaniem.

I wciąż nie wiedział, od czego zacząć.

W końcu Josie dała wyraz swojemu zniecierpliwieniu.

- Flynt, nie zamierzam spędzić tu całej nocy, żeby domyślić się, czego ode mnie chcesz. Doszedł do wniosku, że nie ma co kluczyć i silić się na oględność. Powiedział jej wszystko wprost: co się wydarzyło tego dnia od chwili znalezienia Leny na polu golfowym do momentu, gdy znalazła się bezpiecznie na ranczu.

Kiedy skończył, wbił wzrok w przednią szybę. Nie musiał się odwracać, bo czuł na sobie spojrzenie Josie.

W końcu odwrócił się do niej.

- Teraz liczy się tylko to, że Lena jest bezpieczna. Cokolwiek się stało, wszystko jest do naprawienia. Nie trzeba nikogo winić. Rozumiesz?

Josie tylko na niego patrzyła.

- Chcę usłyszeć od ciebie prawdę. Czy Lena jest naszym dzieckiem? - spytał.

Josie z wolna pokręciła głową, patrząc na niego wielkimi ciemnymi oczami.

Nie.

Boże mój, ona mówi nie. Lena nie jest jej dzieckiem... nie jest jego dzieckiem. Nie jest ich...

Czuł się, jakby go czymś ogłuszyła, jakby walnęła go między oczy stalową rurą.

Spodziewał się, że Josie powie tak...

Teraz, kiedy zaprzeczyła, wciąż nie był pewien, czy mówiła prawdę. Wiedział, że jest uczciwą kobietą. A jednak...

Jest taka młoda. Może przeraziła ją perspektywa samotnej opieki nad dzieckiem? Może w chwili desperacji popełniła błąd, podrzucając mu dziecko, i teraz boi się do tego przyznać?

Jej ogromne oczy złagodniały.

- Och, Flynt... - Nie była w stanie wydusić z siebie słowa. - Tak mi przykro.

A cóż to niby miało znaczyć?

Nie mógł się powstrzymać, wyciągnął do niej rękę.

- Powiedz mi, Josie. - Potrząsnął nią mocno. - Powiedz mi prawdę.

- Puść mnie! - rozkazała niskim głosem. - Powiedziałam ci

prawdę, a teraz mnie zostaw.

Spojrzał na swoje ręce, na swoje palce wbite w jej delikatne ramię. I znienawidził się.

- Boże. - Uwolnił ją, wracając na swoje siedzenie. - Przepraszam. - Zacisnął pięść i walnął nią w kierownicę. - To... To niedobrze, Josie. Nie powinnaś ukrywać przede mną prawdy. I tak się wszystkiego dowiem.

- Powiedziałam prawdę - powtórzyła, spotykając się z nim wzrokiem. - Nie zaszłam w ciążę tamtej nocy, którą spędziliśmy razem. Nie urodziłam twojego dziecka, w ogóle nie mam dziecka. Nie wiem, co to za dziecko, ale na pewno nie moje.

Flynt czuł, że musi ją uprzedzić o swoich kolejnych ruchach.

- Za jakieś dwa tygodnie będę wiedział, czy jestem ojcem Leny. Jutro robię badanie krwi. Jeśli Lena jest moja, to znaczy, że jest też twoja. Nie byłem z nikim oprócz ciebie. Zrozumiałaś? Prawda i tak wyjdzie na jaw, w ten czy inny sposób.

Josie oparła się o drzwi samochodu.

- Muszę iść.

- Josie...

- Zostaw mnie, Flynt. Nie mieszaj się więcej w moje życie.

Pchnęła drzwi i wyskoczyła na ziemię, po czym ruszyła naprzód szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

Nie poszedł za nią, chociaż musiał użyć do tego całej siły woli, jaką dysponował.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wiedział, że powinien wracać do domu.

Ale jak tu spojrzeć w twarz matce, nie wspominając już o dociekliwych pytaniach ojca?

Tego popołudnia Ford Carson wrócił do domu około czwartej. Wraz z młodszym bratem Flynta, Mattem, oglądał zniszczone ogrodzenie. Ford wszedł do domu i zaczął szukać żony. Znalazł ją pochyloną nad jakimś niemowlakiem.

Zadał w związku z tym mnóstwo pytań i domagał się niezwłocznych odpowiedzi. Był sprawiedliwy i rozsądny, ale lubił, by wszystko było jasne i uporządkowane.

Albo Flynt jest ojcem dziewczynki, albo nie jest. Jeżeli jest, kim w takim razie jest matka i dlaczego, do diabła, nie opiekuje się swoim dzieckiem jak należy?

Flynt nie udzielił ojcu żadnych wyjaśnień. Atmosfera w domu zrobiła się napięta. Flynt nie miał ochoty jeszcze raz tego dnia narażać się na atak ojca. Założyłby się, że stary Ford mu nie odpuści, choćby wiedział, że to droga donikąd.

Odbywszy dość ponurą i mało satysfakcjonującą konfrontację z Josie, nie zniósłby już chyba kolejnych pytań ojca. Kiedy zbliżył się do zakrętu, który prowadził do klubu, skręcił bez wahania.

Tam znalazł sobie cichy kącik w wybudowanym naprędce obok

głównego budynku klubowego barze, który miał przejąć funkcję wysadzonego w powietrze Men's Grilla do czasu, aż rozchwytywany architekt znajdzie czas, by dokończyć remont.

Natychmiast przytruchtała do niego Ginger Walton, młoda kelnerka, którą często spotykał w klubie.

- Jak zwykle? - spytała. Skinął głową.

- To mogę panu podać.

Dopiero po chwili zrozumiał, co miała na myśli. Ginger nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat. Znaczy to, że w barze nie wolno jej było podawać napojów alkoholowych. Przy tego rodzaju zamówieniach prosiła o pomoc starszych kolegów.

Flynt nie sprawiał jej takiego kłopotu. Od półtora roku jego „jak zwykle” oznaczało wodę mineralną z lodem.

Ginger wróciła do niego w towarzystwie drugiej kelnerki, ciemnookiej blondynki o nieco egzotycznej urodzie. Flynt zdusił westchnienie.

Funkcja prezesa klubu niosła ze sobą również rozmaite niedogodności. Jedną z nich polegała na mylnym przypuszczeniu personelu, że Flynt umiera z pragnienia poznania osobiście każdego nowego pracownika. Nie miał serca pozbawiać ich tej iluzji, witał się zatem uprzejmie i ścisnął dłonie. Starał się jak mógł zapamiętać ich imiona, lecz było ich zbyt wiele. Na szczęście większość personelu nosiła plakietki z imionami.

- Panie Carson, to jest Daisy Parker - oznajmiła Ginger. - Jest u nas nowa. Szkoliła się w Yellow Rose. - Yellow Rose Cafe była tą mniej oficjalną z klubowych restauracji. - A teraz ja ją zapoznaję z pracą w

barze.

Zespół kelnerski przechodził szkolenie we wszystkich trzech lokalach klubu, dzięki czemu Harvey mógł skierować ich w każdej chwili tam, gdzie byli bardziej potrzebni.

- Daisy... - Flynt ściągnął brwi. Zdawało mu się, że skądś ją zna, nie wiedział tylko skąd, a może w ogóle mu się tylko wydaje. Wzruszył ramionami. - Miło cię poznać. Witaj w Lone Star.

Daisy Parker rzuciła kilka grzeczności. Potem Ginger postawiła przed nim wodę mineralną i obie kelnerki zostawiły go w spokoju. Flynt popijał swój nijaki drink, żałując, że to nie whisky z lodem, i gapił się przed siebie, myśląc o Josie. Zastanawiał się, czy go nie okłamała.

Tak. Bardzo prawdopodobne, że leży teraz w łóżku w tym zapyziałym domu swojej matki i zapłakuje się na śmierć, zżerana poczuciem winy.

Ginger i nowa kelnerka wróciły na swoje stanowisko i zajęły się zwijaniem białych lnianych serwetek z wyhaftowanym monogramem klubu, których używano w najdroższych restauracjach: Men's Grillu i Empire Room.

Blondynka rzuciła jakąś uwagę, na co Ginger zaśmiała się nie za głośno, by nie przeszkadzać mężczyznom, którzy palili cygara i sączyli whisky. Potem nachyliła się do Daisy i szepnęła jej coś do ucha. Daisy przytaknęła i zamruczała coś w odpowiedzi. Flynt pomyślał znowu, że ta twarz jest mu znajoma.

- Flynt! - odezwał się z boku jakiś głos. - Jak się masz?

To był sędzia Carl Bridges, z poważną jak zwykle miną i smutnymi oczami.

- Cześć, Carl. - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Sędzia wskazał puste krzesło naprzeciw Flynta.

- Pozwolisz, że się dosiadę?

Flynt nie miał wielkiej ochoty wyrazić zgody. Wolał siedzieć sam i dumać o Josie Lavender i dziecku, które jest jego albo nie jest. Ale w końcu matka dziecka nie obudziła w nim bestii. Poza tym, miał dług wobec siwowłosego prawnika, który w dawnych czasach wy dostał Flynta i jego wojennych kumpli z pewnej większej rozróby.

A zatem, jeśli Carl Bridges nie tęskni za kieliszkiem w samotności, Flynt dotrzyma mu towarzystwa. Zawsze i wszędzie.

- Ale ja stawiam - zastrzegł.

Carl zajął krzesło i przywołał gestem kelnerkę. Ginger wysłała do nich tę nową blondynkę, która przywitała się uprzejmie i przyjęła zamówienie na bourbona z wodą i lodem.

- No - zaczął Carl po jej odejściu. - Widziałeś się ostatnio z Lukiem Callaghanem? Usiłowałem go złapać, ale nie odbiera telefonu, a jego służba udziela dość wymijających odpowiedzi.

Luke był bogatszy niż Carsonowie i Wainwrightowie razem wzięci. Był właścicielem ogromnej posesji w pobliskim Lake Maria. Wszyscy nazywali tę posiadłość majątkiem.

Carl zaśmiał się.

- Podejrzewam, że jest w połowie podróży dookoła świata i gra w bakarata w Monte Carlo, z uwieszoną na ramieniu oszałamiającą pięknnością.

Flynt wzruszył ramionami. Wiedział, że Luke to nie tylko playboy, choć jego znajomy tak pokazywał się światu. Uczęszczali razem do

Virginia Military Institute, ramię w ramię walczyli z Zatoce Perskiej. A na dodatek przed paroma miesiącami pomagali swojemu byłemu dowódcy wytropić drani, którzy prali brudne pieniądze. Tych, którzy odpowiadali za wysadzenie w powietrze Men's Grilla, prawdę mówiąc.

W kłopotach trudno było sobie wyobrazić lepszego kumpla niż Luke. Flynt jednak nie wiedział, gdzie go szukać, i powiedział tak Bridgesowi.

- Wiem tylko, że nie pojawił się dzisiaj rano w klubie, a Luke nigdy nie opuszcza golfa, kiedy jest w mieście.

Wróciła Daisy z drinkiem dla Carla. Carl podziękował jej serdecznym uśmiechem i puścił do niej oko, potem odczekał, aż Daisy dotrze z powrotem do swoich serwetek. Wtedy nachylił się i powiedział zniżonym głosem:- Słyszałem, że coś wam dzisiaj zakłóciło grę koło dziewiątego dołka.

Flynt omal nie Stęknął głośno.

- Skąd wiesz?

- Jak by to powiedzieć? Mam swoje źródła informacji, i w miejscowej policji, i w biurze szeryfa.

Do diabła. Wiedział, że tak będzie. Wiedział, że jak tylko Spence Harrison wciągnie w to policję i opiekę społeczną, trudno się łudzić, że sprawa pozostanie w ukryciu.

- Chciałbym, żeby to się nie rozeszło, Carl.

- Rozumiem. Dziecko jest teraz na twoim ranczu, tak? Grace się nim opiekuje?

- Czy jest coś, czego nie wiesz? Carl zdusił chichot.

- Niewiele. I co ty na to?

- Twoje źródła mówią prawdę.
- Zatrzymałeś tę małą?
- Jeśli pytasz, czy zostanie jakiś czas na ranczu, odpowiedź brzmi

tak. Zostanie. Jutro zacznę rozglądać się za nianią.

- A potem?
- Cholera, Carl. Jesteś ciekawski jak stara panna. Carl podniósł kieliszek.

- Znasz mnie. - Upił łyk. - Lubię być na bieżąco, jeśli chodzi o to, co dzieje się na moim podwórku.

- Taa. - Flynt podniósł szklanekę i wypił wodę do dna, po czym odstawił szklanekę z cichym stukiem. - Powiem ci wprost, że jeszcze nic nie wiem. Jutro robię test na ojcostwo. Trzeba będzie poczekać na wyniki.

- Aha - odrzekł sędzia. - No tak, oczywiście....

Do wtorku całe miasto wiedziało już o porzuconym dziecku, które znaleźli na polu golfowym trzej bohaterowie wojenni i jeden renomowany kardiochirurg. Plotkowały o tym zdarzeniu także wszystkie kelnerki w Mission Creek Cafe.

Josie wypadła tego dnia poranna zmiana. Kiedy szła do pomieszczenia służbowego na przerwę, Margie Dodd, również kelnerka, przywołała ją i pokazała jej ogłoszenie w miejscowej gazecie.

- Patrz. - Margie zaciągnęła się papierosem i wypuściła smugę dymu prosto w nos Josie, stukając przy tym palcem w miejsce, na które chciała zwrócić jej uwagę. - Na ranczu Carsonów szukają niani. To pewnie chodzi o to tajemnicze dziecko.

Josie wiedziała, że powinna potrząsnąć głową albo wzruszyć ramionami, mruknąć coś bez znaczenia i wyjść na przerwę. Nic takiego

jednak nie zrobiła. Odstawiła coca- colę, którą sobie naląła, i patrzyła na rozłożoną na stole gazetę, na słowa wybite tłustym drukiem pod czerwonym paznokciem Margie.

- „Potrzebna kochająca doświadczona niania. Z zamieszkaniem. Wysokie wynagrodzenie. Wymagane referencje. Zgłoszenia na ranczu Carsonów”.

Josie wpatrywała się w ogłoszenie. Nie mogła pozbyć się obrazu twarzy Flynta, który wyrył jej się poprzedniego wieczoru, twarzy tak przygnębionej i tak samotnej. Jego spojrzenia przedzierającego się przez ciemność, które błagało ją, by przyznała, że Lena jest ich dzieckiem.

Gardło zacisnęło jej się tak samo jak wtedy, gdy podniosła roletę i ujrzała go za szybą. Och, ma ochotę na Flynta Carsona, nie ma co ukrywać.

Przedstawiał sobą właśnie taki gatunek faceta, do którego przysięgała sobie nigdy się nie zbliżać - czyli faceta po przejściach i z problemem alkoholowym. Doprawdy, powinna mieć więcej rozumu, powinna mieć w pamięci swojego ojca i własne doświadczenia.

I miała dość rozumu.

Ale czasem okazuje się, że serce nie służy, idzie tam, gdzie rozum opuszcza szlaban.

Margie zarechotała sucho.

- Ty, słyszałaś, że to Flynt Carson jest ojcem tego podrzutka?

Josie przełknęła z trudem.

- Słyszałam, ale...

- Nie ma żadnych ale. To jego dzieciak, tyle że on nie chce zdradzić, kim jest matka.

- Może nie wie.

Margie wypuściła kolejny kłęb dymu i popatrzyła na Josie przez zmrużone oczy, zasłonięte gęstą firanką sztucznych rzęs.

- Taa. Akurat. Też wymyśliłaś.- Może wcale nie jest ojcem. Z tego, co słyszałam, to wcale nie jest pewne.

Margie stęknęła.

- Daj spokój. Flynt dobrze wie, że to jego. Założę się o miesięczne napiwki. Gdyby nie był tego pewny, nie wziąłby dzieciaka. A my nie czytałybyśmy teraz tego ogłoszenia. Tak samo dobrze zna matkę. Chroni ją, mówię ci. Bo jak prawda wyjdzie na jaw, kobitka wpadnie po uszy w paszcze aligatorów. Należy się takiej, bo żeby tak zostawiać dzieciaka...

- Margie, nie mamy prawa osądzać tej kobiety. Nie wiemy, co się stało, co ją do tego skłoniło. Pomyśl sama, przecież nawet nie ma pewności, że to matka podzuciła to dziecko.

- Matka. Wszyscy tak mówią.

- To może wszyscy się mylą. Może zupełnie kto inny podzucił tę małą na pole golfowe.

- Aha - burknęła Margie i zaciągnęła się solidnie. - Niby kto?

- A skąd ja mam wiedzieć?

Margie odrzuciła do tyłu swoje rude włosy i wypuściła kilka idealnych kółek z dymu.

- No widzisz. Sama mówisz, że nie wiesz. Mówię ci, to matka.

- Ho ho! - Ellie Switzer, milutka osiemnastolatka, która wciąż myliła zamówienia, wyciągnęła szyję, by zajrzeć Josie przez ramię. - Ranczo Carsonów. Chętnie bym je obejrzała. Słyszałam, że to wielki dom, mają tam basen i piękny ogród. No i te bliźniaczki. To jest życie,

co?

Flynt miał prócz młodszego brata dwie siostry bliźniaczki, Fionę i Careę. Miały po dwadzieścia parę lat.

- Chętnie bym się z którąś z nich zamieniła.

- To ci nie grozi - rzuciła Margie z kolejnym rechotem i wciągnęła następną porcję trującego dymu. - Jak chcesz się czegoś dowiedzieć o tym domu, to zapytaj Josie. Ona u nich pracowała, była ich gospodynią.

Josie wzdrygnęła się nerwowo, wywołując znów tubalny śmiech Margie.

- Myślałaś, że nie wiem? Trzymam ucho na posterunku, dziewczyno, pamiętaj o tym.

Josie wzruszyła ramionami. To Mission Creek, przypomniała sobie. Ludzie tu wszystko wiedzą.

- To nie sekret, że tam pracowałam - powiedziała z udawaną obojętnością.

Ellie zachichotała z zachwytu.

- Naprawdę, Josie? Byłaś tam gospodynią?

- Naprawdę.

- Ojej, to mi powiedz, jaka jest ta Fiona? A ten Flynt, przystojniak, co?

- Uhm - potwierdziła Margie. - Może i przystojniak. A słyszałaś, jak skończyła jego żona? I dziecko? Znaczący jego żona była w ciąży, jak zginęła.

- Czytałam o tym w gazecie - oznajmiła Ellie. - Pisali, że to nie była jego wina. Że był łódź na drodze i wpadł w poślizg. - Uhm.

- To nie jego wina - obstawała przy swoim Ellie. - Sama przyznasz

- wachlowała się dłonią - że jest gorący. Matt też. Obaj są przystojni że nie wiem, bogaci i trochę niebezpieczni. No nie?

Josie nie wiedziała, dlaczego jeszcze tam stoi i wysłuchuje tej gadaniny. Podniosła szklanę z colą i odwróciła się.

Zatrzymały ją gwiazdy w oczach Ellie. Każdy ma jakieś marzenia, każdy tęskni za czymś nieosiągalnym. Taka jest natura ludzka, że fantazjujemy o kimś, kto już coś osiągnął.

- Ojej, Josie - błagała Ellie. - Opowiedz mi. Jaka jest Fiona?

Josie zaskoczyła samą siebie własną szczerością.

- Zepsuta i czasami złośliwa. Okropnie rozwydrzona. Ale w głębi duszy dobra, tylko że o tym nie wie.

- A Cara?

- Równie piękna jak siostra.

- To wiem. Są identyczne. Josie uśmiechnęła się.

- Nie dałaś mi skończyć. Chciałam powiedzieć, że jest równie piękna jak Fiona, ale jej uroda ma w sobie więcej łagodności.

- A Matt?

- Matt Carson jest...

W tej samej chwili z głównej sali wpadł do nich Gus Andros, ich szef, gderając po drodze. - Myślicie, że wam płacę za to, żebyście trajlowały na zapleczu? Margie, twoja przerwa się skończyła. Ellie, twoja przerwa jeszcze się nie zaczęła. Obie natychmiast na salę.

Kelnerki ruszyły klusem przed siebie, Margie złorzecząc, Ellie przestraszona. Młodsza z nich nie wiedziała jeszcze, że Gus szczeka głośniejszym niż to wszystko warte.

Gus spojrział na Josie.

- A tobie zostało sześć minut.

Josie posłała mu swój najśłodszy uśmiech.

- No pewnie.

Gus wyszedł za kelnerkami. Josie sączyła colę. Opadła na obite skórą krzesło, które zwolniła Margie. Rozłożona gazeta wciąż leżała na fornirowanym blacie stołu. Josie powtórnie przeczytała ogłoszenie.

I pomyślała o Flyncie.

O jego zbolalym spojrzeniu, kiedy zapewniła go, że nie jest matką dziecka, które znalazł.

A tak bardzo tego chciał, tak bardzo pragnął, żeby Lena był ich dzieckiem.

Potrzebna kochająca doświadczona niania. I ma zamieszkać na ranczu.

Josie odstawiła szklankę i spojrzała przed siebie, a przez jej głowę przelatywały myśli, które, jak sama wiedziała, powinny ją omijać szerokim łukiem.

Na przykład, że najwyższy czas, żeby Flynt Carson zostawił za sobą bolesną przeszłość i na nowo nauczył się kochać. Na przykład, że on sam wyraźnie tego pragnie, że rozpaczliwie chce chwycić się kolejnej szansy. Szansy na dobre życie i prawdziwą miłość. Na własną rodzinę.

Posiadał fortunę, ale fortuna się do niego nie uśmiechała. Nie posiadał tego, co najważniejsze.

- Dość - szepnęła Josie pod nosem. - Nie idź tam.

Złożyła gazetę, żeby nie widzieć przed sobą ogłoszenia. Chwyciła szklankę z colą i wypila duży łyk. Znowu, zamiast iść za głosem rozumu, wsłuchuje się w podszepty serca.

Szklanka zostawiła mokrą obrączkę na zniszczonej powierzchni blatu. Josie wytarła plamę. Najpierw tarła mocno, potem delikatniej. Jeszcze później bezmyślnie obwiodła palcem niezdarny kształt serca wyryty przez Bóg wie kogo.

To już prawie rok, szeptał jej jakiś głos, kiedy tak wodziła palcem po sercu. Prawie rok, a jeszcze nie wyleczyła się z tego faceta. On też się z niej nie wyleczył. Widziała to w niedzielny wieczór. Coś ich łączy. Coś prawdziwego. Coś silnego. Może ten mały podrzutek wskazałby im, jak mają do siebie trafić. Może nadszedł czas, by dobry los, prawdziwy dobry los, bo tylko on się liczy, by ten dobry los wreszcie się do nich uśmiechnął.

Może, myślała, powinna pomóc losowi, jadąc na ranczo Carsonów...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nowa gospodyni miała na imię Anita. Wprowadziła Josie do małego pomieszczenia obok kuchni i wzięła od niej list polecający.

- Proszę wypełnić ten formularz - powiedziała uprzejmie. - Potem porozmawia z panią pani Carson.

Pani Carson. A więc to Grace będzie ją przepytować. Josie jakoś nie przyszło to do głowy, kiedy knuła swój plan poprzedniego dnia.

Żołądek skurczył jej się ze strachu. Matka Flynta była miłą, ciepłą osobą, mimo to sposób, w jaki odeszła od nich Josie, nie mógł jej się spodobać.

- Coś nie tak? - spytała gospodyni.

- Nie, nic. W porządku.

- Proszę usiąść.

- Dziękuję.

Gospodyni wyszła. Josie odprowadziła ją wzrokiem, ciekawa, jak długo Anita pracuje u Carsonów. Czy zatrudnili ją zaraz po zniknięciu Josie, czy może były przed nią inne?

A zresztą, jakie to ma znaczenie? Josie Lavender nie jest niezastąpiona. Sięgnęła po jeden z długopisów, które stały w kubku na stole, i szybko wypełniła formularz. Kilka minut później wróciła Anita. Wzięła od niej druk.

- Tędy, pani Lavender.

Szły do salonu w skrzydle zamieszkanym przez Flynta. Grace czekała przy jednym z wysokich okien, patrząc na bujną zieleń ogrodu. Kiedy Josie i gospodyni weszły do pokoju, odwróciła się do nich,

- Witam, Josie! Miło cię widzieć - odezwała się ciepło.

Jej oczy jednak pozostały chłodne. Przeszła przez pokój i odebrała formularz od gospodyni.

- Dziękuję, Anito.

Gospodyni skinęła głową i wycofała się, zamykając za sobą podwójne drzwi.

- Tak - zaczęła Grace, kiedy zostały same. - Napijesz się czegoś? Może kawy?

- Nie, dziękuję.

- Usiądź, proszę. - Grace wskazała na krzesło. Josie przycupnęła na brzeżku siedzenia. Grace obeszła mały stolik i siadła na kanapie.

Ściany pokoju pomalowano na kolor śliwki z białą lamówką. Meble były solidne i wygodne. Podłogę z ciemnego, lśniącego twardego drewna

przykrywały orientalne dywaniki. Nic się nie zmieniło, Josie pamiętała ten pokój nazbyt dobrze.

Kiedyś, gdy Monica była już w bardzo zaawansowanej ciąży, wpadła w furję, chwyciła kryształowy wazon ze stołu z marmurowym blatem i rzuciła nim we Flynta.

- Jestem taka gruba jak twoje wystawowe krowy! - krzyczała, obrzucając męża wyzwiskami. - To twoja wina, nienawidzę cię!

Wazon poszybował w powietrze. Obecność gospodyni nie przeszkadzała Monice.

Potem, po śmierci Moniki, Flynt zapijał się w tym samym pokoju. Nie zdarzało się to bardzo często. Na poważne całonocne chłanie wybierał raczej swój gabinet. Ale czasami lądował w salonie. Niejednemu raz Josie znajdowała go nieprzytomnego na kanapie, na której siedziała teraz Grace. Przykrywała go wtedy kocem, a serce bolało ją z miłości, chociaż wiedziała, że to beznadziejna miłość. Chociaż w myślach wyzywała się od idiotek, kochała go i tak.

- Więc - zaczęła znów Grace, tym razem niepokojąco szorstko. - Widzę, że pracowałaś w dziennym ośrodku opieki.

- Tak. Pracowałam w Ośrodku Opieki nad Dzieckiem w Hurst, przez dziewięć miesięcy. To jest w Fort...

- Wiem, gdzie jest Hurst.

Josie zamilkła i wbiła wzrok w swoje złożone dłonie. Poczuli się raptem jak dziecko, które coś napso- ciło. Grace Carson potrafi pokazać, gdzie jest twoje miejsce, i to jednym uprzejmym słowem i jednym karzącym spojrzeniem.

Grace odezwała się:- Rozpływają się tu nad tobą. Widać, że byli

tobą zachwyceni.

Josie zebrała się w sobie.

- Bardzo lubię pracę z dziećmi. Przez cztery miesiące zajmowałam się tam niemowlakami, a potem miałam pod opieką dzieci, które już uczą się chodzić.

Wieczorami dorabiała jako kelnerka. Dwie prace zabezpieczyły jej skromne utrzymanie, pozwoliły jej spłacić Flynta i kupić komputer, a także pomagać Alvie.

Grace westchnęła.

- Josie. - Zacisnęła dłoń na kartce, która odpowiedziała szelestem. - Chyba powinniśmy od razu przejść do rzeczy.

Żołądek Josie skurczył się jeszcze bardziej. Siedziała prosto jak strzała.

- Tak, racja.

- Rok temu... zniknąłeś stąd bez słowa. Jednego dnia byłeś tu, wiedziałam, że mogę na tobie polegać, i raptem się ulotniłeś. Do dzisiejszego dnia nie dałeś znaku życia. - Grace uniosła jedno ramię. - Flynt niby to wspomniał coś o twoich kłopotach rodzinnych, ale jakoś się to nie kleiło. Słyszeliśmy, że wyjechałeś z miasta, zostawiłeś matkę.— Grace zawahała się, jakby nie wiedziała, co dalej. Po chwili podjęła: - Muszę przyznać, że początkowo martwiliśmy się o ciebie. Obawialiśmy się, że może twój ojciec... że wypuścili go i bałaś się, że coś ci grozi z jego strony.

Ojciec Josie zmarł w więzieniu Hunysville przed dziesięcioma miesiącami. Całe miasto wiedziało, że znalazł się tam dzięki Josie. Grace mówiła dalej:

- Ale potem dowiedzieliśmy się o jego losie. Rutger Lavender trafił w końcu na kogoś, kto był

jeszcze gorszy od niego. Został zasztyletowany przez współwięźnia na więziennym spacerniaku i zmarł na skutek odniesionych ran.

- To dało nam pewność, że nie wyjechałaś z powodu ojca. - Grace oparła się o poduszki i patrzyła prosto na Josie, dając jej szansę na jakieś wyjaśnienie.

Niestety, Josie nie miała nic na swoją obronę. Nic, co by powiedziała, nie przedstawiłoby jej w dobrym świetle. A nie mogła wyznać Grace, że ją i Flynta poniosło pożądanie, które przerosło ich wolę. Poddali się mu i spędzili razem noc w jego łóżku. Następnego ranka Flynt wypisał jej czek na dziesięć tysięcy dolarów i kazał odejść.

Nie, tego nie mogła powiedzieć.

A nie chciała też kłamać.

Boże mój, co ona właściwie robi? W ogóle tego nie przemyślała. Założyła sobie, że to Flynt będzie z nią teraz rozmawiał i wymyśliła w jakimś szaleńczym widzie, że zatrudni ją, ponieważ tak bardzo pragnie, by to dziecko było ich dzieckiem.

- Tak? - odezwała się Grace, szeleszcząc znowu kartkami papieru i przesuając się na kanapie. - Chciałabym coś z tego zrozumieć, Josie. Naprawdę.

To się nie uda. To zły pomysł. Josie wstała.- Przepraszam. Myślałam...

- Co?

- Nieważne. Nie powinnam była przychodzić. Ja... przykro mi, że naraziłam rodzinę państwa na kłopoty, wyjeżdżając tak niespodziewanie.

Mogę tylko powiedzieć, że miałam ważny powód. Osobisty, nie mogę o tym mówić.

Grace podniosła się z kanapy. Jej oczy pozbyły się już przejmującego chłodu.

- Mnie też jest przykro, Josie. Byłaś świetną gospodynią. Bez zarzutu. - Patrzyły na siebie nad małym stolikiem. - Ale teraz chodzi o bezbronną małą istotę. Nie byłoby chyba rozsądne, gdybym zatrudniła kogoś, na kogo nie mogę liczyć w stu procentach.

Josie skinęła pokornie głową.

- Rozumiem.

- Co rozumiesz? - Ni stąd, ni zowąd rzucił niski głos koło drzwi.

Po plecach Josie przebiegł dreszcz, a pod jej skórę wkradł się lęk. Flynt. Nie był ułamkiem, a jednak potrafił poruszać się tak cicho, że nie słyszała, kiedy wszedł do pokoju.

Grace najwyraźniej też nie usłyszała, bo przestraszonym gestem położyła dłoń na szyi.

- Na rany Boga, Flynt! Co to ma znaczyć? Gdzie jest dziecko? Sądziłam, że...

- Mała jest z Anitą - odpowiedział, nie spuszczać oka z Josie. Jego niebieskie oczy wędrowały po niej, sprawdzały ją, osądzały. Czowała to jego spojrzenie w głębi duszy.

- Anita powiedziała, że jesteś tutaj.

- Josie jest zainteresowana posadą niani - poinformowała Grace syna.

Ten nawet nie spojrzał na matkę.

- Taa, to też Anita mi powiedziała.

Josie wysiliła się na uśmiech. Miała nadzieję, że wyglądał jak najbardziej naturalnie. Nie pisnęła słowem o tym, co było między nimi, nie wiedziała tylko, jak długo wytrzyma jego wzrok, jego i Grace równocześnie.

- Tak - zaczęła powoli. - Ale... nic z tego nie wyszło. I właśnie wychodziłam. - Ruszyła do drzwi z desperacką nadzieją, że Flynt usunie jej się z drogi.

Nadzieja okazała się złudna. Podeszedł do niej szybko, zatrzymując ją swoim przejmującym spojrzeniem. Zatarasował jej przejście.

- Poczekaj. Pogadamy. Grace zaniepokoiła się.

- Flynt, kochanie, Josie powiedziała, że wychodzi. Chyba powinniśmy jej pozwolić...

Przerwał jej gestem, wskazując na ściskane przez Grace w garści papiery.

- Czy to jej podanie?

- Tak, i referencje, ale..

- Chciałbym je zobaczyć.

- Flynt...

Wyciągnął rękę. Grace poddała się i przekazała mu formularze.-
Dziękuję, mamó. Bądź tak dobra i zwolnij Anitę.

- Ale...

- Ja się zajmę tą sprawą.

Josie знаła tę jego minę, Grace zapewne także. Ta mina mówiła światu, że Flynt i tak zrobi co zechce. Że nic i nikt nie zmieni jego postanowienia.

Grace skinęła głową, a w zasadzie ledwo zauważalnie pochyliła

zaokrąglony podbródek. Znała swojego syna dość dobrze, by wiedzieć, że z nim nie wygra.

- Josie - powiedziała cicho. - Naprawdę cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu.

- Dziękuję. A ja cieszę się, że znalazła pani na moje miejsce dobrą gospodynię.

Grace raz jeszcze skinęła głową, prześliznęła się za stolikiem i opuściła pokój. Flynt zaczekał, aż matka zamknie za sobą drzwi, zakręcił się na pięcie i poszedł upewnić się, czy są dobrze zamknięte. Josie tkwiła w miejscu ze wzrokiem wbitym w dywan pod nogami. Jej tętno tak przyspieszyło, że słyszała głośny szum krwi w uszach.

Stanowczo powinna kazać mu otworzyć drzwi. Oznajmić, że chce wyjść, że w ogóle nie powinna była tam przychodzić.

Tymczasem stała ze spuszczoną głową niby jakaś wstydliva panienka, wlepiając oczy w wijące się na dywanie róże i myśląc, że sama jest sobie winna. W końcu nikt nie zmuszał jej do przyścia na ranczo.

Potem zobaczyła, że zbliża się do niej para porządnych trzewików z wytłaczanej skóry i zatrzymuje się jakieś pół metra od jej czarnych pantofli na masywnych obcasach.

Flynt rzucił kartki papieru na stolik i odezwał się cicho i spokojnie, tak żeby tylko ona go słyszała:

- Dobra, Josie. Masz mi coś do powiedzenia?

Z wysiłkiem podniosła wzrok. Flynt ubrany był w niebieskie dżinsy i nieco wypłowiałą dżinsową koszulę. Pachniał drogim płynem po goleniu, którego używał od zawsze, i mydłem do czyszczenia skóry. Zapewne niedawno jeździł konno. Co prawda w rodzime Carsonów to Matt

był prawdziwym kowbojem, Flynt zaś nosił się najczęściej jak człowiek biznesu, no ale w końcu to on prowadził rodzinne interesy, a Matt do-
glądał codziennej pracy w gospodarstwie.

Wzrok Josie zatrzymał się na górnym zapięciu koszuli Flynta. Jakoś nie mogła popatrzeć mu w oczy.

Flynt wyszeptał jej imię, kończąc je znakiem zapytania.

Teraz była już w stanie podnieść głowę i spojrzeć mu w twarz.

Pozwoliła jej na to barwa jego głosu.

- Tak? - Delikatnie położył jej ręce na ramionach. Kolana pod nią zmiękły. Chciała tylko oprzeć się

o niego, poczuć jego ciało. Tak bardzo się stęskniła. Spędzili razem jedną, jedyną noc, i to na dodatek jedenaście miesięcy temu. Jedenaście miesięcy, które zdawały się wiecznością, a równocześnie wydawało jej się, że to było wczoraj. Flynt uśmiechał się swoim czułym, życzliwym uśmiechem.- Nie bój się - powiedział. - Nie opuszczę cię, obiecuję. Chcę tylko usłyszeć z twoich ust prawdę. Potem pomyślimy razem, jak sobie z tym poradzić.

Josie zamrugła powiekami.

- Jak...? - I nagle zrozumiała.

Flynt sądził, że przyszła wyznać mu coś ważnego o dziecku.

Zacisnęła wargi, bo inaczej wybuchnęłaby histerycznym śmiechem.

No nie, on naprawdę się zapał. Wcale jej nie słucha. Przecież nie jest głupi, a jednak w tej sprawie ma jakąś niezniszczalną blokadę. Zamiast rozumu ma w głowie kawał drewna.

Jej poruszenie uwidoczniło się na twarzy, a może Flynt poczuł jakieś prądy w jej ciele.

- Ciii... - Uspokajał ją tak, jak uspokaja się spłoszonego konia. - Jest dobrze, uspokój się. Wyrzuć to z siebie. Po prostu powiedz prawdę, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy.

- Flynt, proszę.

- Josie...

- Nie. - Cofnęła się o krok.

Przez chwilę trzymał ją jeszcze za ramiona, potem opuścił ręce.

Josie zaczęła wyraźnie i powoli:

- Nie przyszedłam tutaj po to, żeby ci powiedzieć, że to moje dziecko.

To niemożliwe, Flynt, bo ono nie jest moje.

Teraz on postąpił krok do tyłu, tworząc między nimi głęboką przepaść. Z jego oczu ulotniła się tkliwość. Zacisnął zęby.

- Nie twoje... - powtórzył bez przekonania.

- Właśnie tak. Nie moje. Nie nasze.

- Do diabła, Josie! - zawołał, po czym westchnął ze znużeniem.

Josie z kolei myślała, że zacznie chyba skakać i krzyczeć i wyzywać go od ostatnich głupców. Dała sobie jednak spokój i podjęła znowu ostrożnie i rozważnie:

- Ja nie kłamię, Flynt. Nie należę do kobiet, które wypierają się, że coś zrobiły. Już raczej milczę. Albo robię uniki. Ale nie kłamię bezczelnie, na tyle mnie znasz.

Flynt odwrócił wzrok na chwilę, potem wrócił do niej spojrzeniem.

- Nawet najbardziej uczciwi ludzie kłamią pod presją sytuacji, kiedy nie widzą innej możliwości.

- Flynt, popatrz na mnie, spójrz mi w oczy. - Czekala chwilę na niego. - Uważam, że jednym z ważniejszych powodów, dla których mnie

lubisz... bo chyba mnie lubisz, prawda?

- Co to za pytanie?

- Proste. Nie mówię o pożądaniu, o tym, cokolwiek to jest, co powoduje, że nasze serca biją szybciej, kiedy się spotykamy. Mówię o szacunku. O tym, że lubi się kogoś za to, jaki jest. Więc pytam cię, czy mnie lubisz?

- Cholera, Josie.

- Lubisz?- Tak. Tak, lubię cię. Wiesz o tym.

- Prawda, wiem. I wiem też, dlaczego mnie lubisz. Dlatego, że jestem silna i uczciwa. Że trzymam się, radzę sobie, robię wszystko najlepiej, jak potrafię i nie uciekam się do alkoholu ani narkotyków, żeby złagodzić trudy życia. A przecież wiele przeszłam i życie nie było dla mnie zbyt łaskawe. Mój ojciec, popapraniec i alkoholik, znęcał się nad moją matką. Wiesz doskonale, tak jak wszyscy inni, że to ja wpakowałam go za kratki. To ja wezwałam policję i ja zeznawałam przeciw niemu, żeby znalazł się tam, gdzie jego miejsce. Pomimo takich doświadczeń skończyłam liceum ze średnią trzy przecinek sześć i któregoś dnia, jeśli dobry Bóg pozwoli, pójdę do college'u. Prowadziłam ten wielki dom, nie mając jeszcze dwudziestu lat. Kiedy mnie odesłałeś, wyjechałam do Hurst, gdzie ciężko pracowałam, żeby spłacić ci dług co do grosza. Jestem od ciebie młodsza ponad dziesięć lat, a przecież nie jestem słabsza czy bardziej bezbronna. Ani trochę. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym zaszła z tobą w ciążę. Nie potrafię gdybać. W każdym razie to dziecko, które znalazłeś na polu golfowym, nie jest moje. Wiedziałbyś to, gdybyś był ze sobą szczery.

Flynt zerkał na nią z ukosa.

- Jeśli nie twoje, to co tutaj robisz?

Josie czuła się już zmęczona, i to bardzo. Sytuacja wydała jej się beznadziejna. Cokolwiek powie, i tak nie trafi to do Flynta.

- Pytam cię, co tu robisz?- Słyszałeś już od matki. Staralam się o pracę niani.

- Po co, jeśli to nie twoja córka?

- Ponieważ kocham dzieci, a ta małeńka dziewczynka potrzebuje opieki. A także dlatego... - Urwała, nie była pewna, czy powinna wszystko wyjawic.

- Co?

- Ponieważ wciąż mam nadzieję. Wciąż... chciałabym dać ci szansę.

- Szansę. - Powiedział to tonem, który dał jej do zrozumienia, że nie ma takiej modlitwy na świecie, która pomogłaby jej spełnić to życzenie.

Josie westchnęła.

- Tak. Bóg jeden wie, czemu, ale to fakt. Chciałabym, żeby nam się udało.

- Nie ma takiej możliwości. Przecież wiesz. Potrząsnęła głową i rzuciła ze złością:

- Dlatego, że to nie jest nasze dziecko? Bo gdyby było nasze, musiałbyś zachować się inaczej, tak? - Odważyła się zbliżyć się do niego, uniosła brodę i rzuciła prosto w jego ponurą twarz: - Dla tego dziecka zapomniałbyś o tej strasznej przysiędze, którą złożyłeś sobie po śmierci Moniki?

Nawet nie mrugnął.

- Mam rację?

- Powiedziałaś, że to nie twoje dziecko.
 - Nie odpowiedziałeś mi, Flynt.
 - Czy Lena jest naszą córką?
 - Ile razy mam ci powtarzać?- Jeszcze tylko raz. Odpowiedz mi teraz i więcej nie będę pytał.
 - Proponujesz mi jakiś układ? Uwierzysz mi, kiedy ci teraz powiem?
 - Możesz to tak rozumieć. Nie będę więcej pytał. Josie zrozumiała go doskonale.
 - Aha, przestaniesz pytać, ale i tak mi nie uwierzysz? Czekasz na wyniki testu na ojcostwo.
 - Możesz mi wyznać prawdę, kiedy zechcesz, nie pytana.
 - Wielkie dzięki. Co za szlachetny gest!
 - Chyba nie pora na sarkazm. Czy Lena jest naszą córką?
 - Nie. Nie jest.
 - Cóż - powiedział. - Niech tak będzie. To dosyć uczciwe postawienie sprawy.
 - A co uczciwość ma tu do rzeczy? Zlekceważył jej pytanie i zwrócił się do niej z kolejnym:
 - Wciąż chcesz tę pracę?
- Josie otworzyła usta ze zdumienia i szybko je zamknęła.
- Proponujesz mi pracę?
 - Właśnie. Musiałabyś się wprowadzić.
 - Ja... tak, czytałam o tym w ogłoszeniu.
 - Będziesz miała dwa dni wolne w tygodniu, od szóstej po południu w piątek do tej samej godziny w niedzielę. Poza tym, od poniedziałku do

czwartku będziesz musiała być z Leną w zasadzie na okrągło, no może z trzygodzinną przerwą. Odpowiada ci to? Powiedzmy, że będziesz miała przerwę między drugą a piątą po południu. W tym czasie ja cię zastąpię, albo mama, albo Cara. Cara teraz ma wakacje, więc znajdzie pewnie chwilę w ciągu dnia. - Cara pracowała jako nauczycielka w szkole w Mission Creek. - Będziesz mogła zajrzeć do Alvy, sprawdzić, czy niczego jej nie potrzeba.

- Me...

- Wynagrodzenie będzie bardzo korzystne.

Gdy wymienił sumę, okazało się, że nie skłamał. To naprawdę była przyzwoita kwota. Josie pracowała jako opiekunka w Hurst i zarabiała tam jedną trzecią tego, co zaoferował jej teraz Flynt. Co prawda czas pracy na ranchu był o wiele dłuższy, ale z drugiej strony miała zapewnione mieszkanie i wyżywienie.

- Porozmawiaj w barze, powiedz im, że odchodzisz. Chciałbym, żebyś zaczęła od razu.

- Chwileczkę. Twoja matka oświadczyła mi właśnie, że mnie nie przyjmie.

- Ta decyzja nie należy do niej. Chcesz tej pracy? Boże dopomóż.

- Tak - powiedziała. - Chcę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pokój przylegający do sypialni Flynta został po raz wtóry zamieniony w pokój dziecięcy. Josie poznała tamte meble, pomalowane na biało i ozdobione tańczącymi misiami, które trzymają ogromne

różnokolorowe balony. Wróciły na dawne miejsce kosze pełne zabawek, półki z pastelowymi pajacykami i z miękkimi kocykami oraz maleńkimi koszulkami zapinanymi z przodu.

Flynt kazał nawet wykonać nowe malunki na ścianach. Pojawiły się na nich płynące w powietrzu wróżki i sympatyczne żaby nad stawem. Wcześniej także na ścianach tańczyły misie, a sufit przecinała wielobarwna tęcza.

Dziecko leżało na materacyku do zabawy, na miękkim ciemnozielonym dywanie, i wymachiwało pulchnymi rączkami, gulgocząc coś do zabawek, które zwisały pod sufitem. Grace siedziała w fotelu bujanym jakiś metr dalej, z książką na kolanach, i obserwowała dziecko z ciepłym uśmiechem, z jakim patrzy na wnuka zakochana w nim babka.

Zapewne sądziła, że naprawdę jest babką Leny. Kiedy Flynt wprowadził Josie do pokoju, Grace zdjęła z nosa okulary do czytania, jej uśmiechnięte usta zamieniły się w cieką prostą linię, a zmarszczka między brwiami pogłębiła się. Josie wiedziała, co to znaczy. Grace pojęła, że sprawa jest już przesądzona, lecz nie zaaprobowała wyboru syna.

Książka Grace miała zakładkę z cienkiej wstążki, przyklejonej do oprawy. Grace wygładziła ją, nie wiedząc, jak się teraz zachować. Następnie zamknęła książkę i wstała.

- Cóż - odezwała się, kończąc na tym słowie. Czekwała, aż Flynt powiadomi ją o tym, co już sama odgadła.

Flynt nie kazał jej czekać.

- Josie będzie pracować jako niania Leny.

- Rozumiem. - Grace uśmiechnęła się, ledwo unosząc kąciuki ust.

Był to uśmiech prawdziwej damy, uprzejmy i chłodny. I pełen dezaprobaty. Posłała ów tycki uśmiech nowej niani.

- Josie, mogłabyś poczekać w salonie minutkę czy dwie?

Chciałabym zamienić słowo z Flyntem.

Josie nawet nie przyszło do głowy, by się sprzeciwić.

- Oczywiście - powiedziała i ruszyła do drzwi. Flynt powstrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Josie wzdrygnęła się, spojrzała mu w oczy. Ramię paliło ją od tego dotyku.

- Zostań.- Ale...

Patrzył na nią bez słowa.

W końcu przytaknęła ruchem głowy.

- Dobrze.

Flynt cofnął rękę.

- Mamo, to już postanowione. Josie pójdzie teraz do domu po rzeczy, zajrzy do Alvy i złoży wymówienie w barze. Zaczyna dziś wieczorem. Będzie się opiekować Leną pięć dni w tygodniu.

- Rozumiem - powtórzyła Grace, znów z tym nieznacznym uśmiechem damy. Znała dobrze swojego syna, wiedziała, że w pewnych sytuacjach nawet jej siła perswazji nie zmieni jego decyzji. - Cóż mogę powiedzieć? Skoro klamka zapadła...

- Zapadła. Josie zajmie wolny pokój obok. Obok, pomyślała Josie, czując wewnątrz falę ciepła.

Czyli będzie następujący ciąg pokoi: jej pokój, pokój Leny i pokój Flynta.

Dziecko leżące wciąż na podłodze wydało z siebie nadzwyczaj

radosny gulgot. Josie spuściła wzrok i już nie miała ochoty go podnosić. Miała przed sobą śliczną maleńką dziewczynkę z drobniutkimi loczkami i wielkimi oczami. Takie maleństwo, zwłaszcza tulone do piersi, wynagrodzi jej pewnie przykrości płynące z kabały, w jaką się niewątpliwie pakuje.

Nie miała złudzeń. Nie spodziewała się po powrocie do Carsonów ulgowego traktowania. Flynt, mówiąc ogólnie, ma trudny charakter. A znów Grace wyraźnie życzy sobie jej obecności. Kto wie, jak zareagują inni członkowie rodziny na wieść, że Josie Lavender znowu zamieszkała w ich domu?

Ale za to będzie miała to dziecko, będzie miała się o kogo troszczyć i kogo rozpieszczać. I kochać, tak, kochać.

W pokoju zapadła cisza przerywana tylko westchnieniami i dźwiękami wydawanymi przez Lenę. Josie podniosła wzrok. Flynt i Grace patrzyli na nią.

A tam, niech sobie patrzą.

- Czy mogłabym...?

- Jesteś nianią - przypomniał jej Flynt jakimś dziwnym tonem.

Może z triumfem, a może z potwierdzeniem.

W dwie sekundy Josie przeszła przez pokój i przyklęła obok dziewczynki.

- Och, jakaś ty śliczna. Jesteś bardzo szczęśliwa. Słodka, śliczna i szczęśliwa.

Dziecko zamrugało powiekami i spojrzało na Josie swoimi wspaniałymi, wielkimi oczami o barwie błękitu. Potem wydało z siebie jeden z tych dziecięcych dźwięków, które zaczynają przypominać słowa.

Josie zaśmiała się.

- Chyba powiedziała: No pewnie.
- Chcesz ją wziąć na ręce? - Pytanie Flynta zabrzmiało niczym drwina.

Josie nie miała zamiaru podejmować rękawicy.

- Oczywiście - powiedziała szczerze.- Proszę bardzo.

Josie odsunęła stojak z wiszącymi zabawkami i podniosła małą.

Lena zagulgotała i przytuliła ciemnowłosą główkę do ramienia opiekunki. Josie ucałowała jedwabne loki i poklepała małą po plecach. Kiedy się odwróciła, Flynt i jego matka wciąż jej się przyglądali.

Postanowiła nie zwracać na nich uwagi. Kołysała dziecko delikatnie w ramionach i pozwoliła sobie jeszcze na kilka całusów w satynowy policzek i idealną muszelkę ciepłego ucha.

W końcu Grace zwróciła się do syna i spytała sztywno:

- Chcesz, żebym została z Leną, póki Josie nie wróci ze swoimi rzeczami?
- Byłbym ci wdzięczny, bo ja muszę zadzwonić w kilka miejsc.
- Nie ma sprawy. - Grace położyła książkę na stoliku obok fotela i wyciągnęła ręce.

Josie niechętnie oddała jej małą.

- Powinnam wrócić za dwie, trzy godziny.
- W porządku - odparła Grace, przytulając Lenę. - Damy sobie radę.

Alva leżała na kanapie, jak zwykle. Wyglądała całkiem dobrze. Odłączyła butlę tlenową i odstawiła ją do kąta. Josie miała wrażenie, że z każdym dniem cienie pod oczami matki jaśnieją, a jej policzki nabierają

koloru. Alva usiadła.

- Josie, kochanie, właśnie sobie pomyślałam, że ugotuję nam makaron z serem. Wiem, że lubisz makaron z serem.

Josie przysiadła się do niej i wzięła ją za rękę.

- Mamo...

Alva spojrzała na córkę matczynym wzrokiem.

- Coś się stało, tak?

- Zaszło coś nieprzewidzianego. Wiem, że będziesz zaskoczona, ale dostałam pracę na ranchu Carsonów.

- Teraz? Dzisiaj?

- Tak.

- Chodzi o nianię? O opiekunkę dla tej porzuconej dziewczynki?

- Mamo, skąd wiesz o tym dziecku?

- Nie wychodzę ostatnio, ale mam jeszcze w mieście paru przyjaciół. I telefon.

- To znaczy, że wszyscy już wiedzą?

- Zawsze tak jest, prawda?

- Tak, chyba tak. - Josie pogłaskała pomarszczoną, chudą dłoń Alvy. Jej matka miała dopiero czterdzieści pięć lat, a sądząc po dłoniach, można by jej dać siedemdziesiąt albo i więcej. - Mamo...

- Wyrzuć to z siebie, dziecko.

- To praca na okrągło. Będę musiała mieszkać na ranchu pięć dni w tygodniu. Ale codziennie będę do ciebie wpadać, żeby sprawdzić, jak się masz, no i dostanę dwa dni wolne.- Rozmawiałaś już z Gusem w barze? Josie pokręciła głową.

- Zaraz do niego pójde.

- No, nie rób takiej poważnej miny. - Alva uśmiechnęła się słabo, ale jednak uśmiechnęła. - Znasz Gusa. To choleryk, ale jak będziesz chciała do niego wrócić, przyjmie cię z otwartymi ramionami.

Josie przytaknęła.

- Tak, masz świętą rację.

- On zna się na ludziach i potrafi docenić tych, którzy dobrze pracują. Zarobisz chociaż przyzwoicie w tej nowej pracy?

- Bardzo dobrze.

- I chcesz tam pracować?

- Tak, chcę.

Matka wyciągnęła rękę i odgarnęła kosmyki włosów z oczu Josie.

- Nie tylko z powodu pieniędzy?

- Och, mamo... - W jednej chwili łzy ścisnęły jej gardło.

- No, co znowu? Czemu beczysz?

- Nie beczę.

- Powiedz mi, co się dzieje.

- Wiesz, chciałabym znaleźć dobrego, porządnego mężczyznę.

Niczego więcej nie chcę, tylko żeby był dobry i żebym mogła mu ufać.

Żeby to był solidny facet.

- Kto to jest?Niespodziane pytanie matki zaskoczyło Josie.

- Co?

- Kochanie, kiedy pracowałeś u Carsonów, podejrzewałam, że tam jest jakiś mężczyzna, a potem, kiedy rzuciłeś tamtą pracę i wyjechałeś do Dallas, byłam już pewna, że coś ci nie wyszło. Było po tobie widać, że masz złamane serce, tylko nic nie mówiłaś.

Josie poklepała dłoń matki.

- Nie chciałam cię denerwować.
- Będę się bardziej denerwować, nie wiedząc, o kogo chodzi.

Josie przełknęła głośno. Właściwie czemu nie powiedzieć matce?

Alva chce tylko zrozumieć.

- O Flynta Carsona.
- O mój Boże. - Alva pokręciła głową.
- Tylko nie mów nikomu, mamuś.
- Już ty się nie martw.
- Widzę to w twoich oczach. Uważasz, że to wielki błąd.
- Nie, nie - powiedziała matka. - Idziesz za głosem serca. Jesteś

mądrzejsza, niż ja byłam kiedykolwiek. Twoje serce zna drogę.

Josie wróciła na ranczo dopiero o siódmej. Leną opiekowała się Carą.

- Josie! - Cara patrzyła na nią życzliwie. - Brakowało nam ciebie. Cieszę się, że wróciłaś.

- Ja też się cieszę. - Josie mówiła prawdę, choć trochę się też denerwowała. Nie wiedziała, czy będzie w stanie zasnąć tak blisko Flynta.

- Zostanę jeszcze z Leną - zaoferowała się Cara. - Musisz się rozpakować.

- Dziękuję.

Cara pomachała jej ręką, jakby chciała powiedzieć, że to nic takiego.

- Jadłaś kolację? Zadzwoń do kuchni, żeby ci coś przynieśli.

Pół godziny zajęło Josie układanie rzeczy w szufladach komody i wieszanie ich w niedużej szafie w jej nowym pokoju. Wzięła też ze sobą kilka osobistych drobiazgów, z którymi nie lubiła się rozstawać:

fotografię, na której były razem z Alwą, małą lekko obitą figurkę pasterza z owieczką, kawałki kwarcu znalezione podczas wycieczki do Arkansas.

No i, oczywiście, komputer.

Kiedy gospodyni przyniosła jej tacę z jedzeniem, Josie właśnie kończyła porządki. Zabrała ze sobą tacę do pokoju dziecięcego, by zwolnić Careę.

Ale nie zastała już Cary, która pewnie poszła do siebie, do małego domku niedaleko głównego budynku, gdzie zamieszkała, nim Josie zaczęła pracować u Carsonów po raz pierwszy. Nad kołyską Leny pochylał się Flynt.

Kiedy Josie weszła do pokoju, wyprostował się i odwrócił do niej. Był ubrany inaczej niż po południu. Teraz miał na sobie szare spodnie i koszulę w tym samym kolorze. Serce bolało Josie, gdy na niego patrzyła. I znowu zastanowiła się nad słusznością powrotu na ranczo.

- Wszystko w porządku? - spytał. Josie zmarszczyła czoło.
- W porządku?
- Pytam o twój pokój. Może być? Masz wszystko, co potrzebne?
- Tak, w porządku. - Pomyślała o swoim komputerze. - Cieszę się, że mam biurko. Ale jest coś...
- Mów śmiało.
- Chodzi o telefon...
- Kiedy podnosisz słuchawkę, telefon dzwoni u Anity i w kuchni, jeśli chcesz zadzwonić na zewnątrz, musisz wykręcić dziewięć.
- Tak, domyśliłam się. Chodzi mi o to, że mam w komputerze modem telefoniczny i...

Nie pozwolił jej skończyć.

- Kabel jest o wiele lepszy. Jutro rano każę zainstalować u ciebie linię.

- Nie ma takiej potrzeby. Chodzi tylko o...

- Josie, uwierz mi. Będziesz zadowolona, kabel działa o wiele szybciej.

Otworzyła usta, by zaproponować, ale w końcu z tego zrezygnowała. Skoro Flynt oferuje jej kabel do Internetu, czemu z tego nie skorzystać? Zachowa swój modem na później, przyda się, jeżeli nie wypali jej szalony plan, żeby dać im obojgu drugą szansę.

- Dobra, dzięki. Lena zaczęła marudzić. Flynt wyjął ją z kołyski, zaniósł na stół do przebierania i sprawdził pieluszkę.

- Mokra - stwierdził, pochylając się tak mocno, że o mały włos nie dotknął czołem czoła Leny.

- Oog. Guu - powiedziała Lena.

- Tak, proszę pani - odparł Flynt. - Już się robi.

- Faktycznie zabrał się natychmiast do dzieła. I nie wiadomo kiedy zapinał z powrotem jej śpiochy. - Proszę bardzo. Od razu lepiej. - Lena zamachała rękami i nogami i wydawała jakieś pozbawione większego sensu dźwięki. Przy okazji trafiła go piąstką w nos, potem otworzyła pięść i chwyciła nos Flynta. - Hej!

- Roześmiał się, łapiąc ją za rękę, która natychmiast zacisnęła się na jego kciuku. - Dosyć. - Pocałował pulchne palce.

Josie przyglądała się temu, a jej biedne serce zwyczajnie kłiwie się rozpuściło. Flynt świetnie radzi sobie z dzieckiem. I zmienił pieluchę bez zmrużenia oka.

Tak, on potrafi złamać serce. Ale ma też w sobie pozytywny

potencjał, siedzi w nim porządny gość, na którym można polegać.

Za dwa tygodnie nadejdą wyniki testu na ojcostwo, a z nimi prawda, której trzeba będzie spojrzeć w oczy. Przez ten czas stało przed Josie zadanie uwolnienia Flynta od przeszłości.

Tymczasem Flynt położył na przedramieniu czystą pieluchę i wziął Lenę na rękę.

Potem spojrział na Josie.- No co? - rzucił prowokacyjnie. Chyba widział wzruszenie w jej oczach.

Mało co nie skłamała, już miała machnąć ręką. Tylko dokąd zaprowadzi ją unikanie jego prowokacji?

Hej, myślała. Rzuciłaś pracę i zamieszkałaś obok tego faceta, to chyba nie ma sensu dłużej się ukrywać.

Zapytała więc:

- Jak w ogóle mogłeś wpaść na pomysł, żeby ożenić się z kimś takim jak Monica?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Flynt nie bardzo wierzył własnym uszom.

Nie lubił rozmawiać na temat Moniki, jego bliscy wiedzieli o tym. Josie też wiedziała. Bardzo dobrze wiedziała, do cholery.

Ludzie szanowali jego naturalną potrzebę milczenia na temat Moniki. Szanowali jego ból i wiedzieli o jego wyrzutach sumienia. Milczeli zatem.

Josie także milczała, przynajmniej do tej pory. A przecież jej wiedza była naprawdę spora. Widziała o wiele za dużo, była świadkiem piekła,

jakim stało się jego małżeństwo. Patrzyła, jak próbował utopić smutki w rzece whisky.

- Flynt?

Nie odpowiadał. Odwrócił się od niej i zaniósł Lenę z powrotem do kołyski. Spojrzały na niego niewinne oczy, małe usteczka poruszyły się bezgłośnie, ręka dziecka drgnęła.

Josie stała za nim w milczeniu.

Niech ją diabli.

Nie pierwszy raz pozwala sobie zbyt wiele.

To ona półtora roku temu zawstydziła go za pijaństwo. To ona nagadała mu porządnie, gdy wszystkim innym zabrakło odwagi. Był wtedy w kompletnym szoku.

Josie, akurat Josie. Ona, która się o niego troszczyła, która się nim opiekowała, która trzymała buzię na kłódkę i udawała, że nic nie widzi.

Przez jakiś rok po wypadku rozpieszczała go jak dziecko. Nie można tego inaczej nazwać. Nocami ciągnęła go do sypialni, nim zapił się do nieprzytomności. A kiedy zdarzało mu się tracić przytomność, zanim dotarł do sypialni, zdejmowała mu buty i nakrywała kocem. I sprzątała po nim.

Przez ten rok dała mu to, czego potrzebował wówczas od kobiety, była mu niańką i służącą. Miała cierpliwość świętej. Gdyby wcześniej ktoś mu powiedział, że to jego gospodyni zmusi go do odstawienia alkoholu, wyśmiałby go.

Owszem, w ciągu tamtego roku niektórzy próbowali rozmawiać z nim o jego picciu. Chodziła za nim matka, chodził ojciec. Któregoś dnia nasłali nawet na niego sędziego Bridgesa, żeby spróbował pokazać mu

światło.

Zignorował ich wszystkich i zapijał się dalej.

Aż tu nagle, półtora roku temu, w grudniu, Josie weszła któregoś ranka do jego gabinetu, gdy spał tam jeszcze z głową na biurku, i odsunęła wszystkie zasłony.

Wpuściła do środka jaskrawe, rażące światło dnia. Flynt jęknął, krzyknął na nią i odwrócił twarz. Nie spodziewał się, że Josie przyniesie ze sobą wiadro lodowatej wody. Ani tym bardziej, że wyleje mu ją na głowę.

Wyskoczył zza biurka wrzeszcząc wniebogłosy, wyzywając ją od najgorszych. Chciał ją złapać, a ona uderzyła go w twarz, raz a mocno. Potem zaczęła mówić.

Przygadała mu, że rujnuje swoje życie. Nazwała go tchórzem. Oświadczyła, że Flynt nie ma najmniejszego prawa traktować w ten sposób swojego organizmu. Że krzywdzi nie tylko siebie, ale wszystkich, którym na nim zależy.

Że najwyższy czas, by skończył nurzać się w żalu nad sobą. Że ma się podnieść z ziemi i pchać dalej to swoje nędzne życie.

No i jakimś cudem to poskutkowało. Od tamtego grudniowego ranka Flynt nie wziął do ust ani kropli alkoholu.

Po tamtym przemówieniu Josie wróciła do swoich zajęć. Później prawie ze sobą nie rozmawiali, wymieniali tylko konieczne uwagi, bardzo oficjalnie, jak to pan domu i służba.

- Kawy, panie Carson?
- Taa. Aha, zabrałaś może koszule?
- Są w pańskiej szafie.

- Świetnie, Josie, dziękuję.

Mimo wszystko czuł jej obecność o wiele bardziej niż przedtem. Zaczął dostrzegać rzeczy, na które nie powinien zwracać uwagi. Na przykład, że Josie jest ładna, że ma szczupłe dłonie z długimi, smukłymi palcami. Że ma białą gładką szyję, która aż prosi się o pocałunek. Że jej piersi zmieściłyby się akurat w jego dłoniach.

I wreszcie nadeszła tamta lipcowa noc. Wypadło to dwunastego, w środku tygodnia. Upał panował nie z tej ziemi.

Flynt przyjechał do domu po całej serii spotkań i objazdów. Minęła ósma wieczór. Udał się wprost do swojej klimatyzowanej części domu, nie witając się z rodziną. Miał chęć napić się. A skoro to nie wchodziło w rachubę, ograniczył się do jedzenia i ciszy. Zamierzał wziąć prysznic i wyspać się porządnie. Poprosił o przyniesienie mu kolacji do gabinetu.

Kiedy do gabinetu weszła Josie z tacą, siedział przy biurku, tym samym, które zlała wodą sześć miesięcy wcześniej. Na biurku stał laptop, Flynt studiował jakieś rysunki, projekty ewentualnej rozbudowy jednego z apartamentowców należących do rodziny.

Josie weszła cicho, jak zwykle. Potrafiła wejść do pomieszczenia, zrobić swoje i wyjść niezauważona. W gabinecie Flynta biurko stało przodem do drzwi, nie sposób zatem było jej nie spostrzec.

Flynt dobrze wiedział, że powinien kazać jej postawić tacę na niskim stoliku po drugiej stronie pokoju. Otworzył usta i powiedział zupełnie co innego.

- Podaj mi tutaj, proszę. - Pokazał jej kawałek wolnego miejsca na biurku. Podeszła do niego, unikając kontaktu wzrokowego, patrząc na tacę, jakby nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Kiedy się zbliżyła, poczuł jej świeży zapach, podobny do zapachu rosy. Postawiła tacę tuż obok niego.

Nim zdołała wymknąć się dyskretnie, złapał ją za rękę, po prostu ją złapał, i trzymał w mocnym uścisku.

Westchnęła głośno. Potem spotkali się wzrokiem, a ona szepnęła:

- Flynt.

Sam nie wiedział, kiedy zerwał się z fotela, biorąc ją w ramiona. Tulił ją do siebie tak jak w swoich marzeniach i nareszcie posmakował jej wargami.

Lena zasnęła w kołysce, jak to niemowlę. Zamknęła oczy i w ułamku sekundy odpłynęła do krainy snów, z lekko rozchylonymi wargami.

Josie trwała w milczeniu.

Flynt musiał przyznać, że ta kobieta ma nerwy ze stali. Stała tam bez słowa, czekając, aż zajmie się nią. Poddał się, wyprostował i obrócił do niej twarz.

- Nie lubię rozmawiać o Monice.

- Wiem.

Odczekał minutę czy dwie, nim znów się odezwał.

- Poznałem ją w czasie podróży służbowej do Atlanty.

- Tak, słyszałam, że była z Atlanty.

- A jest coś, czego nie słyszałaś? - zapytał nieuprzejmie. Nie miała ochoty pozwolić mu, by ustawiał ją takim tonem.

- No - odparła pogodnie. - Nigdy nie słyszałam, dlaczego się z nią ożeniłeś.

- I chcesz wiedzieć.

- Zgadza się.

Zapewne powinien jej przypomnieć, żeby nie wtrącała nosa w nie swoje sprawy, odwrócić się na pięcie i wyjść. A ona niech się zajmuje pracą, do której ją zatrudnił. Nie zrobił tego.

- Widziałaś ją. Czarne włosy, jasne oczy i wyjątkowo biała skóra. No i nazywała się Waverley. Waverleyowie to bardzo znacząca rodzina w Atlancie. - Nad kołyską Leny wisiał poruszający się motyl. Flynt stuknął go lekko i motyl zaczął tańczyć. - Monica była jedynaczką, Wychuchana, kompletną egoistką.

- W twoim typie, co? Obrzucił ją groźnym spojrzeniem.

- Udam, że tego nie słyszałem. Uniosła beztrósco ramiona.

- Jak chcesz.

Stał teraz naprzeciw niej z rękami splecionymi na piersi.

- Co się stało z tą spokojną, cichą, skromną gospodynią, którą kiedyś znałem?

Josie nie spuściła wzroku.

- Już nie jest gospodynią.

- Nie. Jesteś nianią. Ponownie wzruszyła ramionami, czekając, co jeszcze ma do powiedzenia Flynt.

I rzeczywiście zaczął mówić dalej, spełniając jej nie wypowiedzianą prośbę.

- No więc dlaczego ożeniłem się z Monicą? Cóż, powodów było wiele, wszystkie złe. Była piękna. Bardzo mi się podobało, jak tańczyła, lubiłem też jej śmiech, cieszyło mnie, że wzbudza zazdrość innych mężczyzn. Pożądałem jej. Można by powiedzieć, że mnie oślepiła. Była niczym cenna nagroda do zdobycia. Chciałem przywieźć ją do domu i

pochwalić się nią. Oto moja żona, z Waverleyów, tych Waverleyów z Atlanty.

- Czy to znaczy, że nigdy jej nie kochałeś?

- Kochać... - powiedział tonem pełnym ambiwalencji.

- To znaczy jak? Kochałeś czy nie?

- Taa, kochałem ją, albo mówiąc inaczej uważałem, że to, co czuję, to właśnie miłość. Patrząc na to z perspektywy... - nie dokończył.

- Odnosiłam wrażenie, że ty chcesz mieć rodzinę, a ona nie. Że to was dzieliło.

Już miał zaprzeczyć, lecz powściągnął ostre słowa. Skłamałby i Josie rozpoznałaby kłamstwo. Monica nie należała do cichych, spokojnych kobiet, wyrzucała z siebie wszystko, co jej leżało na wątrobie. A Josie to wszystko słyszała, zwłaszcza kiedy Monica zaszła w ciążę i z nienawiścią przeglądała się w lustrze. Nienawidziła swojego nabrzmiałego brzucha i spuchniętych kostek i nie ukrywała tego.

- Tak, ja byłem gotowy na powiększenie rodziny. Tak mi się wydawało. Skończyłem college, byłem w wojsku, walczyłem, zostałem jeńcem wojennym. Wróciłem jako bohater i zaraz potem wplątałem się w wielkie kłopoty, kiedy utopiła się Haley Mercado. - Spojrzał na nią bacznie. - Znasz historię Haley?

- Cóż, Flynt, czytam gazety.

- To była nasza wina. Moja, Luke'a Callaghana, Tylera Murdocha i Spence'a Harrisona.

- Chwileczkę. O ile pamiętam, w sądzie uznano was wszystkich za niewinnych.

- Carl Bridges nas z tego wyciągnął, ale to nie znaczy, że byliśmy

niewinni. Wróciliśmy właśnie do domu w chwale jako wojenni bohaterowie. Byliśmy strasznie napici i nabuzowani. Podpuściliśmy Haley, żeby wybrała się z nami o północy na łódkę na jezioro Maria. Łódka wywróciła się i wszyscy wylądowaliśmy pod wodą. Tyle że Haley nie wypłynęła.

- To był wypadek.

- Nie powinna była znaleźć się w tej łodzi. Nie znalazłaby się, gdybyśmy jej nie podpuścili. Wyśmiewaliśmy się z niej tak długo, aż zgodziła się z nami popłynąć.

Josie patrzyła na niego przez pokój, stojąc w tej samej co on pozycji, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

- Za bardzo zadreczasz się różnymi sprawami.- Może mam powody.

- Każdy ma mnóstwo powodów, żeby czuć się winnym. Na tym polega człowieczeństwo. Ale podnosimy się i idziemy dalej. Następnym razem bardziej się postaraj.

- Tak?

Skinęła potakująco głową.

- Tak. - Lok jasnoblonde włosów spadł jej na ramię. Podniosła rękę i założyła go za ucho.

Flynt chciał to zrobić sam, wyciągnąć rękę i poprawić jej włosy. Pokonać dzielącą ich przestrzeń, i to zaraz, i objąć ją. Przyciągnąć mocno...

Otrząsnął się, by nie zabrnąć za daleko. Nie ma prawa jej dotykać. Trzeba poczekać, może wystarczy poczekać dwa tygodnie.

A na razie...

- Masz jeszcze jakieś pytania, Josie?

- Hm - zaczęła, jakby wymagało to poważnego zastanowienia się.

Uśmiechnęła się. - Nie. Na razie to wszystko. Jesteś wolny.

Następnego ranka o dziesiątej zjawili się ludzie od kablówki, żeby podłączyć Josie do Internetu. Josie zawsze dziwiła się, jak szybko wszystko się dzieje, kiedy któryś z Carsonów ruszy palcem.

Do wieczora była już urządzona. Jedyne okno jej pokoju wychodziło na uroczą część ogrodu. Postawiła więc biurko przy oknie. W wolnych godzinach mogła tam siedzieć i pisać swój komputerowy dziennik, grać w rozmaite gry czy wymieniać listy z kilkoma przyjaciółmi z Ośrodka Opieki nad Dziećmi i z baru w Hurst, gdzie pracowała jako kelnerka.

Lubiła także czytać książki. Miejsce przy biurku nadawało się do tego idealnie.

Pierwszy dzień w nowej pracy była wyjątkowo przejęta, jakby czekała na jakiś sygnał.

Tym sygnałem była oczywiście obecność Flynta.

Miniony wieczór dodał jej odrobinę nadziei. W końcu Flynt odpowiedział na jej pytania, mniej lub bardziej szczerze. Wyobrażała sobie, że będą kontynuowali podobne rozmowy. Zrobi wszystko, by Flynt otworzył się i podzielił z nią swoimi sekretami.

Jeśli jej się powiedzie, wyniki testu na ojcostwo przestaną być dla niego takie ważne. Do tego czasu zrozumie, że mimo wszystko on i Josie są dla siebie stworzeni.

Nie widziała go przez cały dzień. Sądziła, że Flynt jest poza domem, może bawi się w kowboja i zawiął rękawy do brudnej roboty na ranczu razem z Mattem.

O określonej porze Cara przyszła ją zmienić. Trzy godziny później, kiedy Josie wróciła na ranczo, wpadła w holu na ojca Flynta. Ford Carson był w roboczym ubraniu i zabłoconych butach.

- Witaj, Josie - odezwał się swoim głębokim, schrypniętym głosem, ściągając białe krzaczaste brwi.

Zmrużył oczy, jakby chciał ją przejrzeć i upewnić się, że nie dzieje się nic podejrzanego. Josie zawsze uważała go za dobrego, uczciwego człowieka, zakochanego w żonie i zadowolonego z życia. Więc teraz, lustrowana przez niego uważnym wzrokiem, zdenerwowała się. Mimo to posłała mu przyjacielski uśmiech.

- Miło pana znów widzieć, panie Carson.

- A co u ciebie?

- W porządku.

- Cieszę się. Jak rozumiem, masz opiekować się Leną.

- Tak, to prawda.

- No i świetnie. - Wciąż patrzył na nią dziwnie, z jakimś szczególnym natężeniem. Josie miała wrażenie, że Ford Carson chce powiedzieć coś więcej, ale nie bardzo wie, od czego zacząć. - Cóż - rzekł w końcu z jeszcze większą chrypą. - Byłaś teraz u matki, tak?

- Tak.

- I co tam u niej?

- Czuje się dobrze, dziękuję.

- No i świetnie. Mam nadzieję... że wszystko się ułoży.

- Wszystko jest w porządku.

- No to się cieszę. Tak. To świetnie.

Josie pospieszyła do swojego pokoju, by zostawić drobne zakupy,

które zrobiła po drodze do matki. Następnie wpadła do łazienki umyć ręce.

Kiedy w końcu weszła do pokoju dziecięcego, okazało się, że miejsce Cary zajęła Grace. Spojrzała na nią z chłodnym uśmiechem.

- O, jesteś.
- Spóźniłam się?
- Nie, przyszłaś w samą porę.

Uśmiech Grace przybladł. Miała teraz taką minę, jakby Josie czymś ją zraniła czy może obraziła. No ale cóż, w końcu to dama. Grace zapytała:

- Jak się ma twoja matka?
- Lepiej, pani Carson. Coraz lepiej. - Co prawda poprawa była zdaniem lekarzy jedynie chwilowa, ale Grace Carson nie musi znać wszystkich smutnych szczegółów.

Grace podniosła się powoli z fotela bujanego, trzymając niemowlę w ramionach.

- Pozdrów ją ode mnie serdecznie, dobrze?
- Oczywiście, bardzo dziękuję.
- Josie, ja...

Czekała z uprzejmą uwagą, aż matka Flynta znajdzie właściwe słowa.

- Masz przed sobą całe życie. Jesteś młoda, bardzo ładna. Bardzo inteligentna.

Josie wiedziała już, że kiedy ludzie zaczynają cię tak wychwalać, to naprawdę mają dla ciebie raczej złe wieści. Nie podobało jej się to.

Odparła oględnie:

- Dziękuję.

Grace lekko skinęła głową.

- Na pewno masz kolegów, brakuje ci ich, tęsknisz za życiem towarzyskim. Ta praca... zapewne bardzo cię ogranicza. Wtedy zrozumiała. Grace wie. Wyczuła napięcie między swoją byłą gospodynią, a teraz nianią, i synem. Nie wiedziała zapewne, jak daleko się posunęli, ale nabrała przekonania, że coś ich łączy. I nie pochwałała tego.

Nagle Josie pojęła też tamto spojrzenie zmrużonych oczu Forda Carsona w holu. On też chciał z nią porozmawiać. Chciał ją poprosić, by trzymała się z daleka od jego syna.

A czego ona się spodziewała? Że przywitają ją tu z otwartymi ramionami i będą błagać, by weszła do ich rodziny?

Tak, szeptał jakiś naiwny głos, tak, tego właśnie się spodziewała.

- Spędzisz mnóstwo czasu zamknięta w tych dwu pokojach. - Grace cmoknęła językiem. - Nie wierzę, że będziesz szczęśliwa, skazana dzień i noc wyłącznie na towarzystwo tego dziecka.

Josie stała wyprostowana, z podniesioną głową.

- Pani Carson, mówiłam pani wczoraj, że kocham dzieci. I mam do nich dobrą rękę. Towarzystwo Leny zupełnie mi wystarczy. A jeśli chodzi o inne rzeczy, które pani wspomniała, to w moim życiu nie ma ani wielu znajomych, ani imprez.

- To niedobrze. Powinnaś...

- Nie sędzę. Jest jak jest. Przyjmuję życie takie, jakim jest.

- Uważam jednak, że powinnaś poważnie to przemyśleć. - I znowu to „powinnaś”. Grace chyba nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Mówiła dalej: - Ford i ja chętnie...

Josie uniosła rękę.

- Proszę nie mówić niczego, czego mogłybyśmy potem obie żałować.

Jedna z brwi Grace uniosła się aż do linii jej włosów.

- Słucham?

- Powiem tak: jeśli chce mi pani zaproponować coś w zamian za to, żebym znowu zniknęła z państwa domu. .. Nie przyjąłabym tego, za to obie pamiętałybyśmy do końca życia, że pani to zaproponowała. Lepiej więc dla nas, żeby pani tego nie mówiła, i żebym ja nie miała absolutnej pewności, że właśnie o to chodzi.

Dłoń, którą Grace dopiero co głaskała loczki Leny, znieruchomiała.

- Wiesz co, Josie? Twoja inteligencja może się obrócić przeciw tobie. Jest zbyt wyrafinowana.

Tak samo mawiał jej ojciec, zazwyczaj chwilę przed tym, zanim jej dołożył. Josie zawsze chciała mu odpowiedzieć, że ma rację, że tak, ona jest bardzo inteligentna. Inteligentniejsza od niego, to na pewno. I jest z tego dumna, uznaje to za błogosławieństwo.

Teraz Josie chciała powtórzyć to Grace Carson, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Coś pchało ją też, by wyznać Grace całą prawdę. Z podniesioną głową oświadczyć matce Flynta, że jest zainteresowana jej starszym synem i tym razem nie podda się bez walki. Ale co by zyskała takim wyznaniem? To, co ich łączy lub nie, jest wyłącznie sprawą jej i Flynta. Jego rodzina jest na drugim miejscu. Problem powstałby dopiero wówczas, gdyby między Josie a Flyntem istniał prawdziwy związek.

Na razie można mówić jedynie o wielkiej tęsknocie Josie, której nie zabiło jedenaście miesięcy rozstania.

- Cóż, w takim razie chyba nie mamy o czym mówić.
- Tak, pani Carson. Chyba nie.

Grace przekazała jej dziecko i wyszła. Josie z wielkim wysiłkiem usiłowała usunąć z myśli odbytą właśnie rozmowę.

Flynt zjawił się w pokoju dziecięcym dopiero po dziewiątej wieczorem. Josie akurat zmieniała Lenie pieluchę i zapinała jej śpiochy.

- Daj mi ją na chwilę - poprosił.

Na widok Flynta dumne serce Josie ruszyło z prędkością stu kilometrów na minutę. Podniosła Lenę ze stolika do przebierania i podała ją Flyntowi.

Flynt przytulił dziewczynkę i zwrócił się do Josie:

- Zrób sobie przerwę.

Odprawia ją. A ona wypatrywała go całutki dzień. Nie wspominając już o jego matce, która proponowała jej pieniądze za to, by wyniosła się z rancza.

Flynt obrócił się i zobaczył, że Josie pokazuje mu język. Zdziwił się, po czym roześmiał z czystego zdumienia. I zaraził ją swoim śmiechem. A jednak bardzo szybko spoważniał.

- Josie, posłuchaj... Uspokoila się natychmiast.

- Tak, o co chodzi?

- Musimy na to uważać.

- Na co?

- Wiesz na co. Oczywiście, że wie.

- To twoje zdanie, ja się z tym nie zgadzam. Pokazał jej znowu plecy, ale tylko po to, by położyć

dziecko w kołysce. Potem na powrót stanął do niej twarzą.

- Nie możemy za często przebywać razem. Musisz trzymać się na dystans.

- Dlaczego?

Potarł kark, jakby nagle rozboleły go mięśnie.

- Ostatnio wciąż pytasz dlaczego.

- Może. Może pora, żeby ktoś zadał od czasu do czasu to pytanie, nie ulegając ślepeму losowi. Bo wcale nie jest dobrze. Chyba że tego nie zauważasz.

- Jest jak jest. Nic się nie zmienia.

- Owszem. Nie zmieni się, jeśli na to nie pozwolisz.

- Pozwalanie nie ma tu nic do rzeczy.

Dzieliła ich zbyt duża przestrzeń. Josie postanowiła to naprawić.

Zrobiła krok do przodu, potem drugi.

- Josie, stój... Zostań tam, gdzie jesteś.

- Czemu się mnie boisz? Flynt zaklął cicho pod nosem. Josie uśmiechnęła się.

- Przeklinanie ci nie pomoże. - Zbliżyła się jednak, przyciskając go niemal do kołyski.

Ich spojrzenia spotkały się, potem Flynt przeniósł pełen pożądania wzrok na jej wargi.

- Odsuń się, Josie.

- Mowy nie ma. Jesteś dużo większy ode mnie. Jeśli chcesz, sam się wycofaj.

Czekała, dała mu szansę. Flynt ani drgnął. Otoczyło ją ciepło jego ciała. Powietrze między nimi drżało i dźwięczało.

- To się zmieni, Flynt - oznajmiła. - I ja tego doczekam.

- Nie - rzucił krótko.
- Tak.
- Josie... - błagał.

Nie miała dla niego litości. Przyłgnęła do niego - to było cudowne - i uniosła ku niemu usta.

Przez nie kończącą się sekundę pożądanie wisiało na włosku. I wreszcie Flynt objął ją zdesperowany i zbliżył do niej wargi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rozsądek nieprzerwanie wydawał mu rozkazy: Przestań. Puść ją. Odsuń się. I to już!

Całą reszta Flynta odmawiała spełnienia ich.

Trzymał Josie w ramionach. Pieścił jej wargi swoimi. Josie zacisnęła palce na jego ramionach, przytuliwszy się do niego całym ciałem. Wszystkimi kragłościami i wcięciami obiecywała mu to, za czym tęsknił, czego nie mógł zapomnieć i czego nigdy już nie miał osiąść.

Chyba że...

Oderwał od niej wargi, odsunął się na tyle tylko, by szepnąć w stronę jej pięknej zaróżowionej twarzy:

- Josie, przyznaj się. Przyznaj, że Lena jest... Josie wsunęła między nich rękę, zakrywając mu usta.

- Nie - wyszeptała z czułym spojrzeniem, głosem pełnym szczerego żalu. - Zapomniałeś. Miałeś mnie już o to nie pytać. To bez sensu, chyba że mi wreszcie uwierzysz.

Flynt tylko na nią patrzył. Miała rację, wiedział o tym. Nie było

sensu, by powtarzała mu w kółko to samo. Zamknął oczy i skinął głową. Miękka dłoń cofnęła się.

Chwycił ją za ramiona i odsunął.

- Idź teraz do swojego pokoju - rzekł głosem pełnym pożądaniami, które miało zostać nie zaspokojone. - Zostanę tu trochę z Leną.

Josie wzięła prysznic i włożyła obszerny czerwony T- shirt, w którym lubiła sypiać. Spędziła jakąś godzinę przy komputerze, odpowiadając na e- maile i zaglądając na strony kilku college'ów, które oferowały kursy korespondencyjne. Miała zamiar zapisać się jesienią przynajmniej na jeden z nich.

Okolo wpół do jedenastej zgasiła komputer i sięgnęła po kryminal, który leżał w rogu biurka. A gdy zamknęła książkę, okazało się, że do północy brakuje sześciu minut. Zgasiła światło.

Siedziała potem w ciemnościach, patrząc na zatopiony w księżycowym świetle ogród, mimowolnie przesuwając dwoma palcami po wargach.

Czy uda jej się dotrzeć do Flynta?

Trudno powiedzieć. W końcu jest na ranczu dopiero jeden dzień. Jeden dzień i jedną noc.

I już ją pocałował.

To chyba dobry znak?

Ale znów nie oszukujmy się, myślała. To ona się na niego rzuciła. Wepchnęła się w jego ramiona i zaczęła go całować. A on ograniczył się do brania.

O mój Boże. Szkoda tylko, że ten pocałunek był tak krótki. O wiele za krótki.

Oparła się wygodnie i przeciągnęła. Lena ma zwyczaj budzić się koło drugiej. Josie miała czas, by się trochę przespać.

Podniosła się z krzesła, oparła się o biurko i przykleiła nos do szyby.

No nie. Przysięgłaby...

Tak. Ktoś stał na dole, w ogrodzie. Dwie osoby. Jakiś mężczyzna prowadził kobietę ogrodową ścieżką. Potem przystanęli. Przez moment ich cienie zlały się w jedno. Josie westchnęła. Ci na dole całowali się namiętnie.

Ale też krótko. Teraz mężczyzna zaczął zawracać, ciągnąc za sobą trzymaną za rękę kobietę.

Kobieta chyba się ociągała. Mężczyzna odwrócił się, powiedział coś do niej. Światło księżyca padło na jego twarz.

To Matt. Młodszy brat Flynta.

Josie uśmiechnęła się. Matt i jego ukochana. Tajemne spotkanie w ogrodzie w środku nocy.

Matt chciał zaciągnąć kobietę w głąb ogrodu, w cień krzewów. Romantyczne serce Josie zaczęło bić szybciej. Przykleiła się do szyby, nie myśląc, że gdyby któreś z kochanków podniosło wzrok, zobaczyłoby jej twarz przesuwaną się za oknem niczym duck

Kobieta ponownie przystanęła i nerwowo zerknęła przez ramię. Księżyc ujawnił teraz jej twarz. Coś przyciągnęło jej wzrok do góry i po chwili kobieta patrzyła wprost na okno Josie. Na ułamek sekundy ich oczy spotkały się. Josie wpadła w panikę, że została rozpoznana.

Zaraz potem Matt wciągnął swoją wybranekę w cień. Rozpłynęli się oboje za zakrętem ścieżki.

Josie zaczęła normalnie oddychać. Opadła na krzesło i patrzyła na

ciemny ekran monitora, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Kobieta, którą całował Matt, pracowała w bibliotece w Mission Creek. Pozdrowiały się z Josie, kiedy ta wpadała po nowy stos książek.

Na imię miała Rose.

Jej nazwisko brzmiało Wainwright.

Zastanawiała się, czy powiedzieć Flyntowi, co widziała nocą w ogrodzie. Ale po namiętym pocałunku Flynt uznał za stosowne unikać jej przez dwa dni.

Aż przyszedł piątek. O szóstej po południu Grace zwolniła ją z posterunku, Josie miała więc czas, żeby wszystko przemyśleć.

Nie miała pojęcia, jak Flynt zareagowałby na wiadomość, że jego młodszy brat całuje się z młodą panną Wainwright. Należało jednak przypuszczać, że jako Carson pomiesza szyki młodym kochankom.

Alego Josie nie chciała. Czowała coś w rodzaju... Jak to się mówi? Czowała, że musi chronić Matta i Rose, ponieważ została współniczką ich sekretu. Ale też nikt nie domagał się od niej, by go zdradziła. Josie była całym sercem po ich stronie, choć mieli przeciw sobie dziesiątki lat nonsensownej nienawiści i napsutej krwi. A więc tym bardziej życzyła im szczęścia i siły, skoro już Matt Carson i Rose Wainwright pokochali się z wzajemnością.

Flynt stwierdził, że nic się nie zmieni. Dla niego Carsonowie i Wainwrightowie to wrogowie na wieki. Sam odrzucił szansę na miłość i szczęście i uważał, że wcale na nią nie zasługuje.

Josie była odmiennego zdania. A mianowicie, że człowiek nie powinien pokornie godzić się ze wszystkim. Bo przecież zakładając, że zmiana losu jest niemożliwa, lepiej z góry porzucić wszelkie próby idące

w tym kierunku.

Pierwszej czerwcowej niedzieli, cztery dni po ich pocałunku, gdy Flynt przez trzy kolejne dni unikał jej jak ognia, Josie uznała, że ma dość jego ucieczek.

O szóstej po południu wróciła od matki. Wiedziała, że Flynt wpadnie zobaczyć Lenę. Spodziewała się, że zachowa się tak jak w miniony czwartek, zaczeka, aż Josie opuści pokój dziecięcy i dopiero wtedy tam wejdzie. Postanowiła uciec się do drobnego oszustwa. Położyła Lenę spać i zgasiła światło, a sama usiadła w fotelu bujanym, twarzą do drzwi.

Siedziała tak godzinę, aż wreszcie przyszedł. Zawahał się w progu, jakby przeczuwał pułapkę. Światło z holu rysowało jego sylwetkę, twarz Flynta pozostawała w cieniu.

Zobaczył ją mimo wszystko.

- Cholera, Josie. Wstała.

- Czekałam na ciebie.

Flynt zaklął. Podeszła do drzwi i spojrzała w jego zacienioną twarz.

- Chcę pogadać.

- To nie jest dobry pomysł. - Odwrócił się. Chwyliła go za rękę.

- Zaczekaj. Znieruchomiał.

Splotła palce z palcami jego dłoni. Nie uścisnęła jej, ale też nie zabrał ręki. Pomyślała, że to dobry znak.

- Proszę - szepnęła. - Pozwól mi coś powiedzieć. Czują na sobie jego bacny wzrok. W końcu zgodził się.

- No dobra.

- Chodź. - Prześliznęła się za nim, nie puszczając jego dłoni. -

Chodźmy gdzieś, żeby nie zbudzić małej. - Pociągnęła go do podwójnych drzwi salonu po drugiej stronie holu.

Czy powinien być jej na to pozwolić? Raczej nie. Mimo to poszedł za nią.

Kiedy weszli do salonu, Josie puściła jego dłoń. Flynt podszedł do kanapy, Josie upewniła się, że drzwi są dobrze zamknięte. Flynt zapalił lampę stojącą i przeniósł wzrok na swą towarzyszkę. Boże, jaka ona jest piękna. Miała na sobie obcisłe, podkreślające biodra džinsy i ciasną koszulkę. Światło lampy rozświetlało jej jasne włosy. Patrzyła na niego znacząco, jej zielone oczy lśniły. Aż znalazła się tuż obok niego i poczuł jej kuszący zapach.

Wskazał jej miejsce na kanapie, poczekał, aż usiądzie, po czym odsunął się i przesiadł na jeden z pokrytych aksamitem foteli po drugiej stronie stolika.

Przyglądali się sobie. Flynt marszczył czoło, kąciuki ust Josie unosiły się w uśmiechu. Zganiła go spojrzeniem za żart z kanapą, w końcu stwierdziła oczywisty fakt:

- Od kilku dni mnie unikasz. Odpowiedział jej ostrożnie:
- Uznałem, że tak będzie najlepiej.
- Dlaczego?

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się rozpaczliwie. „Dlaczego” stało się jej ulubionym słowem. Rzuciła nim przy byle okazji.

Był już zmęczony odpowiadaniem na jej „dlaczego”. Zwłaszcza że i tak nie akceptowała jego odpowiedzi.

Musiała zauważyć, że tym razem wcale jej się nie doczeka. Odezwała się więc ponownie:

- Chcesz mnie poprosić o rękę, tak? Jak tylko otrzymasz wyniki testu na ojcostwo?

Flynt omal nie zrobił wielkich oczu.

- Widzę, że wszystko już zaplanowałaś?- Mniej więcej. W tej chwili odmawiasz i sobie, i mnie. Wydaje ci się, że to bardzo szlachetne, tak?

Nie widział potrzeby odpowiadać jej, toteż milczał. Josie zaś wytrwale ciągnęła:

- Nie ma powodu, żebyś mnie unikał. Zwłaszcza jeśli zamierzasz mnie wkrótce poślubić. To się nie trzyma kupy. To zwyczajna głupota.

- Dziękuję za komentarz. Coś jeszcze?

- Nie.

- I jakie wnioski?

- Chyba oczywiste. Chcę, żebyś przestał przede mną uciekać. -

Teraz ona zmarszczyła czoło, przechylając się nad stolikiem.

Zamyślił się nad jej słowami. Nad ślubem, który mieliby ewentualnie zawrzeć po otrzymaniu wyników badania krwi. I nagle zdał sobie sprawę, że być może posuwają się do przodu.

- Zaraz. Czy w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że jesteś...

Josie natychmiast pokręciła głową.

- Nawet nie kończ. Już to uzgodniliśmy.

Nie miał wyjścia, musiał stłumić rozczarowanie. Josie ma rację. Zawarli porozumienie i powinien się tego trzymać.

- Dobra.

- Myślę po prostu - zaczęła. - To znaczy uważam, że szkoda tracić czas, bo jest zbyt cenny, Flynt. Większość ludzi uświadamia to sobie za

późno. Jej stopy były obute w płócienne tenisówki na grubych gumowych podszwach i z zaokrąglonym czubkiem. Wsparała łokcie na kolanach i wbiła wzrok w te tenisówki, jakby mogła znaleźć w nich rozwiązanie istotnego problemu.

Flynt patrzył na jej ładne szczupłe dłonie, splecione między kolanami, na koronę jej białozłotych włosów i miękką linię policzka. Omal nie wyciągnął ręki, by go dotknąć.

Josie akurat podniosła wzrok.

- Może nie powinnam była wchodzić ci na głowę dwa dni temu.

Nie zrozumiał jej.

- Wchodzić mi na głowę?

- No tak, przyciskać cię do kołyski i zmuszać, żebyś mnie pocałował.

Te słowa rozbawiły Flynta.

- Nie śmieję się ze mnie - poprosiła, prostując się i unosząc głowę. - Proszę.

- A kto się z ciebie śmieje?

- Bardzo zabawne. - Wstała i nie mogła się zdecydować, co dalej, a zatem opadła znowu na kanapę. - Tobie się wydaje, że jesteś taki wielki macho, że nie mogłam cię zmusić do pocałunku. I masz rację. Ale wiem też, co do mnie czujesz. Ja czuję do ciebie to samo. Trudno się temu oprzeć.

Flynt otworzył usta, by zaoponować, po czym zamknął je bez słowa. Jaki jest sens zaprzeczać czemuś, co, jak oboje wiedzą, jest prawdą? On jej pragnie, ona pragnie jego. Dla żadnego z nich to nie nowina. Josie mówiła dalej:

- Rozumiem, naprawdę rozumiem, że nie chcesz się temu poddać. Powinnam to uszanować. Zapewniam cię, że od tej pory będę to brała pod uwagę.

Tak bardzo pragnął ją pocałować, aż do bólu.

- Naprawdę? Skinęła głową.

- Chcę tylko, żebyśmy spędzali razem trochę czasu. Żebyśmy od czasu do czasu pogadali, pośmiali się. Cieszyli się swoim towarzystwem. Nigdy tego nie robiliśmy. Byłam twoją gospodynią i przez jedną noc twoją kochanką. Teraz jestem opiekunką Leny. A przecież może być miło.

- Nie twierdzę, że nie.

- Moglibyśmy wykorzystać ten czas. Mieszkam w twojej części domu, przynajmniej na razie. Gdybyś przestał traktować mnie jak jakąś straszną chorobę zakaźną, moglibyśmy poznać się lepiej.

Flynt musiał przyznać jej rację.

Jeszcze w jednym się nie myliła. Rzeczywiście zamierzał się z nią ożenić - gdy tylko ujawni, że jest matką Leny.

Odchrząknął.

- Cóż...

- Tak? - Pochyliła się zaciekawiona, tak diabelnie pięknie zaciekawiona.- Nie widzę nic złego w twojej propozycji.

Jej twarz rozblęła jakimś wewnętrznym blaskiem.

- Nie?

- Nie. To ma sens. Usiadła wyprostowana.

- To dobrze, nie, to lepiej niż dobrze. To znakomicie. - Wyciągnęła rękę.

Zrozumiał, że chce wymienić z nim uścisk dłoni.

Czemu nie?

Pochylił się nad stolikiem i uściśnął jej dłoń.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po owej wieczornej rozmowie w niedzielę Flynt przestał wystrzegać się Josie. Dwa razy dziennie zaglądał do pokoju dziecięcego. Zachowywali się tak, jak proponowała Josie: rozmawiali, bawili się z Leną.

W poniedziałek wieczorem zjedli razem kolację. Lena drzemała. Jedli znakomicie przyrządzoną wołowinę, młode ziemniaki i szparagi.

Flynt czuł się świetnie w towarzystwie Josie. Zawsze wiedział, że jest inteligentna, a mimo to nie zdawał sobie dotąd sprawy, jaką przyjemnością jest rozmowa z nią. Zadawała celne, wnikliwe pytania i nie wahała się dzielić swoimi jasno określonymi poglądami.

Flynt do tego stopnia zasmakował w jej towarzystwie, że zaproponował, aby we wtorek znowu zjedli wspólnie kolację.

Po paru dniach wspólne kolacje przy stole w salonie Flynta stały się tradycją.

W czwartek Flynt wpadł w porze lunchu do pokoju Josie, która pisała coś na komputerze. Lena gaworzyła radośnie obok niej. Stał w progu, patrząc na nie z przyjemnością. Josie ściągnęła do tyłu włosy i spięła je czymś na karku. Miała na sobie bluzkę w wesołą różowo- żółtą

kratkę, z kołnierzykiem, ale bez rękawów. Flynt podziwiał jej szczupłe, wdzięczne ramiona. Nawet siedząc przy komputerze, trzymała się prosto.

Wreszcie odwróciła się, żeby spojrzeć na Lenę, i spostrzegła go kątem oka.

- Flynt! - Na jej twarzy zajaśniał promienny uśmiech, na który aż miło było popatrzeć. - Chwileczkę. - Odwróciła się do komputera i szybko zamknęła jakiś plik.

Nie zapraszała go do środka, ale w końcu drzwi stały otworem.

- Co słychać? - Przemierzył niewielki pokój i przystanął za jej plecami.

Lena zaśmiała się w swoim bujanym foteliku, po czym głośno westchnęła. Flynt uśmiechnął się, nie spuszczając wzroku z Josie. Jej policzki były jasnoróżowe.

Coś jest na rzeczy.

- Czym się denerwujesz?

Widział, że Josie zastanawia się, czy nie skłamać, i w końcu rezygnuje.

- Och, niczym. Piszę dziennik. Wiesz, takie tam osobiste drobiazgi.

Flynt uniósł brwi.

- O mnie?

- Nie powiem ci.- Nigdy? - Przybrał urażoną minę.

- Cóż... - poprawiła się. - Może kiedyś. Nie przejmuj się. Piszę same dobre rzeczy, zwłaszcza od kilku dni.

- Dopiero od kilku dni? Niezbyt to pocieszające.

- Uważam, że to dopiero początek. To prywatny dziennik, nie chcę, żebyś tu zaglądał. Wiem, że mógłbyś się tu dostać w dziesięć sekund, ale

jesteś uczciwym człowiekiem i nie zrobisz tego.

Miała podwójną rację. Po pierwsze, jeśli chodzi o komputery Flynt był cudownym dzieckiem. Znał wiele języków komputerowych. W wojsku pracował właśnie jako informatyk. Potrafił pokonać całkiem wymyślne zabezpieczenia i kody.

Nie wykorzystałby jednak swoich zdolności hakerskich, by naruszyć prywatność Josie. Podniósł rękę.

- Twój dziennik jest bezpieczny, nie tknę go. Spojrzała na niego z czułą wdzięcznością.

- Wiem.

Chętnie pocałowałby ją, gdyby to było dozwolone. Widok jej ust nie dawał mu spokoju. Przeniósł wzrok i spojrzał na monitor.

- Powinnaś tu zrobić porządek. Masz tu chyba ikonki, których w ogóle nie używasz - zauważył, sięgając po mysz.

Josie klepnęła go po rękę.

- Nie ruszaj. To mój komputer, mnie to nie przeszkadza.

- Ale mogłabyś...- Nie, Flynt. Zostaw to. Wzruszył ramionami.

- Dobra, to twój bałagan.

- No właśnie.

- A jak się spisuje nowy modem?

- Świetnie, dzięki. - Poruszyła się na krześle. Tyle tylko, by mu zasygnalizować, że chce wstać. Wolała go nie dotykać, skoro można tego uniknąć.

Flynt cofnął się. Nie podobał mu się ten aspekt ich wzajemnego poznawania się. Oboje nieustannie pilnowali, by się za bardzo do siebie nie zbliżyć, by nie stworzyć takiej sytuacji, kiedy obopólne pożądanie

weźmie górę nad rozsądkiem.

Josie podniosła się z krzesła i przemknęła obok niego. Flynt westchnął ciężko. Owszem, trzymał ręce przy sobie, ale czuł zapach jej świeżo umytych włosów i subtelną kobiecą woń jej skóry.

- Chodź kochanie, idziemy stąd - rzekła Josie, unosząc Lenę z fotelika.

- Może każe przysłać lunch na górę? - spytał. Josie stała z małą w ramionach, głowa przy głowie, jedna jasna, druga ciemna.

- Kanapki? W pokoju dziecięcym?

Flynt wyteńczył wyobraźnię i posunął się dalej.

- Moglibyśmy urządzić piknik na podłodze.

- Flynt! - Posłała mu jeden z tych niewiarygodnie oślepiających uśmiechów. - To kompletnie szalony, bardzo dziwny pomysł.- No. Jestem wielkim entuzjastą dziwactw. Josie pocałowała Lenę w policzek.

- Ciekawe, czemu dotąd tego nie zauważyłam?

- No dobra - przyznał. - Może nie jestem najbardziej szalonym facetem na tej planecie. A nawet gdybym był, to kiedy znaleźmy się wcześniej, okoliczności nie sprzyjały szaleństwom.

- Uhm, nie sprzyjały. Masz rację.

Oboje spoważnieli, wymieniając spojrzenia. Flynt myślał o swoim nieudanym małżeństwie, o wypadku, o swojej walce z nałogiem. Podejrzewał słusznie, że myśl Josie biegnie tymi samymi ścieżkami, z dodatkiem kilku jej osobistych trosk: choroby matki, okrucieństwa ojca i jego ponurej śmierci. A Lena? Przecież urodzenie Leny na pewno było dla niej trudną decyzją. Nie miała nikogo, była całkiem sama.

Josie pogłaskała ciemne włosy dziewczynki.

- Świetny pomysł z tym piknikiem.

Flynt zadzwonił na dół i złożył Anicie konkretne zamówienie. Po pół godzinie pojawiła się pokojówka z pledem i koszem piknikowym. Flynt rozłożył koc na podłodze, w jego rogu położyli Lenę, przysuwając do niej stojak z zabawkami.

Josie nałożyła jedzenie na talerz i podała Flyntowi wysoką szklanę z zimną wodą.

- Chcesz trochę miodu na bułeczkę? - spytała.

- Poproszę.- Może ją najpierw podziel na pół?

Flynt trzymał talerz w jednej ręce i szklanę w drugiej. Wyciągnął rękę z talerzem.

- Możesz to dla mnie zrobić?

Josie wzięła do ręki ciepłą jeszcze bułeczkę i rozdzieliła ją na dwie części.

- Wspaniale pachnie. Reynaldo zna się na rzeczy. Reynaldo Cruz gotował i piekł dla Carsonów od

ponad dwudziestu lat. Miał gorący temperament, któremu czasami folgował, ale nie zdarzyło się, żeby ktoś narzekał na jego pracę.

Josie polala miodem najpierw jedną, a potem drugą połowę bułeczki, tworząc na nich wymyślne miodowe spirale.

- Może być? - Podniosła wzrok znad talerza, patrząc prosto w oczy Flynta.

W jednej chwili ta miodowa ceremonia nabrała charakteru erotycznego.

Flyntowi zrobiło się gorąco, żołądek mu się ścisnął. Miał wielką

ochotę pochylić się i całować bez końca jej wilgotne wargi. Odstawić talerz i szklanę, odebrać Josie butelkę z miodem i umieścić ją gdzieś pod ręką. Tak. Miękka plastikowa butelka z miodem ma w sobie istotny potencjał.

Jego wyobraźnia ruszyła pełną parą. Widział już lśniąca strugę miodu, który skapuje na nagie ciało Josie, płynie do doliny jej brzucha, tworzy lepka kałużę w niewielkim zagłębieniu pod żebrami, ześlizguje się po aksamitnych zboczach po obu stronach talii. I powoli kieruje się ku sklepieniu ud.

Josie wciąż trzymała buteleczkę z miodem nad jego talerzem. Zdawało się, że Ziemia przestała się kręcić. Wargi Josie jeszcze bardziej zwilgotniały. Pociemniały jej szeroko rozwarte oczy.

- Flynt... - Uwolniła wstrzymany oddech. Flynt patrzył na jej usta. Musiał pogodzić się z tym,

że nie ma żadnego sensu tak stanowczo się opierać. Chciał ją pocałować, i to teraz. Wyszeptał:

- Tak...

Przyłgnęli do siebie czym prędzej jak dwa magnesy.

- Josie, nie wiem, czy... Och!

Te słowa padły od drzwi. Po nich nastąpił okrzyk zdumienia. Jeszcze sekunda, a wargi Flynta znalazłyby się na ustach Josie, która gwałtownie wycofała się na drugi koniec koca.

Flynt wciągnął powietrze i wypuścił je, a potem odwrócił się do drzwi.

- Możemy ci w czymś pomóc, mamó?

Grace miała taką minę, jakby zobaczyła ducha Lou Lou

Wainwright. Pobladła, jej skóra poszarzała, wargi zsiniały jak u topielicy Ofelii.

- Ja... no cóż, ja... - Przełknęła i położyła rękę na szyi.

Flynt skrzywił się, a przecież nie powinien dziwić się reakcji matki. Nie wiedziała, i nie miała się dowiedzieć, o co chodzi. Co najmniej przez pewien czas. A w zasadzie, co tu kryć, wątpił, by w ogóle kiedykolwiek wprowadził ją w całą historię.

Powoli odstawił talerz oraz szklanekę i wstał.

- Ma...

Grace wyciągnęła przed siebie rękę i rzuciła ostro:

- Nie. Nic nie mów, proszę.

Flyntowi było to tylko na rękę, chociaż przypuszczał, że matka i tak będzie domagać się wyjaśnień, kiedy trochę ochłonie. W świecie Grace Carson mężczyzna, a zwłaszcza mężczyzna, którego sama przyzwycię wychowała, nie dobiera się do pomocy domowej.

Twarz Grace wykrzywił zacięty uśmiech.

- Przyszłam zapytać Josie, czy mogłaby zrobić sobie dzisiaj przerwę trochę wcześniej. Cara ma spotkanie w mieście, a ja jestem umówiona z fryzjerką o wpół do piątej. Gdyby Josie wyszła teraz i wróciła o czwartej...

Josie podniosła się, zmiatała okruszki ze spódnicy.

- Oczywiście. Za dziesięć minut będę gotowa do wyjścia.

- No to znakomicie. A zatem wrócę za dziesięć minut. - Grace zakręciła się na pięcie i zniknęła w holu.

Lena gaworzyła szczęśliwa na podłodze. Flynt i Josie stali wpatrzeni w siebie, skonsternowani. I nie chodziło tylko o reakcję Grace i jej

ewentualne następstwa. Gdyby nie nadejście pani Carson, znaleźliby się w jednoznacznej sytuacji, którą przecież tymczasowo odrzucili. Josie przykucnęła na kocu. Flynt zrozumiał, że zamierza uprzątnąć piknik, który nawet się nie zaczął.

- Zostaw to, zawołam kogoś ze służby.

- Ale...

- Josie, zostaw to - rzekł z niezamierzoną chrypką w głosie.

Wyprostowała się posłusznie.

- No to chyba...

- Tak, idź. Weź torebkę, czy co tam potrzebujesz. Ona jednak stała bez ruchu, patrząc na niego. Jej

dolna warga drżała.

- Co? - spytał po kilku nabrzmiałych cisza sekundach. - Powiedz mi.

- Chodzi o to...

- Tak?

- Ona była... - Josie zawahała się i dokończyła potulnie: - naprawdę zszokowana.

- Przejdzie jej.

- Twojej matce nie podoba się, że jesteśmy razem. Widziałeś jej minę. Bardzo jej się to nie podoba.

- To przejdzie, a ty lepiej powiedz mi to, co naprawdę chciałaś mi powiedzieć.

- Och, Flynt.

- No mów.

- Ona... rozmawiała ze mną. Flynt od razu zdenerwował się.

- To znaczy?

Josie mocniej przygryzła wargi i potrząsnęła głową.- Lepiej porozmawiajmy o tym później. - Ruszyła przed siebie, ale Flynt zatrzymał ją.

Przeniosła wzrok na jego rękę ściskającą jej ramię, potem na jego oczy. Powietrze między nimi zagotowało się.

Ręka Flynta opadła.

- Odpowiedz mi. Josie zmarszczyła nos.

- Nie patrz tak na mnie.

- Sama zaczęłaś, musisz to wyjaśnić. Leżące na kocu dziecko zniecierpliwiło się.

- Zerknę najpierw na Lenę, dobrze? - Pochyliła się, poruszyła wiszącymi zabawkami, w końcu wzięła małą na rękę. Dziewczynka natychmiast się uspokoiła. - To było w zeszłym tygodniu, pierwszego dnia mojej pracy. Twoja matka nie mówiła nic złego, była uprzejma. I nie powiedziała nic wprost.

Josie obróciła się w stronę stolika do przebierania, położyła na nim niemowlę i zaczęła zmieniać pieluchę. Flynt stanął za jej plecami, ale nie za blisko.

- Co powiedziała?

- Że praca niani będzie dla mnie zbyt kłopotliwa i wymagająca. - Ręce Josie poruszały się pewnie. Wyciągnęła brudną pieluchę, wytarła dziecko wilgotnymi chusteczkami. - Mówiła, że kobieta w moim wieku powinna mieć znajomych i prowadzić aktywne życie towarzyskie. Że będę nieszczęśliwa, przebywając całymi dniami z Leną.- To wszystko?

Josie wytarła rękę w kolejną chusteczkę i założyła dziecku czystą

pieluchę. Lena zaśmiała się i pomachała rękami. Josie nachyliła głowę, żeby ucałować jej drobne piąstki.

- Co jeszcze? - nalegał Flynt.

- Już ci powiedziałam, nie mówiła nic wprost. Ale zrozumiałam, że zdała sobie sprawę, że coś się między nami dzieje. Ona tego nie pochwała. A zatem próbowała zniechęcić mnie do tej pracy, do mieszkania w twoim skrzydle domu.

Wzięła dziecko na ręce.

- Daj mi ją.

Josie podała mu Lenę.

- Twoja matka nie jest głupia, Flynt. Wie, że nie rzuca się zapalonej zapalniczki, jeśli nie chce się rozpaść ognia.

Flynt przytulał Lenę, podtrzymując od tyłu jej główkę. Był zły na matkę i wściekły na Josie.

- Dlaczego dopiero teraz mi to mówisz?

Josie ściągnęła łopatki. Zawsze tak robiła, kiedy czuła się atakowana.

- Bo nie będę latać do faceta z każdym słowem, które usłyszałam od jego matki. Poza tym to wszystko było między wierszami.

- Mimo to powinienem o tym wiedzieć.

- No to ci mówię.

Opuściła minimalnie ramiona. Lena zaśmiała się swoim słodkim, łagodnym głosem, tuż przy uchu Flynta. Josie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Powiem ci więcej. Jeszcze usłyszysz, co twoja matka o nas myśli. I tym razem to nie będzie grzecznie i oględnie.

I jak mógł na to zareagować? Wiedział, że przewidywania Josie są słuszne.

Teraz uniosła ramiona ze smutkiem.

- Idę naszykować się do wyjścia.

Zostawiła go z dzieckiem i nadzieją, że Grace będzie miała dość rozumu, by dwa razy pomyśleć, nim wtrąci się w sprawy, których nie rozumie.

Tego wieczoru ojciec poprosił Flynta na rozmowę do swojego gabinetu na dole.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ford podniósł się zza swojego masywnego biurka z drewna czereśniowego. Przy tym biurku siadywali patriarchowie rodziny od dnia, w którym Big Bill podjechał do niego na swoim wózku inwalidzkim.

- Cygaro, synu? - Ford otworzył pojemnik stojący na skraju biurka.

Flynt siadł na obitym skórą fotelu naprzeciw ojca.

- Wiesz, że mama dostałaby ataku serca, gdybyś naprawdę je zapalił.

Ford potrząsnął białą głową, robiąc pełną żalu minę, i zamknął cygara w szczelnym pudełku.

- Chyba masz rację, niestety. Nie wolno mi już palić. Od czasu operacji serca, którą przeszedł Ford, Grace

pilnowała jego diety, bacznie kontrolowała ilość wypijanego przez niego alkoholu i surowo zabroniła mu wszelkich używek tytoniowych.

Ford trzymał cygara na biurku, by częstować nimi gości, ponieważ było

to w dobrym tonie. W końcu był Carsonem z krwi i kości, i powinien zachować wizerunek hodowcy bydła. Częstowanie dobrym cygarem było częścią owego wizerunku. Flynt zapytał:

- O czym chcesz ze mną porozmawiać? - A przecież cholernie dobrze wiedział.

Ford odchrząknął, jakby z namysłem, i usiadł na powrót w swoim wielkim fotelu z wysokim oparciem, obitym czerwoną bawołą skórą.

Flynt czekał. Ojciec nieraz potrzebował czasu, by dotrzeć do sedna. Nie było sensu go poganiać. Starszy pan funkcjonował w swoim tempie.

Ford odchylił się do tyłu, oparł ręce na wyściełanych podłokietnikach i patrzył zamyślony na mosiężny żyrandol nad głową. Flynt czekał. W końcu Ford poruszył się, przesunął do przodu, oparł ręce na biurku i splótł dłonie.

- Synu, bardzo zmartwiłeś swoją matkę.

Flynt nadal milczał. Nie miał nic do powiedzenia, najwyżej mógłby mruknąć jakieś: Tak? Doprawdy? A czemu to? - co nie miałyby najmniejszego wpływu na wykład, jaki zamierzał wygłosić jego ojciec.

- Matka widziała cię dzisiaj z Josie Lavender. - Ford ściągnął krzaczaste brwi, patrząc na syna z powagą i naganą. - Twoja matka jest przekonana, że przerwała wam gorący pocałunek.

Flynt w dalszym ciągu milczał. Ford odchrząknął po raz wtóry.

- Więc tak. Po pierwsze, muszę cię zapytać, jak daleko to zaszło?

Zanim Flynt odpowiedział, minęła chwila pełnej napięcia ciszy.- To nie twoja sprawa, tato.

- Mylisz się. To jest moja sprawa. To jest mój dom, a ty jesteś moim synem.

Flynt nie mógł tego tak zostawić.

- Chwileczkę, tato. Zdawało mi się, że umówiliśmy się co do domu wiele lat temu. I o ile dobrze pamiętam, uzgodniliśmy, że moje skrzydło domu to jest mój dom, a nie twój. Jeśli chcesz to zmienić, nie ma problemu. Znajdę sobie coś...

- Powoli. Nie mówmy nic, czego mielibyśmy potem żałować.

- Zaufaj mi, tato. Albo to skrzydło jest moje, albo nie jest. A jeśli nie jest, wyprowadzę się.

- To ty mnie posłuchaj. Nikt nie chce, żebyś się wyprowadzał. Po prostu twoja matka denerwuje się, że zatrudniłeś znowu Josie.

- Dlaczego?

- Już ty dobrze wiesz, dlaczego.

- Josie znakomicie radzi sobie z Leną. Ciężko pracuje. Wiem, że mogę na nią liczyć.

- Rok temu...

- Zapomnij o tym, co było rok temu. Teraz pracuje bardzo dobrze i tylko to się liczy.

Ford mocniej ściągnął brwi.

- Posłuchaj, porozmawiajmy wprost. Romansujesz z tą dziewczyną?

Na to pytanie Flynt miał prostą odpowiedź:

- Nie. Ford przechylił się przez biurko i zniżył głos.

- Ale do tego dążysz? - spytał i ciągnął, nie czekając na odpowiedź.

- Postępujesz źle i sam o tym wiesz. Wychowywaliśmy cię z matką na uczciwego człowieka. W tym domu nikt nie wykorzystuje służby.

Lavender jest śliczną i miłą dziewczyną. Ale wiem bardzo dobrze, że nie myślisz się z nią ożenić. A skoro tak, nie ma mowy o żadnym romansie.

Potraktowałbyś ją nieuczciwie. Sam wiesz, że nie miała łatwego życia. Widzę, że chce żyć z godnością. Poza tym nie zapominaj o swojej pozycji w tej społeczności. Nie masz prawa wykorzystywać tych, którym szczęście nie dopisało tak jak tobie.

- Nikogo nie wykorzystuję - zaprotestował Flynt. I była to prawda.

Co innego rok temu, ale Ford

nic nie wiedział o tamtym zdarzeniu.

- Ona jest opiekunką do dziecka, a ty jej pracodawcą. Jej praca i środki do życia zależą od ciebie. O ślubie nie ma mowy w żadnych okolicznościach. Dla mnie to się nazywa wykorzystywanie.

Flynt doszedł do wniosku, że należy wyłożyć ojcu swoje plany.

- Mylisz się, tato. Jest całkiem prawdopodobne, że ożenię się z Josie.

Ford siadł prosto, jakby kij połknął.

- Co powiedziałaś?

- Jeśli... jeśli się między nami ułoży, poślubię Josie.- Chyba nie mówisz tego serio.

- Jak najbardziej serio.

- Synu... - Ford opadł na fotel ze smutnym wyrazem twarzy. -

Rozumiem cię, wierz mi. Nawet nie wiesz jak dobrze. Kiedyś, lata temu, zanim poznałem twoją matkę, był ktoś inny. Ożeniłbym się z tamtą kobietą, ale wtrąciło się przeznaczenie. Każdego dnia mojego życia dziękuję za to losowi. Twoja matka jest dla mnie idealną żoną. Pochodzi z dobrej rodziny, jest inteligentna i opiekuńcza, i wciąż tak piękna, że zapiera mi dech.

- Tato...

- Nie, posłuchaj. Pozwól mi skończyć. Chcę ci powiedzieć, że twoja matka jest właśnie taką kobietą, jakiej potrzebowałem u swojego boku. Co dzień dziękuję Bogu, że nie zaprzepąściłem szansy spotkania jej. Dla ciebie też ktoś się znajdzie. Przekonasz się. Ktoś równy tobie. Ktoś, kto będzie pasował do twojej rodziny. Kto będzie umiał poruszać się w kręgach, w których ty się poruszasz.

Flynt nie był w stanie dłużej tego słuchać.

- Ktoś taki jak Monica, tak?

- Obaj wiemy, że Monica...

- Pochodziła z Waverleyów z Atlanty. Pasowała tu idealnie. Była wymarzoną synową, dla ciebie i mamy. Tyle że moje małżeństwo okazało się kompletną klęską.

- Monica była... bardzo nerwowa.

- O nic jej nie oskarżam.- Ja też.

- Mówię tylko, że nasze małżeństwo było błędem. Owszem, pochodziła z dobrej rodziny, odebrała znakomite wychowanie. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Unieszczęśliwiliśmy się tylko, każde z nas oczekiwało od życia czego innego.

- Tak. I wciąż to przeżywasz. Nie chcielibyśmy z twoją matką, żebyś popełnił jakiś błąd z tego powodu. W małżeństwie musi być jakaś wspólna podstawa. Podobne doświadczenia i podobne oczekiwania wobec życia. No i wzajemne zrozumienie.

Flynt usłyszał już wszystko, czego miał zamiar wysłuchać. Podniósł się z fotela.

- Tato, więc innymi słowy informujesz mnie, że Josie nie zasługuje na Carsona. No to powiem ci, że cholernie zasługuje. A jeśli ktoś tu nie

jest wystarczająco dobry, to już raczej ja.

Ford kręcił głową.

- Jesteś dla siebie niesprawiedliwy, zawsze taki byłeś. Wiem, że wiele rzeczy nie ułożyło ci się, tak jak chciałeś. Co nie znaczy, że masz się wiązać z kobietą z zupełnie innej sfery.

Flynt tracił cierpliwość. Z trudem pohamował wybuch gniewu.

- Wykaż trochę szacunku, tato. Pozwól, że sam zdecyduję, kto do mnie pasuje, a kto nie.

- Robisz wielki błąd.

- Robię to, co uważam dla siebie za najlepsze. Ogorzała, pomarszczona twarz Forda spochmurniała.

- Wygląda na to, że podjąłeś decyzję i nikt cię nie przekona.

- Masz rację, tato. Prawdopodobnie poślubię Josie Lavender. Lepiej żebyście zaczęli się z mamą przyzwyczajać do tej myśli.

- Ślub... - Ford przesunął dłonią po twarzy, wyprostował się i zmrużył oczy, jakby coś mu przyszło do głowy. - Zaczekaj no.

Flyntowi ścisnął się żołądek.

- To dziecko...

Flynt nawet nie mrugnął.

Za to Ford nagle wszystko zrozumiał.

- Chodzi o to dziecko, tak? To ma coś wspólnego z Leną? Powiedz mi natychmiast. Chcesz znaleźć matkę dla Leny i wybrałeś sobie Josie.

Flynt uparcie milczał.

- Mój Boże. - Sądząc po wyrazie jego twarzy, Ford posunął się w swych przypuszczeniach dalej. - Flynt, czy Josie jest matką tego dziecka?

Gdy syn odmówił odpowiedzi, Ford głęboko westchnął.

- Nie powiesz mi?
- Nie, tato. Wybacz. Musisz mi pozwolić żyć moim własnym

życiem.

- Ale nie zaprzeczasz, że ona jest matką? To dlatego ta biedna dziewczyna zniknęła w zeszłym roku. Wykorzystałeś ją i wyrzuciłeś z domu, albo sama uciekła. Ford trafił w dziesiątkę, ale Flynt patrzył na niego w milczeniu. Wreszcie ojciec zdenerwował się:

- Co się tu do diabła dzieje?
- Powiedziałem ci wszystko, co w tej chwili mogę.
- Czyli nic.
- Wybacz, zrobiłem, co mogłem.

Flynt poszedł prosto do swojego skrzydła budynku. Josie siedziała na fotelu bujanym, kołysząc Lenę do snu.

Podciągnęła rolety i zgasła lampy. Pokój oświetlało jedynie miękkie światło księżyca i zapalone kinkiety z holu. Panował srebrny półmrok i Flynt widział ją wyraźnie.

Josie też go zobaczyła. Położyła palce na ustach. Skinął głową i wszedł w ocienioną przestrzeń, czekając, aż Josie położy małą w kołysce. Księżyc wplatał się w jej włosy i kładł na policzku, kiedy nachylała się nad śpiącą dziewczynką. Jej włosy wyglądały jak srebrny jedwab, a policzek jak płatek białej róży.

- Śpi? - szepnął, kiedy Josie wyprostowała się.
- Uhm.

Wyciągnął rękę. Spojrzała na nią, podejrzliwie i chętnie. Doskonale wiedział, co Josie czuje.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli pogadać. Poprowadził ją

do salonu i pchnął lekko na kanapę.

Josie spojrzała mu w oczy.

- Co się stało?

Czy jest sens powtarzać słowa ojca? Flynt w każdym razie go nie widział. Znał dobrze swoich rodziców. Zaakceptowałyby każdą kobietę, z którą by się ożenił.

Może nie do razu, ale na pewno. Owszem, mieli jakieś snobistyczne zastrzeżenia co do swoich przyszłych synów, ale w głębi serca byli dobrymi, uczciwymi ludźmi.

Flynt postawił sobie teraz jeden ważny cel. Chciał pokazać wszystkim, że nie kryje się z Josie, że jest z niej dumny. Że to nie jest jakiś pokątny romans. Bo kiedy wyjdzie na jaw prawda o Lenie, i tak będą musieli trzymać się razem. Warto zatem zacząć od razu.

- Chciałbym, żebyś ze mną wyszła - oznajmił. - Jutro wieczorem. Pójdziemy do klubu, do Empire Room.

Josie wytrzeszczyła oczy.

- Empire Room. - Delikatnie cofnęła rękę. - Och, Flynt, nie wiem. Tam jest tak... oficjalnie.

- To prawda.

Sam uważał to miejsce za zbyt sztywne. Wystrój zbyt kłopotliwie luksusowy, narzucający się przepychem. Wszystko było w kolorze bładoniebieskim połączonym z odcieniem kości słoniowej, z dodatkiem złota na krzesłach, żyrandolach i ozdobnych medalionach, które dekorowały bładoniebieskie ściany. W restauracji o nazwie Empire Room wymagano od mężczyzn marynarki i krawata, a panie wkładały zazwyczaj swoje najelegantsze suknie.

- A może znaleźlibyśmy jakieś przyjaźniejsze miejsce? - zaproponowała z nadzieją Josie.

- Nie - odparł. - To niemożliwe. Wargi Josie skrzywiły się żałościennie.- Czemu nie? Bawiłabym się o wiele lepiej, gdybyśmy mogli swobodnie rozmawiać.

Flynt chwycił ją za rękę.

- Powiedziałaś, że chcesz dać nam szansę. Poczła falę rozkosznego ciepła.

- Tak, Flynt, bardzo.

- No właśnie, więc zaczynamy. Musimy pokazać się w miejscu, gdzie ludzie chodzą, żeby się zaprezentować i popatrzeć na innych.

Cofnęła się odrobinę, bo Flynt nie chciał jej puścić.

- Chodzi ci o to, żeby się pokazać?

- A co w tym złego? Czas, żeby ludzi zaczęli nas widywać razem.

Josie zmarszczyła czoło.

- Co się stało? Bo coś się stało, prawda? Czy Grace...

- Nie przejmuj się Grace. Od tamtego popołudnia prawie się do mnie nie odzywa.

- Nie rozmawia z tobą? Och, Flynt.

- Posłuchaj, Josie. Matka rozmawia ze mną. Przestań się nią przejmować. - Uniósł jej dłoń i pocałował, posyłając jej czułe spojrzenie.

Josie poczuła wypieki na policzkach. Nie była głupia, nie pozbyła się tak łatwo podejrzeń.

- Coś mi tu nie gra.

- Wszystko jest w porządku. Zapraszam cię na kolację do Empire Room. Dotąd nie usłyszałem twojej zgody.

- Ale...
- Dostyc tych ale. Powiedz tak albo nie.- Flynt, ja...
- Tak czy nie, Osie?
- No, niech będzie.
- Cholera, Osie Czy to znaczy tak?
- Bardzo zabawne. A wiesz, słyszałam, że dają tam kiepsko jeść.
- Kto ci to mówił?
- Och, proszę. Nie zdradzę, bo komuś spadnie głowa.
- Masz przesadne wyobrażenie o moich wpływach.
- Nieprawda, i... poczekaj chwilkę. A kto się zajmie Leną?
- Tym się nie martw. Zresztą i tak w piątki od szóstej masz wolne.
- To prawda. Ale muszę mieć jeszcze trochę czasu.
- Na co?

Spojrzała na niego z porażającą wyższością.

- Kiedy dziewczyna zostaje zaproszona na kolację do Empire Room, a między zaproszeniem i randką jest mniej niż dwadzieścia cztery godziny, to trzeba wezwać pogotowie ciuchowe.

- Chcesz sobie kupić nową sukienkę?
- Twoja inteligencja mnie szokuje.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

O ósmej Flynt miał wpaść po Osie do domu jej matki. Cara zmieniła ją o trzeciej po południu.

- Ważna randka? - zapytała siostra Flynta, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Już słyszałaś?
 - Tak. I bardzo się cieszę.
 - Szkoda, że twoja matka nie podziela tej radości.
 - Daj jej czas.
 - Na co?
 - Żeby przekonała się, że Flynt jest z tobą szczęśliwy. Wtedy zmieni zdanie. I wcale nie trzeba będzie na to długo czekać.
 - Mówisz tak, jakbyś była tego pewna.
 - Bo znam matkę. Ma swoje wady, ale nie jest ślepa. Już niedługo sama zauważy, że Flynt zaczął się znowu uśmiechać.
 - Och, mam nadzieję.
 - Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Słyszałam, że wybierasz się po zakupy.
 - Potrzebna mi elegancka suknia.
 - Zajrzyj do „Salonu Mody”. Osie omal nie skrzywiła się. „Salon Mody” w Mission Creek był najdroższym sklepem w mieście. Wszystkie wchodzące w dorosłe życie panny udawały się tam, by zamówić olśniewające białe kreacje na swój pierwszy bal, tak zwany Bal Debiutantek. Tam również panny młode z najlepszych rodzin znajdowały piękne, oryginalne suknie ślubne. Salon oferował także markowe stroje dla kobiet interesu oraz szeroką gamę fantazyjnych ubrań na wieczór.
- To był dobry adres dla Josie z jednym zastrzeżeniem - oferowany tam towar nie był na jej kieszeń.
- Cara roześmiała się, dobrze rozumiejąc jej obawy.
- Zerknij na wieszaki z tyłu, z wyprzedażą, tam gdzie są gotowe ciuchy. Zdziwisz się, jakie tam znajdziesz okazje.

Czas płynął wyjątkowo szybko. Josie wiedziała, że powinna raczej skierować kroki do jednego ze sklepów w nowym supermarkecie na Mission Creek Road. A jednak nie posłuchała głosu rozsądku i poszła za radą Cary.

Salon był uroczy i bardzo kobiecy, cały w różach, bieli i złocie. Piękne suknie występowały we wszystkich kolorach tęczy. Josie obrzucała tęsknym spojrzeniem mijane wieszaki. Rzut oka na metkę z ceną kazał jej iść dalej.

Kierowała się zatem na tyły sklepu. Stały tam dwa okrągłe wieszaki z różowymi tabliczkami, a na każdej z nich złote litery ogłaszały wyprzedaż. Josie znalazła swój rozmiar i zaczęła od sprawdzenia ceny.

Wciąż wszystko było dla niej za drogie.

Przeszła do drugiego wieszaka i zakreśliła nim, szukając tej jednej jedynej sukni, która okaże się tak idealna, oszałamiająca i absolutnie wspaniała, że jej cena stanie się sprawą drugorzędną.

- W tym będzie pani znakomicie - odezwał się za jej plecami łagodny, znajomy skądś głos.

Josie zakreśliła się i o mały włos nie krzyknęła. Znała tę twarz, te gładkie, proste kruczoczarne włosy. I te oczy o barwie bławatków.

- Dzień dobry, panno Wainwright. Jak się pani ma?

- Witaj, Josie. - Fiołkowe oczy zasnuwał cień jakiegoś strapienia. - Mów mi Rose, bardzo proszę. Chyba znamy się wystarczająco dobrze.

- Tak. Chętnie, Rose. - Josie widziała w myślach tamten pocałunek w ciemnym ogrodzie Carsonów i twarz kobiety uniesioną zaraz potem do okna, zalaną srebrzystym światłem księżyca.

- W tym kolorze będzie ci do twarzy. - Rose pokazała jej suknię,

prostą suknię do kolan z pięknej satyny.

Ciemna zieleń sukni mieniła się zależnie od światła, które wyławiało przebliski jasnej zieleni, złota, a nawet głębokiej czerni.

Josie wzięła suknię do ręki.

- Dziękuję, przymierzę ją.- Nie widziałam cię ostatnio w bibliotece

- zauważyła Rose.

- Byłam bardzo zajęta. Ale chyba nie zalegam...

- Hm - odezwała się Rose z poważną miną, która rozbawiła Josie. -

No tak. Zaległe książki. Teraz już wiesz, dlaczego cię śledzę. Aha, powiedziałam sobie. To jest ta Josie Lavender. No to ja jej teraz pokażę, co o niej myślę.

Kobiety wymieniły spojrzenia, po czym ni stąd, ni zowąd, wybuchnęły śmiechem, i to tak szalonym, że zakryły zaraz usta, by go powstrzymać. Nadaremnie.

- Wszystko w porządku? - Puszysta kobieta o sympatycznej twarzy, właścicielka sklepu, podeszła do nich szybkim krokiem.

Rose natychmiast opanowała się, Josie walczyła z sobą jeszcze chwilę.

- Tak, pani McKenzie - zapewniła Rose. - Wszystko w porządku, oglądamy sobie.

- To i dobrze. Co tam słyszeć, Rose?

- Dziękuję, dobrze. - Rose przedstawiła właścicielkę salonu i zwróciła się do Josie: - To właśnie Margaret McKenzie zawdzięczam suknię na mój pierwszy bal kilka lat temu.

- To prawda. - Margaret poklepała Rose po ramieniu. - Rose to jedna z moich dziewcząt. - Dotknęła ramienia Josie. - Mam nadzieję, że

znalazła pani to, czego pani szuka?

- O tak, bardzo dziękuję.- Zawołajcie mnie, gdybym mogła w czymś pomóc.

Rose odebrała z rąk Josie zieloną suknię i podała ją pani Margaret McKenzie.

- Josie przymierzy tę.

- Dobry wybór - pochwaliła Margaret McKenzie. - Cudownie pasuje do pani oczu. Przygotuję dla pani przebieralnię.

Gdy tylko właścicielka sklepu pokazała im plecy, Rose chwyciła Josie za rękę i wciągnęła ją za dragi wieszak z wyprzedają. Rozejrzała się nerwowo dokoła i upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy, szepnęła:

- Nie powiedziałam Mattowi, że widziałam cię w oknie, że nas zauważyłaś. On bardzo... bardzo mnie chroni. Gdyby wiedział, że ktoś nas odkrył, nie wiem, do czego byłby zdolny. A ja mam absolutną pewność, że ty nikomu nie powiesz.

- Nie, Rose, przysięgam. Im więcej o tym myślałam, tym gorszym pomysłem wydawało mi się informowanie kogokolwiek. Nie pisnęłam słowem.

- Mam nadzieję, że już tego nie zrobisz.

- Nie zrobię. Nigdy, obiecuję.

- Wierzę ci. I jestem ci bardzo wdzięczna. Oboje z Mattem wiemy, że nie ma dla nas nadziei, a jednak...

- Och, Rose. Nie mów tak. Nigdy nie mów, że miłość jest beznadziejna.

- Nawet jeśli to prawda?- Nie wolno ci ulec takiemu myśleniu. Musisz walczyć o swoje. To jedyny sposób.

Rose potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz.

- Rozumiem.

- Tak ci się wydaje. Nie nazywasz się ani Wainwright, ani Carson.

To przez mojego pradziadka pradziadek Matta znalazł się na wózku inwalidzkim. A to był dopiero początek. - Rose westchnęła. - Wiem, wiem. Widzę to po twojej minie. Pewnie już to wszystko słyszałaś. Dla ciebie to pewnie tylko smutna historia z przeszłości. Ale dla nas, dla mojej rodziny, to nasze życie. Nienawidzimy Carsonów, mamy to we krwi. A oni nienawidzą nas. I tak ciągnie się już od wielu pokoleń. Nie widzę żadnej możliwości, żeby to zmienić.

Josie stwierdziła, że Rose mówi tak jak Flynt. Jest jak jest, upierał się niewiele ponad tydzień wcześniej. Nic się nie da zmienić.

Niemniej jednak wszystko się zmienia. Komu by kiedyś przyszło do głowy, że Josie Lavender wybierze się do „Salonu Mody”, żeby kupić elegancką suknię na randkę z Hyntem Carsonem?

- Rose, jeśli go kochasz, trwaj przy nim. Niezależnie od wszystkiego. Nawet jeśli wydaje wam się to niemożliwe.

Rose uśmiechnęła się z taką rezygnacją, że Josie była bliska płaczu. - Josie, tyłe przeszłaś w życiu, a wciąż jesteś taka naiwna.

Josie przymierzyła tylko jedną suknię, tę, którą wybrała Rose. Suknia była równocześnie prosta i wspaniała, pasowała do jej karnacji i podkreślała barwę oczu. Poza tym można by pomyśleć, że ktoś uszył ją specjalnie dla niej.

Margaret McKenzie wydała z siebie mnóstwo ochów i achów, a następnie gorąco namawiała Josie do zmierzenia fantastycznych czarnych

sandałków, których cienkie paski były ozdobione błyszczącymi zielonymi kamykami.

- Mamy wyjątkowy rabat - wyjaśniała. - Jeśli kupi pani sandałki i tę śliczną małą torebeczkę, suknia będzie panią kosztować połowę ceny z wyprzedaży.

W ten sposób za trzy rzeczy Josie miała zapłacić tyle, co za samą suknię.

- To się nazywa wyprzedaż - stwierdziła, nie wierząc własnemu szczęściu.

- Tak - odparła pani McKenzie z błyskiem w oku. - Prawda?

Flynt podjechał pod dom Alvy punkt ósma. Przyjechał jednym z rodzinnych cadillaców. Josie tak to przeżywała, że stała przy oknie długo przed czasem, wyglądając zza firanki. Co najmniej od godziny była gotowa do wyjścia. Za jej plecami siedząca na kanapie Alva zaśmiała się ostrożnie, żeby się nie zadławić.

- Kochanie, nikt ci nie mówił, że to mężczyzna powinien czekać na kobietę?

- Mamo, wiesz, że to nie w moim stylu. Jest! Wysiada z pięknego samochodu. I och, jest wprost zabójczo przystojny.

- I w garniturze?

- No pewnie. Idzie tu. - Puściła firankę i odwróciła się do matki, wyglądając suknię. - Jak wyglądam?

- Fantastycznie.

- Och, mamo. Tak się cieszę, że to powiedziałaś. Rozległo się stukanie do drzwi. Josie niemal natychmiast Otworzyła je na oścież.

- No no! - rzucił Flynt.

- Tobie też nic nie brakuje.

Samochód podjechał wysadzany dębami podjazdem pod główne wejście klubu Lone Star. W jednej chwili pojawił się boy, który otworzył drzwi od strony Josie, pomógł jej wysiąść, a następnie okrążył szybko auto, by otworzyć drzwi Flyntowi. Potem usiadł za kierownicą i odprowadził samochód na parking.

Flynt wziął Josie pod rękę i poprowadził ją po schodach. Szklane drzwi rozsunęły się na całą szerokość. Weszli do obszernego holu wyłożonego teksaskim różowym granitem, minęli słynną klubową fontannę, tak- że z różowego granitu, której tryskające, połyskujące kaskady sięgały połowy drogi do wysokiego sufitu.

Empire Room znajdował się na prawo. Kierownik sali już ich oczekiwał.

- Panie Carson, jak się pan dziś miewa?

- Doskonale, Marcus.

- Bardzo się cieszę. - Kierownik skinął głową w kierunku Josie. -

Witamy w Empire Room.

Josie obdarzyła go uprzejmym uśmiechem, mężczyzna zdjął z półki dwie karty dań ze złotymi frędzlami.

- Tędy proszę.

Ledwo usiedli, przybiegł do nich niewysoki łysiejący mężczyzna w czarnej marynarce i muszce w tym samym kolorze. Flynt przedstawił go Josie. Był to Harvey Small, kierownik klubu. Harvey wyraził wielką radość z poznania Josie i zaproponował im medaliony cieleące. Potem ulotnił się równie szybko, jak się pojawił.

Po nim zbliżył się kelner z listą win. Flynt rzucił Josie pytające

spojrzenie. Gdy pokręciła głową, oznajmił kelnerowi, że rezygnują tego wieczoru z wina.

Z sąsiednich stolików machali do nich ludzie. Kilka osób zatrzymało się nawet, by się przywitać, gdy kierownik prowadził ich do stolików. Za każdym razem Flynt przedstawiał Josie, po czym następowała wymiana kurtuazyjnych uśmiechów i słownych grzeczności.

Obawiali się, że przy takim zainteresowaniu bliźnich nie zdołają nigdy złożyć zamówienia. Ostatecznie wybrali przystawkę i zupę, a nawet danie główne, owe polecane przez Harveya Smalla medaliony cielece.

Kiedy podano klubową wodę mineralną, Flynt wznosił szklanekę i stuknął się z Josie.

Wszystko szło jak z płatka. Josie nie denerwowała się tak bardzo, jak przewidywała. Moźni goście Empire Room, którzy widzieli w niej intruza, zatrzymali uprzejmie tego rodzaju opinie dla siebie, posyłali jej uśmiechy i witali się układnie, nie wdając się w rozmowę.

Flynt chyba naprawdę dobrze się bawił. Opowiadał jej o swoich kolegach z Virginia Military Institute, z którymi znalazł się w jednym oddziale podczas wojny w Zatoce.

Byli właśnie w połowie głównego dania - Josie stwierdziła, że medaliony są trochę za twarde, ale nie powiedziała tego na głos - kiedy przy sąsiednim stoliku zasiadło dwóch przystojniaków o latynoskiej urodzie.

Flynt wymienił z nimi dość sztywne ukłony.

Josie nachyliła się nad stołem.

- Kto to?

- Ten wyższy to Ricky Mercado, drugi to Frank Del Brio.

- O rety.
- Taa. O rety jest jak najbardziej na miejscu.
- Ricky Mercado też był w twoim oddziale podczas wojny?- Tak.

Kiedyś przyjaźniliśmy się nawet.

- A potem...
- Utopiła się Haley Mercado. To jego siostra. Ricky oskarżył nas, mnie, Spence'a, Tylera i Luke'a. Zresztą miał rację, już ci to mówiłem.

Josie zbesztła go wzrokiem.

- Skończ z tym.
- Z czym?
- Z tym poczuciem winy. Zabraniam ci. Przynajmniej dziś wieczór.

Flynt uśmiechnął się na to.

- Tak jest, proszę pani.

Josie zniżyła głos do szeptu, którym można już bezkarnie wszystkich obgadywać.

- Słyszałam, że Frank Del Brio był zaręczony z Haley.
- Taa. Nikt z nas nie dawał wiary, że się z nim związała.
- Może jej ojciec naciskał?
- To bardzo prawdopodobne. Haley była piękną mądrą dziewczyną,

uważaliśmy, że zasługuje na kogoś lepszego niż taki kanciarz jak Del Brio.

- Uważaliście, czyli ty i Spence...
- I Tyler, i Luke. Wszyscy podejrzani. Prawdę mówiąc, wszyscy trochę się w niej podkochiwaliśmy. I żaden z nas nie lubił Del Bria.

Wiedzieliśmy, że to krętacz.

- Więc to prawda, co mówią? O Mercadach i Franku Del Brio?Flynt

stłumił śmiech.

- Pytasz, czy naprawdę istnieje coś takiego jak teksaska mafia?

Josie przytaknęła i upiła łyk wody z kieliszka.

- No, istnieje?

- Obawiam się, że tak. Oczywiście, jeśli zadasz to pytanie któremuś z Mercadow, odpowie ci, że zarobili pieniądze na zleceniach na roboty drogowe, na swojej firmie. O ile wiem, Ricky wciąż prowadzi tylko legalne interesy. To raczej Frank Del Brio ma szansę zostać ojcem chrzestnym po Carmine.

- Carmine. To wuj Ricky'ego?

- Tak.

- I wszyscy należą do klubu golfowego?

- Tak. Mercadowie należą do niego od pokoleń. Prowadzą tu więcej interesów, niżbym sobie życzył. Ale są też niezwykle hojni. Klub regularnie otrzymuje od nich szczodre dotacje. Większość tego, co widzisz dokoła, opłaciły pieniądze Mercadów. Taka jest prawda.

Josie była zaszokowana.

- Pieniądze mafii?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale...

- Pieniądze, które oni dają klubowi, są czyste. Pochodzą z ich firmy albo z osobistego rachunku bankowego Carmine'a.

- Ale przecież...- Josie, jesteś naiwna.

Naiwna. Rose nazwałają tak samo tego popołudnia. Flynt zauważył zmianę na jej twarzy.

- O co chodzi?

Nie może mu przecież powiedzieć. Przysięgła Rose i zamierza dotrzymać słowa.

- Nic. Po prostu... życie.

- Posmutniałaś.

Podniosła z kolan serwetkę i delikatnie wytarła nią usta.

- Nie. - Zerknęła na niego weselej. - Co na deser? Kolejny kelner zabrał ze stołu brudne talerze. Flynt

poprosił o kartę deserów. Wybrali coś grzesznie czekoladowego. Josie uznała, że to najlepsza część wieczoru.

A kiedy sprzątnięto później talerzyki po deserze, Flynt nachylił się nad stołem.

- No i co? Chyba wizyta tutaj nie była zbyt bolesna?

Odpowiedziała mu uśmiechem. Ma rację. Nie było wcale źle.

- Idziemy?

- Dasz mi jeszcze pięć minut, żebym poprawiła sobie makijaż?

Wskazał jej drogę do najbliższej damskiej toalety. Josie zabrała swoją małą wyszywaną koralikami torebkę i podniosła się z połączanego niebieskiego krzesła. Po drodze mijala kilka stolików, przy których bogaci członkowie klubu zjadali wielkie porcje najlepszych żeberek i twardawej cielęciny. Na dekoltach kobiet lśniły brylanty, mężczyźni mieli na sobie kosztowne garnitury, a na rękach zegarki, których cena przewyższała dochód Josie z całego minionego roku.

Pomimo to nie była skrepowana. Nie czuła się od nich gorsza. Wiedziała, że dobrze się prezentuje. I że da sobie radę w tym świecie, jeżeli między nią a Flyntem wszystko się ułoży. Jest inteligentna i szybko się uczy. Nie minie kilka lat, i uznają ją za swoją.

Dobrze by było, żeby Grace Carson zrozumiała to jak najszybciej.

Josie minęła drzwi i znalazła się w holu. Za jedną z jego ścian ukrywała się elegancka restauracja, z której właśnie wyszła, z drugiej strony łukowate drzwi balkonowe prowadziły na patio. Josie skręciła do damskiej toalety, która mieściła się w końcu korytarza. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i z damskiej toalety wyszedł mężczyzna ze zwichrzonymi włosami i przekrzywionym krawatem. Na wargach miał rozmazany ślad szminki.

Był to Frank Del Brio, przyszły szef teksaskiej mafii.

Josie wlepiła w niego wzrok i otworzyła usta. Del Brio nie stracił rezonu. Poprawił krawat, przeczesał palcami włosy i szybko starł czerwoną smugę z warg. Cmoknął, mrugnął do Josie, i już go nie było.

Stała pod drzwiami toalety. Pojęcia nie miała, co zastanie w środku. Miała tylko nadzieję, że nie będzie to nic żenującego. Tkwiła tak przez kilkanaście sekund, by dać osobie, która znajduje się wewnątrz, czas, by się ogarnęła.

W końcu stwierdziła, że to idiotycznie tak stać, czekając nie wiadomo na co. Zbliżyła się do drzwi i pchnęła je.

Wśród luster i marmurów znalazła tylko jedną kobietę, dzięki Bogu ubraną, która przeglądała się w lustrze. Kobieta była niewysoka, miała krótkie marchewkowe włosy. Nie wyróżniała się strojem spośród innych kobiet pracujących w klubie - miała na sobie służbową czarną spódnicę i białą bluzkę. Poprawiała makijaż, spokojna i opanowana.

Tylko zamek błyskawiczny w jej spódnicy sterczał rozpięty do połowy. Nagle najwyraźniej uświadomiła sobie swój problem. Odłożyła szminke, odwróciła się od lustra i obejmując Josie długim bezczelnym

spojrzeniem, sięgnęła za siebie i podciągnęła zamek do góry.

Josie spuściła wzrok i zobaczyła tuż nad lewą piersią kobiety plakietkę z jej imieniem: Erica.

Kiedy Josie spotkała się znowu wzrokiem z Ericą, bezczelne spojrzenie zastąpił już poufały uśmiech.

- Cześć - powiedziała Erica.

Josie skinęła głową, ale nie miała ochoty zaprzyjaźniać się z dziewczyną. Weszła do pierwszej kabiny. Kiedy z niej wyszła, Erica o czerwonych włosach gdzieś się rozpląnęła. Wracali już do miasta, gdy Flynt zagadnął Josie:

- Wpadniemy do Sakwy na drinka?

Josie objęła go czułym spojrzeniem. Flynt, tak jak ona, pragnął przedłużyć wieczór. Patrzył na nią, unosząc brwi.

- Powinienem zdaje się powiedzieć, że zapraszam cię na drinka, a ja poprzestanę na wodzie.

- Bardzo chętnie wpadnę do Sakwy na drinka. Pojechali zatem do spokojnego tego dnia baru na

Gulf Road, kilka mil na wschód od miasta. Zajęli stolik niedaleko baru. Flynt zamówił wodę mineralną, Josie lemoniadę 7-up. Flynt ujął jej dłoń.

Było cudownie, po prostu doskonale. Ich dwoje w półmroku baru, trzymający się za ręce i zasłuchani w cichy głos Shanii Twain, który płynął z szafy grającej. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały uderzenia kuli na stole bilardowym.

Josie powiedziała Flyntowi o Franku Del Brio, który wyszedł z damskiej toalety ze szminką na wargach i z przekrzywionym krawatem, i

o kobiecie o imieniu Erica.

Flynt zirytował się trochę.

- Porozmawiam z Harveyem. Pamiętam chyba tę małą rudą. To kelnerka. Clawson, zdaje się Erica Clawson.

- Flynt, nie chcę, żeby ta dziewczyna straciła pracę.

- Nie martw się. Nie wyrzucę jej tylko dlatego, że coś ją łączy z Del Briem. Zwrócę tylko uwagę Harveyowi, żeby miał oczy otwarte. I żeby kazał jej natychmiast skończyć z tym obściskiwaniem się w toalecie.

- Proszę, naprawdę nie chciałabym, żeby straciła pracę.

- Ale?

- Nie wzbudziła mojej sympatii. Nie mogłabym jej chyba zaufać.

Kiedy tam weszłam, mało co nie zabiła mnie wzrokiem, a po chwili zrobiła się taka słodziutka. - Josie zadrżała. - Dostałam gęsiej skórki.

Flynt uśmiechał się do niej.

- Ale nie chcesz, żeby została wyrzucona.

- No wiesz, nawet zła dziewczyna musi jeść. Czy nadal leci ta melodia?

- Chcesz zatańczyć? - Ścisnął mocniej jej dłoń.

- O tak.

Wstał i objął ją. Nie było tam prawdziwego parkietu do tańca, musiała im starczyć niewielka przestrzeń między stolikami. Żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Tulili się do siebie mocno i kołysali w takt muzyki.

W jego ramionach było jej jak w niebie. Tak długo bała się nawet marzyć, że Flynt kiedykolwiek jeszcze ją przytuli. A teraz na kawałku podłogi w Sakwie byli razem, a Flynt dotykał ją w tańcu tak, jak dotyka

się kogoś upragnionego. Prowadziła ich wolna miłosna piosenka.

Aż dobiegła końca. Josie podniosła głowę z ramienia Flynta i spojrzała na niego. On popatrzył na nią w tym momencie świat ograniczył się do tych spojrzeń, do tych dwóch par oczu, tego zacisznego miejsca i tych obejmujących ramion.

Flynt pochylił głowę i pocałował Josie, a ona westchnęła. Czuła, że należy do niego i było jej z tym dobrze.

Z szafy popłynął kolejny sentymentalny utwór, a oni tańczyli dalej, kołysali się w rytm muzyki i całowali. Nikt w barze nie zwracał na nich uwagi, i na tym też polegała zaleta Sakwy. Nikt tam nie oglądał się na innych.

Wreszcie i druga piosenka ucichła. Flynt odsunął się i zajrzał w oczy swej towarzyszki, szepcząc jej imię.

Usłyszała w nim pytanie i skinęła głową.

Flynt wziął ją za rękę i wyprowadził z baru.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W drodze do miasta zatrzymali się przy sklepie.

Flynt sam wszedł do środka i wyszedł z brązową papierową torebką. Josie domyślała się, co się w niej znajduje. Jej przyjaciel zadbał o to, by nie zaszła w ciążę.

Wsiadłszy do samochodu, Flynt przechylił się na bok i pocałował Josie, a potem spojrzał na nią przenikliwie. Josie spodziewała się zatem pytania, którego obiecał już nigdy nie zadać. Flynt jednak uśmiechnął się tylko, wyprostował się i ruszył.

Po drodze chciała jeszcze wpaść do matki. Flynt wszedł z nią do domu Alvy i czekał w saloniku.

- Śpi mocno - oznajmiła Josie, wyłaniając się z niewielkiego przedpokoju, który prowadził do sypialni. - Zostawię jej wiadomość.

Wzięła kawałek papieru i ołówek i napisała, że wraca na ranczo Carsonów, i że wpadnie na godzinkę lub dwie następnego dnia po południu. Oparła kartkę o solniczkę na kuchennym stole.

Potem pojechali już prosto na ranczo. Grace zasnęła na fotelu bujanym w pokoju Leny, jej okulary do czytania zsunęły się z nosa. W pokoju paliła się tylko mała lampka.

Flynt położył papierową torebkę na niskim stoliku obok drzwi. Podeszedł do fotela, nachylił się i szepnął:

- Mamo...

Grace wzdrygnęła się przestraszona, otwierając szeroko oczy.

- Co... - Zobaczyła syna, potem Josie, która stała kilka kroków dalej. Wracając spojrzeniem do Flynta, zmieniła wyraz twarzy. Jej rysy jakby zmiękły. - Och - odezwała się, jakby dotarły do niej właśnie jakieś istotne informacje, a ona przyjęłaby je ze zrozumieniem. - Cóż - stwierdziła cicho. - Chyba czas, żebym poszła do łóżka.

- Dobrej nocy, mamo.

Grace zamknęła książkę, schowała okulary i podciągnęła się do góry, patrząc wprost na Josie.

- Chyba wszystko się układa, prawda?

- Tak, pani Carson. Układa się, jeśli temu nie przeszkadzamy.

- Zwracaj się do mnie po imieniu, dobrze? Josie skinęła głową.

- Dobrze.

Grace wyszeptała kolejne dobranoc i zostawiła ich samych. Josie obróciła się do Flynta. Stał jakiś metr od niej, obok fotela, który wciąż się bujał, stanowiąc jakby echo obecności Grace. Flynt wyciągnął rękę.

Josie podeszła do niego, podając mu dłoń. Chwycił jej palce, ścisnął je i pociągnął. Znalazła się w jego ramionach.

Uniosła ku niemu wargi, a on skorzystał z tego niezwłocznie. Potem odsunął się i pociągnął ją do drzwi.

Josie zerknęła na kołyskę.

- Poczekaj - szepnęła.

Podeszła na palcach do Leny, która spała głębokim spokojnym snem.

Stali teraz oboje nad kołyską, trzymając się za ręce, a Josie czuła ogromną wdzięczność dla tej małej ciemnowłosej istoty. Przecież to właśnie jej zawdzięczała ten wieczór.

Była już w stanie przewidzieć z dużą dozą pewności, co przyniesie im przyszłość. Pobiorą się z Flyntem i będą dobrym małżeństwem. Doczekają się kilkorga dzieci. O tym właśnie marzyła, i oto jej najskrytsze, najważniejsze pragnienia stawały się faktami.

Oczywiście, czeka ją jeszcze trudny okres, kiedy nadejdą wyniki testu na ojcostwo i trzeba będzie się z nimi pogodzić. Ale na pewno dadzą sobie z tym radę, była o tym przekonana.

Czyż nie zdobyli już przychylności Grace? Czy nie pokazali się razem w Empire Room bez żadnych złych konsekwencji?

A co najważniejsze, czy Flynt nie zapomniał powoli o obietnicy, którą złożył po śmierci Moniki? Ależ tak. Coraz częściej się uśmiechał. Był szczęśliwszy.

Uczył się na nowo żyć i kochać.- Lena śpi - szepnął.

- Tak, śpi.

- Chodźmy. - Spieszyło mu się. Jej zresztą też. Odwrócił się do drzwi, nie wypuszczając jej dłoni.

Po drodze nie zapomniał zabrać papierowej torebki.

Mieszkanie Flynta nic się nie zmieniło, wyglądało dokładnie tak, jak Josie je zapamiętała.

Kiedy wytrzeźwiał, rok po wypadku, w którym straciła życie Monica i jej nie narodzone dziecko, kazał je przerobić. Królowały tam męskie kolory: głębokie i nasycone ciemne czerwienie i brązy, czerń i granat. Z holu wchodziło się najpierw do małego salonu. Stały tam tapicerowane czarnym adamaszkiem fotele z uszami i kanapa w brązowo- granatowe pasy. Granat był tak ciemny, że zbliżał się do czerni. Znajdował się tam również stół intarsjowany jadem i lampy z podstawami zdobionymi emalią.

Flynt wciągnął Josie do środka, zamknął drzwi na zamek. Nad ich głowami rozjarzyły się wbudowane lampy, dające rozproszone ciepłe światło. Flynt przycisnął Josie do drzwi sypialni i zaczął ją znów całować. Całował jej wargi, skronie, policzki i wracał do warg, gdzie zatrzymał się chwilę, ale nie za długo, bo zaraz potem obsypał pocałunkami jej szyję.

Papierowa torebka spadła na podłogę niedaleko ich nóg. Ręce Flynta znalazły zamek błyskawiczny z tyłu jej sukienki i po chwili Josie usłyszała zgrzytliwy ślizg suwaka. Poczowała na plecach chłodne powietrze. Niemal w tym samym momencie znalazły się tam jego dłonie, doprowadzając ją do słodkiego szaleństwa.

Zsunął z niej górę sukni, trochę mu w tym pomogła. Suknia,

przecisnąwszy się przez biodra, wylądowała u jej stóp, a zaraz za suknią pojawiły się tam czarne figi.

Josie uniosła najpierw jedną, potem drugą nogę, uwalniając się z ubrania. Była upalna noc, Josie nie miała na sobie pończoch. Wspaniałe sandały, na które namówiła ją Margaret McKenzie, prezentowały się równie dobrze na gołych stopach. Została zatem w owych sandałkach i czarnym biustonoszu, choć temu ostatniemu darowano tylko dziesięć dodatkowych sekund. Flynt odpiął haftkę i rzucił go na pozostałe ubrania.

Josie miała już miękkie kolana. Chwyła się ramion Flynta i szarpnęła za marynarkę. Zrozumiał ją natychmiast. Zdjął marynarkę i cisnął ją w drugi kąt pokoju. Szeptał imię swej kochanki, pieszcząc jej skórę pocałunkami, ona zaś przeciągała się, prostowała, pochylała, giętka jak trzcina, gotowa, by go przyjąć.

A gdy jego ręce przesuwały się wzdłuż jej ciała, od piersi przez brzuch i coraz niżej, myślała już, że rozplynie się na miękkim dywanie pod stopami.

Zaczęła gwałtownie rozpinąć mu koszulę, by przylgnąć do jego nagiej piersi. Nie, dłużej nie mogła ustać, osunęła się na dywan, a Flynt wraz z nią. Prześliznął się językiem po jej szyi, sutkach i pępku, aż znalazł dla siebie miejsce, którego mu nie odmówiła. Bo jakże mogłaby? Tego właśnie pragnęła, jego dotyku i pocałunku. Za tym właśnie tęskniła całe miesiące.

Podniosła powieki i spojrzała mu w oczy. Zniżył znów głowę i całował ją, całował wszystkie najtajniejsze miejsca. Josie wzdychała, jęczała, wbijała palce w jego skórę. I powtarzała jego imię, raz i drugi, i trzeci.

Granice świata rozciągnęły się. Nie potrafiła już patrzeć mu w oczy. Zawstydziała się. Jej puls zwalniał, z westchnieniem odwróciła głowę. Flynt przewrócił się na bok i usiadł plecami do niej, po czym szybko zaczął pozbywać się resztek ubrania.

- Flynt... - Dotknęła jego pleców. Zerknął na nią przez ramię.

Nie musiała nic mówić. Flynt zrzucił buty i skarpetki, a potem bieliznę. W końcu i on był nagi.

Pocałunki, nie kończące się, niezliczone pocałunki. Pocałunki, które chciała dawać i brać. Tyle ich stracili i tyle musieli nadrobić. Niemal rok straconych pocałunków, od tamtej nocy, kiedy kochali się po raz pierwszy.

- Chodź do łóżka - poprosił, nie oczekując odpowiedzi.

Mimo to Josie skinęła głową, a on sięgnął po brązową torebkę i przyciskając Josie do piersi, podniósł się na kolana, a następnie wstał. Zaniósł ją na swoje wielkie łóżko i położył na ciemnym przykryciu. W ułamku sekundy poradził sobie z zawartością torebki. Josie wciągnęła go w stęsknione ramiona. Zapłakała, ale tylko z radości. Oplotła go nogami, szukając wspólnego rytmu, który znaleźli bez trudu. Przez pewien czas nie ponaglała go, aż w końcu zapragnęła, by dał jej wszystko, bez ograniczeń. Kiedy zapytał:

- Co?

Uśmiechnęła się tylko, a on już wiedział, co ma zrobić. Przetoczyli się przez łóżko, które stało się światem. Pod jej powiekami zaświeciło tysiące gwiazd.

Przez pewien czas leżeli spleceni. Josie czuła na policzku jego ciepły oddech, pot wysychał na jej skórze. Flynt pocałował ją w czoło.

- Zimno ci?

- Troszkę.

Noc za oknem była gorąca, ale w klimatyzowanym wielkim domu Carsonów temperatura nie przekraczała dwudziestu stopni.

- Wejdźmy pod kołdrę.

- Uhm. - Josie przesunęła się na środek łóżka i podniosła przykrycie. Wśliznęli się pod nie oboje i znowu objęli.

- Zmęczona?

Wyszeptała coś, co zabrzmiało jak „tak”, i zamknęła oczy. Budziła się stopniowo. Minęło niewiele czasu od chwili, gdy zasnęła. W pokoju wciąż paliło się górne światło.

Flynt dotykał ją, muskał jej talię, brał w dłoń jej piersi, potem przesuwał palce na jej brzuch.

Nie próbowała nawet udawać, że to jeszcze za mało. Pragnęła go. A nawet więcej, tylko nie umiała tego nazwać.

A właściwie dlaczego nie powiedzieć mu, co czuje? - myślała. Przecież on i tak już to wie.

- Flynt - zaczęła Josie, lecz on nie przestawał jej pieścić.

Odpywała znowu na jakieś gorące morze i czuła, że musi wypowiedzieć te słowa, zanim je po drodze zgubi.

- Flynt. Kocham cię. Bardzo cię kocham.

Spił te słowa z jej warg. Chciała je powtórzyć, wykrzyknąć, ale jej na to nie pozwolił.

Przebudził się po wschodzie słońca.

Ciężkie zasłony były odsunięte. Nie pomyślał wieczorem, żeby zasłonić okna. Pokój był skąpany w porannym świetle dnia.

Nie ruszał się jeszcze przez minutę czy dwie. Josie leżała tuż obok niego, jej aksamitny policzek wtulał się w jego ramię, jej jasne włosy spoczywały na jego szyi.

Wyznała mu miłość. Sprawiała mu przyjemność, wielką przyjemność, większą, niż zasługiwał.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wiedział, że za moment Lena zacznie płakać, że będą zmuszeni wstać i się nią zająć.

Ostrożnie wysunął rękę spod głowy Josie. Westchnęła cicho, odwróciła głowę. Nie obudziła się.

Flynt uniósł kołdrę i powoli ją odsunął, po czym wstrzymał oddech, patrząc na szczupłe ciało Josie i jej gładką skórę, jej wysokie pełne piersi i płaski brzuch.

Nie widział na nim ani śladu po ciąży.

Szybko odsunął niepożądane myśli. W końcu jakie to ma znaczenie...

No ale czy to możliwe, gdyby urodziła Lenę? Czy ciąża nie zostawiłaby żadnego świadectwa na jej ciele?

A z drugiej strony, cóż on o tym wie?

Może tak, może nie...

I wówczas nagle Josie zbudziła się, obróciła ku niemu twarz i spojrzała na niego.

Od razu zgadła, o czym myślał.

- Flynt - zbesztła go ze smutkiem w oczach.

Chciał ją wypytać, zmusić, by powiedziała mu prawdę, ale przecież dał jej słowo.

Od chwili, gdy oddał krew do badania, minęło dwanaście dni. To

znaczy, że już wkrótce pozna niezaprzeczalne dowody.

Josie odezwała się znowu:- Kiedy mi uwierzysz? Lena nie jest...

Nie miał zamiaru tego słuchać, delikatnie zakrył jej usta dłonią.

- Nie mów tego. Nie powtarzaj tego.

Zabrał rękę dopiero, kiedy skinęła potakująco głową.

- Pocałuj mnie - rozkazał. Podniosła głowę i zbliżyła do niego usta.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lena obudziła się pół godziny później. Josie i Flynt poszli razem do jej pokoju, by ją nakarmić i przebrać. Potem Flynt zadzwonił do kuchni i poprosił o przyniesienie śniadania na górę. Jedli je razem w jego salonie, a Lena huśtała się w międzyczasie w swoim bujanym foteliku.

Po śniadaniu położyli Lenę do kołyski, a sami wrócili do łóżka. Kochali się przez dwie cudowne godziny, już bez tego pośpiechu, który towarzyszył im w nocy.

Po południu Josie wzięła prysznic, ubrała się i szykowała do matki. Flynt zapukał do drzwi jej pokoju w chwili, gdy malowała usta. On też odświeżył się pod prysznicem i przebrał w sportowe spodnie i koszulkę polo. Na rękę trzymał Lenę, ubraną na różowo, w różowym kapelusiku.

- Jedziemy z tobą - oświadczył.

- Do mojej matki?

- Tak. Masz coś przeciwko temu?

- No nie. - Szeroki uśmiech przeciął jej twarz. - Bardzo się cieszę.

I tak pojechali do Alvy we trójkę. Matka Josie powitała ich z radością. Nakarmiła Lenę z butelki, patrząc na nią zamglonymi ze

wzruszenia oczami.

- Dawno już nie trzymałam w ramionach takiego kochanego maleństwa - powiedziała.

Nie zadała żadnego pytania na temat tajemniczego dziecka, chociaż chętnie dowiedziałaby się, co łączy jej córkę z młodym Carsonem. Podjęła ich mrożoną herbatą i ciasteczkami, które upiekła poprzedniego dnia.

Flynt spytał ją o zdrowie.

- Lepiej, dużo lepiej. Mam już siłę piec ciasteczka. A to nie bagatela.

Flynt zgodził się z nią, dodając, że ciastka są przepyszne. A mówiąc szczerze, takich smacznych chyba jeszcze w ogóle nie jadł.

Błede policzki Alvy odzyskały kolor.

- Komplementarz z pana, Flynt. Roześmiał się.

- Niewiele osób tak by mnie nazwało.

- No to widać nie znają pana dobrze.

Okolo czwartej wyszli od Alvy. Josie zatrzymała się na moment w drzwiach, Flynt z Leną na rękę poszedł prosto do samochodu, który stał zaparkowany przy krawężniku przed domem.

- Jest bardzo opiekuńczy - szepnęła matka Josie. - A ludzie wygadują o nim takie głupstwa.

Josie skrzywiła się.

- Mamo, chyba nie słuchasz plotek?- Cóż, kochanie, wszyscy powinniśmy być ponad to, ale mało kto im się oprze.

Kobiety zamilkły. Flynt stał już przy samochodzie. Popołudniowe słońce wyłuskiwało złote kosmyki w jego włosach. Otworzył tylne drzwi

pickupa i zaczął przypinać Lenę do siedzenia.

Alva nachyliła się ku Josie.

- Teraz wiem, dlaczego go kochasz. To dobry człowiek. Będiesz z nim szczęśliwa.

- Mam nadzieję, mamo. - Nie mogła zapomnieć jego spojrzenia, którym rano badał jej ciało, szukając dowodu na to, że to ona podrzuciła dziecko na polu golfowym, że go okłamała i wciąż kłamie.

No cóż, nic jeszcze nie jest pewne. I nie ma gwarancji, że wszystko dobrze się skończy. Alva zbliżyła się do Josie.

- Widzę jakiś cień w twoich oczach. - Cmoknęła ją w policzek. - Pamiętaj, słuchaj głosu serca.

- Staram się, mamo. Naprawdę się staram.

Kolację zjedli w pokoju Leny. Potem, gdy nadszedł wieczór, wybrali się na spacer do ogrodu na tyłach domu, pchając przed sobą wózek z Leną.

Podobnie jak ogród przy klubie, i tu bujna roślinność, drzewa, kwiaty i ogromne połacie trawy odznaczały się wielką, nierzeczywistą wprost urodą. Bo przecież południowy Teksas nie jest najbardziej zielonym miejscem na świecie. Z wyjątkiem terenów położonych wzdłuż rzek i wybrzeża, to raczej krajobraz złożony ze skał i roślin dobrze znoszących suszę, kaktusów i traw. Taka ziemia nadaje się w zasadzie wyłącznie do hodowli bydła.

Do utrzymania ogrodu przy domu Carsonów w tak pięknym stanie korzystano, i to bez ograniczeń, z wód jeziora Maria. Josie uważała, że to marnotrawstwo, aczkolwiek przechadzka w cieniu drzew, radość z urody bugenwilli spuszczającej się po kratownicy czy podziwianie kwitnących

wokół róż stanowiło ogromną przyjemność.

Za ogrodem widniały dachy budynków gospodarczych, stodoły, stajni, oraz budynków mieszkalnych dla pracowników rancza. A jeszcze dalej za nimi leżały hektary otwartej przestrzeni, na której pasło się bydło.

Kiedy wrócili ze spaceru, Grace oczekiwała ich w pokoju Leny.

- Ogrody są przepiękne - powiedziała matka Flynta z serdecznym, życzliwym uśmiechem. - Mam nadzieję, że miło spędziliście czas.

Josie i Flynt przytaknęli zgodnie.

- Pozwól mi potrzymać to maleństwo. - Grace wzięła Lenę w ramiona. - Chyba jestem urodzoną babcia. No i chcę mieć więcej wnuków. I to prędko.

„Więcej”, powiedziała Grace. Chce mieć więcej wnuków. Matka Flynta była niemal pewna, że Josie jest matką Leny.

Flynt nie zmieszał się wcale, roześmiał się tylko. - Masz dwie córki i dwóch synów, wszyscy dotąd są samotni. To niezbyt obiecujący początek, mamo.

- Ale chyba nad tym pracujemy, prawda? - powiedziała Grace bardzo zadowolonym głosem.

Josie poczuła ciepło w sercu. A więc Cara naprawdę miała rację, mówiąc, że Grace szybko się do nich przekona.

- Chciałabym - zaczęła znów Grace - żebyście spędzili ten wieczór razem. Ja się zajmę Leną, będę udoskonalać moje babcine talenty.

Josie i Flynt wymienili spojrzenia. Grace machnęła ręką.

- No idźcie. Bawcie się dobrze.

- Grace - odezwała się Josie. - Jeśli jesteś pewna...

- Jestem zupełnie pewna. Flynt wziął Josie za rękę.

- Spływajmy stąd, zanim mama zmieni zdanie.
- Masz rację - stwierdziła Josie i pospieszyli do drzwi.

Grace poprosiła ich jeszcze uprzejmie:

- Tylko nie wracajcie zbyt późno.
- Obiecuję.
- I jeszcze jedno...

Josie i Flynt stali już w progu.

- Tak, mammo? O co chodzi?

- O kościół, jutro. Bądźcie oboje gotowi o dziesiątej. Pojedziemy do kościoła wszyscy razem, jak rodzina. Rozmawiałam już z ojcem i Carą, porozmawiam też z Mattem i Fioną.

- Przecież wiesz, że w niedzielę rano zawsze gram w golfa.

- No to w tę niedzielę nie zagrasz.

- Dokąd się wybierzemy? - spytał Flynt, kiedy wsiedli do jego pickupa, który ruszył podjazdem.

- Może do Sakwy? Lubię to miejsce, tak tam cicho i przytulnie.

- No to niech będzie Sakwa.

Wybrali ten sam stół, przy którym siedzieli poprzedniego wieczora. Trzymali się za ręce, przytulali i szeptali do siebie jak prawdziwi kochankowie.

- Twoja matka zasadniczo zmieniła Unię - zauważyła Josie. - A jednak jakoś nie wierzę, żeby naprawdę życzyła sobie, abym poszła z wami do kościoła. Na pewno chodzi o First Church, prawda?

- Zgadujesz słusznie.

Do tego kościoła chadzali zamożni mieszkańcy Mission Creek.

- To chyba demonstracja. Chce pokazać światu, że ona i twój ojciec

postanowili mnie zaakceptować.

- Mniej więcej. Przeszkadza ci to?

- Myślę, że to w porządku, chociaż trochę się denerwuję. Szkoda tylko, że stracisz golfa.

- Taa. To prawdziwe poświęcenie. Cóż, chyba jako wytrzymam.-
Miło mi to słyszeć.

- A jeśli chodzi o twoje nerwy... To niepotrzebne.

- Łatwo ci mówić.

- Nie żartuję. Największym wyzwaniem dla ciebie będzie to, żebyś nie zasnęła w czasie kazania. Pastor Williams przemawia do swoich wiernych potwornie monotonicznie. Przydałoby mu się nieco więcej siarki i ognia piekielnego, może wtedy utrzymałby grzeszników w ryzach.

Josie nie mogła powstrzymać śmiechu.

- O tak, nam by się to należało, nieźle już na- grzeszyliśmy. I pewnie znowu dziś w nocy nagrzeszemy.

- Na pewno.

Policzki Josie zaróżowiły się mocniej.

- Twojej matce to by się nie podobało.

- Moja matka już zna nasze plany, więc niech pilnuje swojego nosa.

Josie chciała zapytać, jakie to plany, lecz stchórzyła. W końcu wszystko wisi na cienkim włosku - na wynikach badań, na które czekają.

Dopiero gdy Flynt pogodzi się z prawdą, przyjdzie pora na kolejny krok. Wtedy będą mogli robić wspólne plany.

I takie rozwiązanie wydawało się Josie rozsądne. Przeżywała cudowne chwile, cenne same w sobie - pieszczotę rąk, ciepłą rozmowę, radość z przebywania razem.- Zdaje się, że leci jakiś wolny kawałek? -

Flynt podniósł się z krzesła i pociągnął ją za sobą.

Czas mijał niepostrzeżenie. Chwilami odnosili wrażenie, że się zatrzymał, choć przeczył temu ciężki duży zegar z lakierowanego drewna, który wisiał nad barem w kształcie stanu Teksas. Jego wskazówki nieomylnie wskazywały północ. Josie i Flynt doszli do zgodnego wniosku, że pora wracać na ranczo i zwolnić Grace.

Tak samo jak poprzedniego wieczoru znaleźli matkę Flynta uśpioną w bujanym fotelu. Obudzili ją bardzo delikatnie.

Kiedy Grace powiedziała im dobranoc, poszli prosto do wielkiej sypialni Flynta, zamknęli dokładnie drzwi i zajęli się tym, czym zazwyczaj zajmują się w ciemności kochankowie, kiedy zostają sami.

Zasnęli nie wcześniej niż po trzeciej nad ranem. Josie przebudziła się koło siódmej, cudownie wypoczęta i taka głodna, że zmieściłaby w sobie tuzin jajek, polec wołowiny i bochenek, a nawet dwa, teksaskiego pieczywa grzankowego.

Matt, korzystając z wewnętrznej domowej linii, wezwał Flynta do jakichś pilnych spraw gospodarczych. Josie została z Leną i sama zjadła spore śniadanie. Flynt wrócił o wpół do dziesiątej, wskoczył pod prysznic, by zmyć z siebie kurz, i w samą porę był gotowy wyruszyć z całą rodziną Carsonów do kościoła.

Pojechali pięcioma samochodami. Ford i Grace jednym z cadillaków. Josie, Flynt i Lena pickupem Flynta. Matt swoim pickupem, a Fiona i Carą każda swoim wozem.

- No tak, Carsonowie nie mogą jechać razem - zażartowała Josie w drodze do miasta.

- Mowy nie ma - odparł Flynt. - Każdy z nas musi mieć pewność,

że w razie czego będzie miał czym uciec.

- No wiesz! Wspólne wyjście do kościoła nie jest chyba tak straszne.

- Niby tak, ale my, Carsonowie, kochamy niezależność.

Josie spojrzała na niego zadumana. Flynt zerknął na nią i ściągnął brwi.

- Co?

- A jednak wciąż mieszkacie wszyscy na ranczu. Flynt uniósł ramiona.

- No tak, ale na naszych warunkach. Matt ma swój dom. Cara podobnie. Moje skrzydło domu to też prawie jak osobny budynek. Tylko Fiona mieszka w części rodziców. Ale jej pokoje należą tylko do niej i rodzice to szanują, starają się przynajmniej.

- Starają się? - podchwyciła Josie.

- W przypadku Fiony ojciec ma... jak by to powiedzieć? W pewien sposób wtrąca się w jej życie.

- Dlaczego?

- Bo to wariatka. Ojciec boi się, że Fiona nigdy się nie ustatkuje. Zamartwiają się z mamą, że wpakuje się w jakieś kłopoty, z których nie znajdzie wyjścia. Fiona jest rozpuszczona, informujecie, gdybyś jeszcze tego nie zauważyła. Zmienia facetów jak rękawiczki. Ma zatrwazająco łatwą rękę do wydawania pieniędzy. Ojciec wciąż odgraża się, że weźmie ją w karby.

- Żartujesz chyba. Fiona owija sobie ojca wokół palca.

- No tak. Co nie zmienia faktu, że ojciec naprawdę uważa, że Fiona powinna zmienić swój styl życia. I jeśli sama tego nie zrobi, będzie

zmuszony jej pomóc.

- Niby jak?

- Pojęcia nie mam. On pewnie też jeszcze nie wie. Dojechawszy do kościoła, przenieśli Lenę do wózka

i z pozostałymi członkami rodziny udali się na mszę. Cara była ciepła i przyjacielska jak zwykle. Ford dał Josie do zrozumienia, na swój szorstki sposób, że akceptuje jej obecność. Grace zachowywała się po prostu wylewnie.

Matt milczał zamyślony, jak gdyby coś go dręczyło. Josie domyślała się, o co chodzi. I bardzo współczuła Mattowi i Rose.

Fiona zatrzepotała rzęsami i wskazała Josie miejsce obok siebie na należącej do rodziny ławce.

- Siadaj tu, Josie, i wszystko mi opowiedz. Co robiłaś? Tak zniknęłaś rok temu, że... No, po prostu się rozpułyłaś, co?

- Fiona - skarciła ją Grace. Josie tylko się uśmiechnęła.- Cieszę się, że cię widzę. Mieszkałam w pobliżu Dallas, radziłam sobie nieźle. Musiałam wrócić do domu z powodu mamy, bo mama choruje.

- Coś ci powiem. - Fiona rzuciła znaczące spojrzenie w stronę Flynta. - Niektórzy bardzo cieszą się z twojego powrotu.

Flynt siedział po drugiej stronie Josie. Poglaskał jej dłoń, potem ścisnął ją mocno. Josie uścisnęła jego palce i powiedziała do Fiony:

- Tak, dobrze jest wrócić do domu.

Po mszy Fiona i Matt wymówili się i ulotnili szybko, tak jak zapowiedział Flynt. Pozostali Carsonowie postali jeszcze chwilę na schodach kościoła pod palącym słońcem południa i wymienili uścisk dłoni z pastorem Williamsem.

Grace przedstawiła mu Josie.

- Pastorze, to Josie Lavender. Jest... jest bardzo bliską przyjaciółką Flynta.

- Bardzo mi miło, moja droga - odrzekł pastor. Josie ujęła jego dłoń, szczupłą i pokrytą starczymi plamami.

- Pojedziemy teraz do klubu - oświadczyła Grace. - Zjemy drugie śniadanie w Empire Room.

Cara miała inne plany.

- To wy jedźcie, a ja zabiorę Lenę do domu. Flynt, wstawisz fotelik Leny do mojego samochodu?

- Kochanie, jesteś pewna? - spytała Grace wyłącznie dla formy. - Tak, jestem pewna.

Grace zwróciła się zatem do Flynta i Josie:

- A co wy na to?

Flynt nachylił się do Josie.

- Czy masz takie wrażenie jak ja, że nie uda nam się wykręcić?

Josie szturchnęła go łokciem w żebra i zwróciła się do jego matki:

- Drugie śniadanie w Empire Room to znakomity pomysł.

Zjedli wszyscy jaja po benedyktyńsku, które polecił im Harvey Small. Tym razem warto było go posłuchać. Sos był gładki i smaczny, jajka ugotowane perfekcyjnie. Wypili świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i wyśmienitą kawę. Josie ledwo to zmieściła po śniadaniu, które zjadła wcześniej w domu, mimo to bardzo się starała, ponieważ wszystko smakowało nadzwyczajnie.

W pewnej chwili Josie wypatrzyła Rose, która siedziała przy jednym

ze stolików. Towarzyszyła jej kobieta, w której Josie rozpoznała Kate Wainwright, matkę Rose. Kate i Archie Wainwright, ojciec Rose, nie tworzyli już szczęśliwej małżeńskiej pary, rozwiedli się przed wieloma laty.

Kiedy nikt nie zwracał na nią uwagi, Rose przechwyciła spojrzenie Josie. Wymieniły szybkie skinienie głowy. Potem Josie starała się nie patrzeć już w tamtą stronę, by mimowolnie nie zdradzić tajemnicy, której obiecała strzec.

Goście zatrzymywali się przy ich stoliku podobnie jak w piątkowy wieczór. Grace lub Ford za każdym razem pamiętali, by przedstawić Josie, która z kolei uśmiechała się uprzejmie i witała ze wszystkimi. Następowała wymiana grzeczności, po czym znajomi oddalali się w swoją stronę.

Wśród witających się gości był także sędzia Bridges, wysoki siwowłosy mężczyzna, który reprezentował Flynta i jego kolegów, kiedy utonęła Haley Mercado. Grace zaprosiła go, by się do nich dosiadł, upewniwszy się wprzód, że jest sam. Sędziego nie trzeba było dwa razy prosić. Kelner doniósł dla niego krzesło i nakrycie, a mecenas wyraził chęć spróbowania jajka po benedyktyńsku.

- I jak się ma nasze tajemnicze dziecko? - spytał, wygładzając na kolanach śnieżnobiałą serwetkę z monogramem.

Grace podchwyciła temat i zaczęła rozwodzić się nad tym, jakim to rozkosznym maleństwem jest Lena. Jaka jest słodka, radosna i jaki ma doskonały apetyt.

- Jestem pewna, że odkąd jest u nas, urosła o cały centymetr. A kiedy nasze słodkie maleństwo się uśmiecha, świat od razu wydaje się

lepszey.

Sędzia Bridges obrócił swoją białą głowę do Josie.

- Zdaje się, że to pani zajmuje się dzieckiem? Josie przytaknęła.-

Tak. Grace ma rację, to bardzo kochane dziecko. Grace w dalszym ciągu rozplęwała się nad niemowlęciem.

- To prawdziwy dar. Zna mnie pan, mecenasie. Nie mogłam się już doczekać wnucząt, więc to cudowne, że nareszcie zostałam babcią.

Sędzia Bridges zrobił wielkie oczy.

- Ach tak? Czy to już oficjalna wiadomość? Grace zmarszczyła czoło.

- Oficjalna?

- No cóż, wydawało mi się, że... że czekamy na wyniki badań.

- Owszem - przyznał spokojnie Flynt.

- I?

- Nie, Carl. Jeszcze nie otrzymaliśmy wyników.

- Aha.

Grace machnęła pulchną dłonią.

- Ach, o to chodzi. Całkiem już o tym zapomniałam. Ale spodziewamy się ich lada chwila, prawda, Flynt?

- Tak, mamó.

- A co dalej? - spytał znów Bridges. - Kiedy już je poznacie, niezależnie od tego, jakie będą?

Josie czuła na sobie wzrok Flynta. Odwróciła się do niego, spojrzała mu w oczy i posłała mu spokojny, pewny siebie uśmiech.

- Będziemy musieli zwrócić się do ciebie, Carl - oznajmił cicho Flynt.- Pod warunkiem, że pierwszy się o wszystkim dowiem.

W poniedziałek Flynt zbudził się bardzo wcześnie.

Przez minutę, a może dwie leżał obok Josie i myślał, że to jest właśnie prawdziwe życie. Mężczyzna ma kochać się z tą jedną jedyną kobietą i zasypiać obok niej zmęczony.

A gdy się zbudzi, kobieta powinna być wciąż obok niego, z włosami na poduszce i uśmiechem zadowolenia na ustach. Pościel powinna pachnieć mydłem, kwiatami i tą nieokreśloną słodkością jej skóry.

Chciał ją zbudzić pocałunkami i delikatną pieśczołą, ale za nadto już wałkoni! się przez minione dni. Na biurku w gabinecie czekały sprawy do załatwienia, a potem umówił się w klubie na rozmowy w interesach z kilkoma hodowcami bydła z Loreda.

Monitor Leny na nocnej szafce milczał. Nie było potrzeby budzić Josie, dopóki nie zrobi tego Lena.

Flynt podniósł nieco kołdrę i wysliznął się z łóżka. Podszedł na palcach do swojej garderoby, zabrał, co było mu potrzebne, i skierował kroki do łazienki.

Dwadzieścia minut później wyszedł z niej wykąpany, ogolony i ubrany. Josie wciąż spała. Powściągnął chęć muśnięcia pocałunkiem jej policzka i gładkiej szyi.

Udał się do swojego gabinetu i poprosił, by przyniesiono mu tam śniadanie. Pracował do południa, a w drodze na spotkanie z hodowcami z Loreda wstąpił do pokoju Leny.

Wziął ją na ręce. Pocałował swoją kobietkę i wyszedł do klubu.

Wrócił na ranczo tuż po czwartej po południu. Dzieckiem zajmowała się Carą, czego się zresztą spodziewał. O tej porze Josie zwykle odwiedzała swoją matkę.

Przystanął w drzwiach, żeby Cara go zobaczyła.

- Będę w gabinecie. Powiedz Josie, gdzie jestem, jak przyjdzie, dobrze?

- Powiem jej, że na nią czekasz.

- Taa - odparł, czując, że jego twarz przeciął właśnie uśmiech idiotycznie szczęśliwego faceta. - Może być.

W gabinecie musiał uporać się ze stosem poczty, którą Anita zostawiła mu tam, gdzie zawsze, na hebanowym stoliku tuż przy drzwiach. Flynt wziął plik kopert i druków i zaniósł je na biurko. Hodowcy z Loreda podpowiedzieli mu kilka usprawnień, które można by wprowadzić na ranchu. Flynt zaczął więc od sprawdzenia kilku liczb, dopóki miał na świeżo w pamięci uwagi swoich gości.

Włączył laptop, odszukał właściwą stronę i miał właśnie odgrzebać pewne szczegóły, gdy zadzwonił telefon, linia zewnętrzna.

Podniósł słuchawkę.

- Flynt Carson.- Dzień dobry, panie Carson. Mówi Eliza Guzman.

Eliza Guzman zajmowała się sprawą Leny z ramienia opieki społecznej. Flynt zamienił się w słuch.

- A, witam. Co słyhać?

- Dziękuję, dobrze. Dotarły do mnie dzisiaj wyniki pańskich badań na ojcostwo. Pan też pewnie je otrzymał. Musimy porozmawiać, jakie kroki podejmiemy wobec tego.

- Wobec tego? - spytał jak echo, nie wiedząc, co kryje się za tymi słowami.

- No tak. Co teraz zrobimy? Trzeba to rozstrzygnąć, musimy to jakoś uzgodnić.

- Dobrze. - Chwycił plik kopert i zaczął je przeglądać. - Ja jeszcze nie... chwileczkę.

- Oczywiście. - Pracownica opieki społecznej czekała po drugiej stronie słuchawki.

Flynt znalazł właściwą kopertę, specjalną przesyłkę ekspresową.

Sam prosił, żeby przysłano mu wyniki taką drogą. Sporą część poczty otrzymywał ekspresową pocztą kurierską, w związku z czym ta koperta nie rzuciła mu się od razu w oczy.

Natychmiast wyszło mu w ustach, czuł, że musi się czegoś napić.

Rozdarł kopertę, sięgnął do środka i wyjął z niej drugą, mniejszą kopertę. Ta również była zapieczętowana. Odsunął krzesło, wyciągnął szufladę, wyjął z niej nóż do otwierania listów i przeciął kopertę wzdłuż górnego brzegu.

Wewnątrz znajdowała się pojedyncza kartka papieru. Przeczytał ją szybko, potem jeszcze raz. I jeszcze raz.

Kiedy trzy razy zapoznał się dokładnie z treścią kartki, musiał powoli przyjąć ją do wiadomości. Wyniki absolutnie wykluczały, by Flynt był ojcem Leny.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie jego córka.

Lena nie jest jego córką.

- Panie Carson?

- Tak, jestem.

- Otrzymał pan list z laboratorium?

- Taa, otrzymałem.
- Rozumie pan, że...
- Taa, przeczytałem go.
- Czyli - ciągnęła Eliza Guzman - już pan wie, dlaczego dzwonię.

Prawdopodobnie zechce pan, żebym w takiej sytuacji przyjechała i zabrała dziecko. Mamy różne możliwości, jeśli chodzi o opiekę...

- Jakie możliwości? - jęknął do słuchawki.
- Na przykład rodzinę zastępczą. Mamy taki dom rodzinny dla sierot, do którego moglibyśmy ją oddać natychmiast i...
- Dom rodzinny dla sierot...
- Tak.
- Rozumiem, że nie ma w tej chwili nikogo, kto chciałby się nią zaopiekować.- Wie pan, póki nie znajdziemy jej prawdziwych rodziców, musimy...

- Zostanie tutaj.

Po drugiej stronie zapadła martwa cisza. Flynt zdał sobie sprawę, że nie zachował się najlepiej, tak stanowczo stawiając sprawę. Poprawił się łagodniejszym tonem:

- Oczywiście, jeśli to możliwe. Mam na względzie wyłącznie interes Leny. Zostałaby u nas dopóki... nie dowiemy się czegoś więcej na temat jej rodziców.

Pomyślał o Tylerze. O Spensie. O Michaelu.

I jeszcze o tym cholernym Luke'u. Ten wciąż siedzi nie wiadomo gdzie. Zgodnie z wiedzą Flynta, nikt nie widział Luke'a Callaghana od paru tygodni.

Flynt podjął znów, uprzejmie acz stanowczo:

- Zgodzi się pani, że to najrozsądniejsze wyjście. Lena jest tu szczęśliwa, a pani sama pochwaliła warunki na ranczu.

Ponownie odpowiedziała mu cisza. Wreszcie pracownica opieki społecznej odezwała się:

- To rzeczywiście mogłoby być najlepsze rozwiązanie, jeśli panu to nie przeszkadza.

Flynt zobaczył w wyobraźni słodką, okrągłą twarz Leny, jej niebieskie oczy, które, jak dotąd sądził, odziedziczyła po nim.

- Nie przeszkadza mi.

- Tak czy owak, muszę jak najszybciej złożyć państwu wizytę, żeby sprawdzić, czy dziecko jest pod dobrą opieką. To formalność, ale niezbędna.

- Nie ma sprawy.

- To może jutro? Powiedzmy około dziewiątej rano? Odpowiada panu?

- Tak, może być dziewiąta.

Pracownica opieki społecznej pożegnała się z Flyntem.

Gdy odłożył słuchawkę, bezskutecznie próbował zająć się na powrót pracą. Patrzył na kolumny liczb nie widzącymi oczami. Zamknął komputer.

A potem po prostu siedział, i tylko miał ochotę się napić. Czekał, aż Josie zapuka do jego drzwi.

Cara wstała z bujanego fotela, kładąc palec na ustach. Wyszła po cichutku z pokoju dziecinnego i równie cicho zamknęła za sobą drzwi. W holu czekała na nią Josie.

- Dawno zasnęła? - spytała.

- Jakieś pół godziny temu. - Cara uśmiechnęła się. - Masz trochę czasu dla siebie.

- Cudownie. A gdzie Flynt? - Wymawiając jego imię, czuła w sobie przyjemne ciepło.

- W gabinecie.

- Pewnie pracuje i nie chce, żeby mu przeszkadzać.

Cara spojrzała na nią wymownie.

- Zależy, kto mu przeszkadza.- Skoro tak - odrzekła Josie, odpowiadając jej uśmiechem. - Sądzisz, że ucieszy się, jak mnie zobaczy?

- Na sto procent.

Josie wstąpiła na chwilę do swojego pokoju, zostawiła torebkę i zabrała słuchawkę monitora Leny. Potem poszła do pokoju na końcu korytarza, naprzeciwko sypialni Flynta. Dwa razy zapukała i usłyszała jego głos zza drzwi:

- Otwarte.

Biurko Flynta stało frontem do drzwi. On sam siedział za biurkiem, a przed nim rosła sterta nie otwartych kopert i leżał zamknięty laptop. Zdawało się, że Flynt siedzi beczynn timer.

- Flynt? - Josie wyczuła, że coś się stało. Siedział tak nieruchomo, i tak dziwnie na nią patrzył.

Już nie czuła tego ciepła w środku, pod jej skórę zakradł się przejmujący chłód.

- Flynt? - powtórzyła.

- Wejdz. I zamknij drzwi.

Zrobiła jak kazał, ale stała z plecami opartymi o drzwi, z

niepokojącym ściskaniem w żołądku.

- Co się stało?
- Podejdź tu.

Nagle przypomniała jej się tamta noc sprzed roku. Przyniosła mu wówczas kolację, do tego samego pokoju, a on chwycił ją za rękę tak mocno, że omal nie zmiądzzył jej kości. A po chwili zaniósł ją do swojego łóżka. Nie, nie. Jednak nie jest tak samo jak wtedy. Być może tylko emanuje z niego podobne napięcie. Tym razem nie widziała w jego oczach nie spełnionego pożądanego. Tym razem to było bardziej skomplikowane i ponure.

Flynt podniósł z biurka kartkę.

- Zobacz.

Od razu zrozumiała, jeszcze nim zmusiła się, żeby do niego podejść i wziąć kartkę z jego ręki. Zanim zapoznała się z dowodem na to, co usiłowała mu wytłumaczyć przez dwa tygodnie.

Odłożyła wynik za powrotem na biurko, położyła na nim monitor Leny i niechętnie spojrzała Flyntowi w oczy.

- Więc nie kłamałaś - odezwał się posepnie. Zabrzmiało to jak oskarżenie.

Czego się spodziewał? Josie od początku wiedziała, że będzie mu bardzo trudno spojrzeć w oczy prawdzie.

Stonowanym, cichym głosem powtórzyła:

- Mówiłam ci, że nie kłamię. Setki razy ci mówiłam. Ale ty nie chciałeś mi wierzyć, chociaż wiesz, że nie należę do ludzi, którzy kłamią.

Flynt zawiesił na niej spojrzenie na długą przygnębiającą chwilę, po czym mruknął:

- Taa. Wiem. - Odsunął krzesło. Wzdrygnęła się, zaskoczona gwałtownym ruchem.

W końcu jest jednak córką Rutgera Lavendera. Wy- niosła z domu naukę, że jeżeli mężczyzna robi szybki, raptowny manewr, najlepiej zejść mu z drogi.

Wzdrygnęła się, ale się nie cofnęła. Dzięki Bogu Flynt to nie jej ojciec. Flynt nie podniósłby ręki na kobietę.

I rzeczywiście nawet do niej nie podszedł. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po drugiej stronie biurka, aż zatrzymał się, stając do niej plecami.

Trwała w oczekiwaniu. Zresztą nie miała nic specjalnego do powiedzenia.

W którymś momencie Flynt obrócił się do niej.

- Chciałem, żeby twoje deklaracje w sprawie Leny były twoim jedynym kłamstwem, które wybaczyłbym ci w takich okolicznościach.

- Wiem - przyznała cicho.

- Czemu zatem, wiedząc, że dowiem się prawdy prędzej czy później, zdecydowałaś się tu wrócić? Czemu, do diabła, nie zostałaś gdzieś daleko? Co kazało ci zaczynać znowu ze mną i zmuszać nas do przechodzenia przez to wszystko?

- Flynt, już ci to tłumaczyłam. Chciałam jeszcze raz spróbować. Poza tym potrafię opiekować się dziećmi, a to dziecko za ścianą potrzebuje opieki. Widziałam twoje spojrzenie tamtego wieczoru, kiedy zapukałeś w okno domu mojej matki. To ty chciałeś, żeby Lena była naszą córką, tak bardzo tego chciałeś, że dało mi to nadzieję i siłę, żeby walczyć o twoje uczucie. Potrząsał głową.

- Josie, powtarzałem ci to głośno i wyraźnie. Ja już jestem stracony.

To się nigdy nie zmieni.

Nie pozwoliła mu na tym zakończyć.

- Nie jesteś stracony. Gdyby w tym liście było napisane, że Lena jest twoją córką, poprosiłbyś mnie o rękę. Oboje dobrze to wiemy.

Flynt zamilkł na kilka ważkich sekund. Na przekór prawdzie jej słów. Potem jednak musiał przyznać:

- Lena nie jest naszą córką.

- Zgadza się. - Josie stała prosto z uniesioną głową. - A więc podejmij to wielkie ryzyko i poproś mnie mimo to o rękę.

Flynt patrzył na nią, jego twarz była spokojna, lecz wzrok jakby nieobecny, utkwiony gdzieś daleko, w miejscu, do którego Josie nie miała wstępu.

- W porządku. Nie prosź mnie. Ja cię poproszę. - Podeszła do skraju biurka.

- Stój, Josie.

Nie posłuchała go. Kroczyła zdecydowanie, aż upadła przed nim na jedno kolano, chwytając go za rękę.

- Kocham cię, Flynt, i chcę spędzić z tobą życie. Chcę mieć z tobą dzieci, wychowywać je z tobą i patrzeć, jak rosną. Chcę tego, co możemy zbudować, stojąc ramię przy ramieniu. Chcę, żeby spełniły się moje marzenia i nadzieje. Jeśli powiesz tak, to będzie milowy krok w dobrą stronę. A zatem, ożenisz się ze mną? Patrzył na nią z góry, bez słów. Nie wskazywało na to, że powie tak. Szarpnął rękę, którą trzymała Josie.

- Wstań, proszę cię.

W tym momencie coś stało się z jej sercem, jakby się skurczyło.

Niczego nie osiągnęła. Klęczała przed nim, a on wciąż jej odmawiał.

Miał dla niej tylko jedną odpowiedź: nie, i nie zapowiadało się na zmianę.

Które z nich jest głupcem? Które jest godnym pożałowania, naiwnym głupcem?

Josie puściła rękę Flynta i podniosła się.

- Zrobiłeś już jeden wielki krok, przestałeś pić - zaczęła znowu. - Ale twoje życie wciąż jest chore. I będzie chore, póki nie odrzucisz garbu poczucia winy, który dźwigasz jak bezcenny, święty skarb.

Flynt i to pominął milczeniem. Słuchał zmęczony, choć cierpliwy, jakby czekał tylko na to, aż Josie zabraknie słów.

Jego życzenie nie było bliskie spełnienia.

- Dźwigasz to jak medal, Flynt - podjęła Josie. - To poczucie winy znaczy dla ciebie więcej niż Srebrna Gwiazda, którą zdobyłeś podczas wojny. Więcej niż ja. O wiele więcej...

- Przestań. - Jego głos był wstrząsająco zimny. - Skończ już. Odpuść sobie, Josie.

- Nie odpuszczę. Skończę, co mam do powiedzenia, choć widzę w twoich oczach, że przegrałam tę batalię. Że w zasadzie nigdy nie miałam u ciebie szansy. Chyba żebym urodziła twoje dziecko. Wtedy ożeniłbyś się ze mną z obowiązku. Z poczucia przyzwoitości, ale nie z miłości. Chyba masz tę świadomość? A przecież wiesz, że mogłoby nam być naprawdę dobrze razem, bo przecież wiesz o tym, prawda?

- Josie...

- Powiedz to głośno. Moglibyśmy stworzyć dobre małżeństwo, żyć szczęśliwie, mieć dom pełen dzieci. Powiedz to, Flynt. Przyznaj się do

tego.

Próbował odwrócić się od niej, lecz mu na to nie pozwoliła.

Chwyciła go za ramię i obróciła z powrotem.

- Powiedz to.

- No dobra, cholera. - Zrzucił jej dłoń i wyznał: - Wiem o tym.

Zadowolona?

- Nie. Nie jestem zadowolona. Niby jak miałabym być zadowolona?

Pozwoliłbyś sobie kochać mnie tylko z obowiązku? To takie smutne i niemądre. To bardzo złe. Musisz to zrozumieć.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz zamknął je i spojrzał w bok. Po chwili rzucił:

- Nic nie rozumiesz.

- Świetnie. Więc mi wytłumacz.

- Monica wiedziała, do cholery. - Jego słowa brzmiały tak, jakby wyrwały się bez jego pozwolenia.

- Co?

Powtórzył tym razem ciszej:

- Monica wiedziała.- Co? Co wiedziała?

- Że ja... że ja... zauważałem cię. Że siedziałaś tu, w mojej głowie.

Wiedziała to wcześniej niż ja. To z tego powodu tak się wściekała, o to kłóciliśmy się w samochodzie. Powiedziała, że nie podoba jej się, jak na ciebie patrzę. Że ona utyla i zbrzydła, żeby dać mi dziecko, którego tak pragnąłem, a ja oglądam się za gospodynią.

- To nieprawda, Flynt. Wiesz, że to nieprawda. Wtedy byłem dla ciebie tylko gospodynią. I potem także, jeszcze długi czas po odejściu Moniki.

Flynt machnął ręką.

- Przekonywałem ją, że zwariowała. Masz rację, ja sam wówczas wierzyłem w to, że nie zwracam na ciebie specjalnej uwagi. Pamiętam, jak się czułem. Byłem pewny swego, wściekły, że Monica śmie oskarżać mnie, że podrywam pomoc domową.

- Powiedziałeś jej to? Że się myli? Flynt wykrzywił posepnie usta.

- Powinienem był to zrobić. Delikatnie, lecz przekonująco. Albo nic nie mówić. Powinienem był milczeć, prowadząc samochód w mroźną noc na oblodzonej drodze. Ale nie. Wykrzyczałem jej: Do diabła z tobą. Chyba ci odbiło! Jesteś stuknięta!

Josie kręciła głową. Flynt wzruszył ramionami.

- Wiem, to był fatalny ruch. Jeszcze bardziej ją rozeźliłem. Nazwała mnie draniem i chwyciła za kierownicę.- O Boże - szepnęła Josie.

- Resztę już znasz. I wiesz, jak to się skończyło. Monica miała rację, pragnąłem cię.

- Flynt, liczą się tylko czyny. A ty nic nie zrobiłeś. I to długo po śmierci Moniki.

- Ale to mnie prześladowe. Że żyłaby jeszcze, gdybym się tak cholernie nie upierał. Żyłaby ona i żyłoby dziecko.

- Na pewno?

Obrzucił ją posepnym spojrzeniem.

- Co sugerujesz?

- Jedynie to, że nie wiesz, co by się działo, gdyby można było cofnąć czas. A poza tym nie da się go cofnąć. Żyjemy tylko teraz, więc jeśli nie chcesz żyć teraz, to równie dobrze mógłbyś leżeć w grobie ze swoją zmarłą żoną i nie narodzonym dzieckiem.

Zdawało jej się, że już pogodziła się z tym, że utraciła Flynta. A jednak jego kolejne słowa zraniły ją jak nóż.

- Wybacz, Josie. Możesz mnie usprawiedliwiać na tysiące sposobów, to do mnie nie przemawia.

Zakręcił się na pięcie i podszedł do biurka, wyciągnął z szuflady książeczkę czekową profesjonalnych rozmiarów, chwycił pióro i wypełnił czek. Następnie wyrwał go i podał Josie.

- Tyle jestem ci winien. Wracaj do matki. Znajdź sobie przyzwoitego faceta i żyj spokojnie.

Josie wlepiła wzrok w czek, świadoma tego, że powinna była być przygotowana na podobne działania Flynta. A jednak ją zaskoczył. Owszem, wiedziała, że będzie ciężko. W głębi serca była jednak przekonana, że miłość zwycięży. Że wszystko zakończy się happy endem.

Flynt i Rose Wainwright, każde z osobna, nazwali ją naiwną. Teraz przekonała się, że mają rację. I poczuła, że zalewa ją fala czystej bezradności.

Flynt machnął jej czekiem przed nosem.

- Masz, weź to.

Rozpacz Josie graniczyła z furją.

- Tak po prostu?

- Josie...

- Mam tak po prostu wziąć czek, wyjść z pokoju, zabrać swoje rzeczy i wynieść się?

- Posłuchaj, sama wiesz, że to najlepsze rozwiązanie.

Historia się powtarza, pomyślała. I to bardzo dokładnie. Zwycięża poczucie winy. Flynt wręcza jej czek i pozbywa się jej. A może on

najzwyczajniej w świecie nie chce zapomnieć o tamtej tragedii? Za to ona nauczyła się czegoś od poprzedniego razu, kiedy ją odprawiał.

Nie, tym razem nie wymknie się jak jakiś przestępca, nie zgadza się dzielić jego poczucia winy. Jej sumienie jest czyste, jej jedyną zbrodnią jest miłość do Flynta.

Przybrał zbolaną minę. Wciąż trzymał wyciągniętą rękę z czekiem; zaczynało to już być śmieszne. W końcu położył czek na skraju biurka.

- Weź ten cholerny czek. To są pieniądze, które zarobiłaś swoją pracą. Płacę ci tylko za pracę, rozliczam się z tobą.

- Nie - sprzeciwiła się głośno i wyraźnie. Flynt spojrział rozniewany.

- Nie ma sensu tego przeciągać. Powiedziałem ci, że nam się nie uda, żebyś...

- A ja mówię nie. Jeszcze nie. Nie chodzi tylko o nas. Chyba o czymś zapomniałeś. Trzeba też myśleć o Lenie.

- Lena - powtórzył, jakby nie wiedział, do czego zmierza Josie.

Wy tłumaczyła mu zatem:

- Lena potrzebuje opieki, nawet jeśli nie jest naszą córką, co najmniej do czasu, kiedy znajdą się jej prawdziwi rodzice.

- Wiem o tym.

- O, to miłe. Czyli nie masz zamiaru wsadzić ją znowu w fotelik i porzucić na polu golfowym, żeby znalazł ją ktoś inny?

- Jasne, że nie. Rozmawiałem już z opieką społeczną. Lena zostanie tu, dopóki nie odzujemy jej rodziców.

- Świetnie. Czyli będziesz musiał zatrudnić nową nianię.

Flynt spojrział na nią z ukosa.- Tak, i co z tego?

- A to, że zostanę tu do tego czasu, i nie patrz tak na mnie. Nie knuję kolejnego spisku, żeby cię zdobyć, nie chwytam się ostatniej deski ratunku. Zrozumiałam jasno, co mi powiedziałaś. Już nie będę cię ścigać. Ale nie ucieknę stąd jak złodziej. A ty przestajesz dla mnie istnieć. Mam tylko jedną prośbę: żebyś udawał, że mnie nie dostrzegasz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- I co teraz? - spytał Tyler.

Zawiązał mocniej ręcznik wokół bioder i oparł głowę o kobaltowe kafle męskiej łazienki.

Flynt wycierał wilgotną twarz. Doszedł do wniosku, że czas zwołać kolegów na naradę, przynajmniej tych, którzy byli dostępni, czyli Tylera, Spence'a i Michaela. Luke wciąż przebywał diabli wiedzą gdzie.

- Na początek proponuję - zaczął Flynt - żebyście zrobili wszyscy badanie krwi. - Zmrużył oczy, patrząc na nich przez chmurę pary. - Skontaktujcie się z Elizą Guzman, ona zajmuje się sprawą Leny i pomoże zorganizować to badanie.

Spence pokiwał potakująco głową.

- Eliza Guzman. Zapamiętam. Tyler i Michael przytaknęli zgodnie.

- A co z Lukiem? Ktoś go w ogóle widział? Mężczyźni wymienili spojrzenia i pokręcili przecząco głowami.

- W ostatnią niedzielę byłem w klubie tylko ze Spence'em, Luke nie pokazał się - odezwał się Tyler, marszcząc brwi z udawanym gniewem. - Przez ciebie straciliśmy dodatkowe pół godziny, żeby znaleźć dwóch graczy.

- Przepraszam. - Flynt odwrócił wzrok.

Nie miał ochoty wracać myślą do poprzedniej niedzieli, kiedy to udał się do kościoła z Josie i Leną. Do niedzieli, kiedy był jeszcze szczęśliwym człowiekiem.

- A co z dzieckiem? - zainteresował się Spence.

- Na razie zostało na ranczu. - Flynt wsunął palce w mokre włosy. - Uznaliśmy, że to najlepsze rozwiązanie, żeby mała nie przeżyła kolejnego szoku, związanego ze zmianą miejsca.

Josie też pozostawała w dalszym ciągu na ranczu i zgodnie ze swoim życzeniem, opiekowała się Leną. Dotrzymała słowa i trzymała się z daleka od Flynta. Wychodziła z pokoju dziecięcego, kiedy on tam wchodził. Odzywała się do niego tylko wówczas, gdy było to absolutnie nie do uniknięcia, mówiąc jedynie: „Tu jest butelka” albo „Wezwij mnie dzwonkiem, jak będziesz wychodził”.

Trzeba przyznać, że ta sytuacja doprowadzała go do szału. Josie była tak blisko, a jednocześnie kompletnie poza jego zasięgiem. Jakoś dawał sobie z tym radę. W końcu minęły dopiero trzy dni od ich konfrontacji w jego gabinecie.

Tyle że odnosił wrażenie, że te trzy dni to wieczność.

Grace zajęła się tymczasem poszukiwaniem nowej niani. Okazało się, że znalezienie dobrej opiekunki do dziecka wcale nie jest takie proste. Tak przynajmniej utrzymywała Grace.

Flynt był pewny, że nie będzie się to ciągnęło w nieskończoność, że Grace wreszcie kogoś znajdzie. Wtedy Josie wyniesie się, a on... cóż, nie uwolni się od niej całkowicie. Na to trzeba czasu, i to sporo.

Do diabła, mówiąc szczerze powinien przyznać, że to nigdy nie

nastąpi. Zyska tyle, że nie będzie codziennie jej widywał, ona zaś nie będzie mijala go jak powietrze. Nie będzie skręcał się z beznadziejnej tęsknoty dzień po dniu, godzina po godzinie, ani stawiał czoła faktowi, że Josie nie zmieni swojego postanowienia, nawet jeśli on straci nad sobą panowanie.

Stała się jego kategorycznym przeciwnikiem. Dawała temu wyraz w swojej zdecydowanej postawie, w tonie głosu, chłodnym i obojętnym, gdy sytuacja kazała jej odezwać się do niego. Odcięła się od niego w sposób zasadniczy i niezmienny.

Odczytywał tę stratę jak bolesną dziurę w samym środku swojego organizmu.

- Jeśli nie zaczniemy działać, ta mała będzie już chodzić i mówić, nim dowiemy się, czyim jest dzieckiem - odezwał się Michael.

- Rozmawiałem przedwczoraj z Hartem O'Brienem z policji. - oznajmił Flynt. - Krótko i rzeczowo. Powiedział, że się wycofuje, że teraz śledztwo przejmuje całkowicie biuro szeryfa. No i że skoro badanie wyklucza moje ojcostwo, szeryf wkrótce skontaktuje się z wami.

- Super - rzekł Michael. - A co to znaczy? Spence zdusił śmiech.

- To znaczy, że sprawa jest wciąż otwarta i mogą nas wezwać, kiedy zechcą z nami pogadać.

Michael starł ręcznikiem pot z czoła.

- Może powinniśmy trochę pomóc. Spence pokiwał głową.

- Masz rację. Sami musimy znaleźć kogoś, kto się tym zajmie.

- Może Ben Ashton? - zasugerował Tyler.

- Ten prywatny detektyw? To dobry gość - rzekł Spence. -

Zadzwoń do niego? Zająłby się naszymi testami na ojcostwo, zamiast

tej opiekunki społecznej.

Koledzy wymienili spojrzenia, potem Flynt skinął głową.

- No to do dzieła.

- Skoczyłbym na drinka - oznajmił Tyler, kiedy już wzięli prysznic i ubrali się. - Co wy na to?

Flynt powinien się wymówić. Ale w końcu dlaczego? Był czwartek, wpół do szóstej po południu. Nie miał żadnych planów na kolację ani nic do roboty w domu.

Tam przebywała Josie.

Wybrał się zatem z kumplami do baru na parterze klubu i zamówił jak zwykle wodę, mimo że bardzo kusiło go, żeby złamać dane sobie słowo.

Zresztą nie pierwszy raz go to kusiło. Przez kilka minionych dni odczuwał wielką ochotę na dobrego mocnego drinka. To pragnienie pojawiała się z dużą częstotliwością. Bez przerwy myślał o Josie i to sprawiało mu ból. A kiedy coś boli, chce się ten ból zabić.

Flynt znał na to lekarstwo. Było w butelce.

Udało mu się na razie zachować trzeźwość, ale każdego dnia, gdy z konieczności widywał Josie i nie mógł jej dotknąć ani z nią porozmawiać, poważnie zastanawiał się - coraz częściej i coraz poważniej - jaka to właściwie różnica, czy jest trzeźwy, czy też nie.

Harvey zatrzymał się przy ich stoliku i wdziękzył się do nich przez chwilę. Potem coś wydarzyło się na stanowisku kelnerki. Ta mała ruda Erica rzuciła się na Daisy Parker, nową ciemnooką blondynkę. Kilka pełnych kieliszków wylądowało na podłodze, szkło potłukło się, alkohol wsiąkał szybko w dywan. Erica wyglądała tak, jakby chciała wyłupić

blondynce oczy. A blondynka bynajmniej nie była jej dłużna. Daisy Parker nie dała sobie w kaszę dmuchać.

Harvey interweniował czym prędzej, nim kobiety posunęły się za daleko. Wyprowadził je obie z sali, zapewne po to, żeby natrzeć im uszu w swoim gabinecie. Mniej więcej dwadzieścia minut później wszyscy troje powrócili na salę. Kelnerki wróciły do pracy, Harvey pospieszył przywitać kolejną grupę mężczyzn, którzy właśnie zjawili się w barze.

Flynt rozważał przez chwilę, czy nie przywołać Harveya i nie poinformować go o tym, co Josie widziała w piątek, a co dotyczyło rudowłosej Eriki i Franka Del Brio. Ale co wtedy? Erica i tak straciła łaski Harveya po scenie z Daisy Parker. Gdyby Flynt dorzucił jeszcze swoje informacje, bez wątpienia straciłaby pracę.

A co mówiła mu Josie?

„Nawet zła dziewczyna musi jeść...”

Czuł, że uśmiech unosi mu kąciki ust. W piątkowy wieczór siedzieli w Sakwie, trzymając się za ręce. Josie nachyliła się ku niemu i uparcie powtarzała, że nie chce, by Erica Clawson wyleciała z pracy.

Potem z szafy grającej popłynął sentymentalny utwór, Flynt wziął Josie w ramiona...

Spence szturchnął go łokciem w zębra.

Flynt otrząsnął się.

- Taa?

Spence przybliżył się i skinął głową w kierunku Daisy Parker.

- Nie wydaje ci się znajoma?

Nim Flynt odpowiedział, podeszła do nich jedna z kelnerek i spytała, czy są gotowi na drugą rundkę.

A gdy oddaliła się od ich stolika, podszedł do nich z kolei James Campbell, miejscowy adwokat. Dwa tygodnie wcześniej został szczęśliwym żonkosiem.- Gratulacje, chłopie - rzekł Tyler.

- Klapnij - zaproponował Spence.
- Czemu nie? Mam chwilkę na drinka.

James Campbell zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Wróciła kelnerka. Flynt sącył swoją wodę mineralną, odpowiadał na pytania i starał się odepchnąć spod powiek obraz twarzy Josie, wyrzucić z uszu jej głos...

Tuż po piątej Josie wróciła na ranczo po codziennej wizycie u matki. Grace siedziała na fotelu bujanym i karmiła Lenę z butelki.

Podniosła na Josie wzrok.

- O, jesteś już. - Uśmiechnęła się ciepłym, życzliwym uśmiechem.
- Nasze maleństwo ma ogromny apetyt.
- To prawda. Jak poszły dzisiaj rozmowy?
- No cóż, nie widziałam dzisiaj żadnej dobrej kandydatki. Te dwie, które przysłała agencja... Cóż, jedna była potwornie nadaśana, a druga znowu strasznie sztywna. Jak ktoś sztywny i złośliwy może opiekować się naszą Leną?

Josie wiedziała już, co usłyszy dalej.

- Grace, musimy porozmawiać.
- Tak, moja droga?
- Przecież wiesz, że Flynt chce, żebym się stąd wyniosła.

Grace zmarszczyła czoło.- Obie wiemy, że to nieprawda. Mój syn...

- Grace. - Josie przeszła przez pokój i przyklękła obok Grace i dziecka. - Wysłuchaj mnie.

Grace zrobiła skupioną minę.

- Oczywiście.

- Bardzo mi przykro, że tak się stało, uwierz mi. Kolejna zmarszczka rozdzieliła brwi Grace.

- Och, daj spokój. Nie masz za co przepraszać. Jeśli już ktoś powinien przepraszać, to raczej ja. Osądziłam cię niesprawiedliwie. No i zachowałam się jak snobka.

Josie czuła, że jeszcze chwila i łzy popłyną jej po twarzy. Położyła rękę na dłoni Grace.

- Ale poradziłyśmy sobie z tym.

- Tak.

- I wtedy, gdy przywykłaś do myśli, że będziemy z Flyntem razem, wszystko się skończyło.

- Może za wcześnie na tak pochopne sądy.

- Grace, to koniec. Zapewniam cię. Przecież wiesz, że on sądził, że jestem matką Leny? Że Lena jest jego córką?

Policzek Grace pokrył słaby rumieniec. Spuściła wzrok na dziecko.

- Domyśliliśmy się z Fordem wszystkiego. Rok temu zniknęłaś bez słowa, bo coś się wydarzyło między tobą i Flyntem.

- Masz rację. Coś się wydarzyło. Grace spojrzała na nią.

- Tak myślałam.- Ale nie urodziłam Leny. To nie moje dziecko.

Ani Flynta.

Grace westchnęła.

- Tak, wiem, Flynt powiedział mi wszystko o tych badaniach.

Muszę przyznać, że jestem rozczarowana. - Popatrzyła znowu z miłością na Lenę. - Niczego tak nie pragnę, jak żeby ta mała nazywała mnie

babcią.

- Wiem. Ale to nie twoja wnuczka, to nie jest córka Flynta. No i prawdę mówiąc, Flynt poślubiłby mnie wyłącznie z jej powodu.

Teraz Grace zdenerwowała się.

- No nie, to śmieszne. - Podkreśliła swoje słowa tak mocno, że Lena wypuściła smoczek butelki i popatrzyła na nią wystraszonym wzrokiem. - Och! - ciągnęła Grace. - No już, przepraszam. - Wsadziła smoka na powrót do buzi dziewczynki, a Lena się uspokoiła. Grace podjęła ciszej, choć wciąż z poprzednim przejęciem. - To czysty idiotyzm. Oczywiście, czasami się myślę, ale znam swojego syna dość dobrze. Flynt cię pokochał. Widziałam was razem. I wiem, że ty także go kochasz.

- Nie chodzi o miłość.

- No to reszta się ułoży. Zobaczysz.

- Nie, Grace. Nic się nie ułoży.

- Ale...

- Proszę. Nie mam prawa mówić nic więcej. Mogę tylko zapewnić cię jeszcze raz, że między mną i Flyntem definitywnie skończone. - Josie delikatnie dotknęła brwi Leny, musnęła jej miękkie jak puch kosmyki. - Zostałam wyłącznie z poczucia odpowiedzialności wobec tego dziecka, ponieważ nie chciałam zachować się tak jak rok temu: ulotnić się bez uprzedzenia. Chciałam dać wam kilka dni, żebyście znaleźli kogoś, kto by mnie zastąpił. Ale widzę, Grace, że ty wcale nie szukasz mojej następczyni. Grace?

Grace uciekła wzrokiem.

Josie ponowiła pytanie.

- Szukasz?

Grace spojrzała jej prosto w oczy.

- No dobrze. Nie, nie szukam. Miałam nadzieję... Myślałam, że czas pomoże wam...

- Wybacz. Czas nic tu nie zmieni. To już koniec, Grace. Chcę wracać do domu. Flynt też chce, żebym wróciła do domu. Będzie mi ciebie brakować, ale tak musi być.

Grace przez dłuższą chwilę nie spuszczała z niej wzroku, jej niebieskie oczy zaszkliły się tłumionymi łzami.

- Byłabyś dla niego idealną żoną. Byłam taka szczęśliwa przez kilka dni, tak się cieszyłam, że to się wreszcie stało, że Flynt zakochał się. Życie dało mu się we znaki. Szkoda, że nie znałaś go, kiedy był dzieckiem. Był słodkim, beztroskim chłopcem. Ale potem pojawiły się problemy.

- Wiem, przykro mi.- On potrzebuje takiej żony jak ty, taką kobietę powinien był poślubić.

Josie uśmiechnęła się mimowolnie.

- Kiedy spotkał Monice, miałam dopiero piętnaście lat, a Carsonowie i Lavenderowie nie należą do tych samych kręgów. To się nie mogło zdarzyć.

- A powinno, i nie rób tego, Josie.

- Czego?

- Daj mi kolejną lekcję na temat słowa „powinno”. Wiem, że masz rację, chociaż bardzo mnie to boli. No dobrze, nie będę cię zatrzymywać, skoro musisz odejść.

- Więc postarasz się wkrótce znaleźć kogoś na moje miejsce?

Grace balansowała butelką i ukradkiem przełknęła łyżę.

- Widziałaś przecież, że dla pozorów przeprowadziłam kilka rozmów.
- Tak, zauważyłam.
- Sądzę, że jedna z tych kobiet będzie się ewentualnie nadawała.

Przedzwonię do niej i zapytam, czy może zacząć od jutra.

- Grace, będę za tobą tęsknić. - Josie podniosła się z dywanu.

Grace także wstała, uważając na swój delikatny ciężar.

- Przecież nie staniemy się sobie nagle obce.

To było bardzo miłe. Josie miała jednak świadomość, że jej dalsza przyjaźń z Grace jest niemożliwa. Flynt życzył sobie, by zniknęła z jego życia. Nie chciał jej więcej widzieć. Rozumiała go doskonale, ponieważ czuła dokładnie to samo. Jego bliskość najzwyczajniej w świecie raniła.

- Weź tego aniołka, dobrze? Ja pójdę zadzwonić - poprosiła Grace.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następnego dnia Josie opuściła ranczo Carsonów.

Do drugiej po południu wprowadzała swoją następczynię w jej obowiązki, a następnie udała się do niedużego żółtego domu, gdzie mieszkała jej matka. Włożyła swoje ubrania do starej komody i podłączyła komputer. Potem poszła do kawiarni Mission Creek, by dowiedzieć się, czy ma szansę na powrót do poprzedniej pracy.

Gus Andros zatrudnił ją na poczekaniu.

- Zaczynasz od jutra, zmiana od siódmej do trzeciej.
- Dobrze, przyjdę.

W drodze do domu kupiła pizzę, którą zjadła na spółkę z mamą,

oglądając ulubiony serial Alvy.

- Dasz sobie radę? - spytała łagodnie Alva po zakończeniu programu.

- Mamo, to boli, bardzo boli. Ale dam sobie radę.

Zaglądał do pokoju Leny w piątkowy wieczór, Flynt zastał tam nową nianię. Nie był zresztą zaskoczony. Grace poinformowała go wcześniej, że zatrudniła nową opiekunkę do dziecka.

- Jest pogodna i troskliwa, ma też znakomite referencje.

Oczywiście, daleko jej do Josie, ale to chyba naturalne.

- Świetnie, mam, dziękuję.

Grace była na niego zła i musiała dać temu wyraz.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Odrzuciłeś najlepszą rzecz, jaka...

- Mamo, nie zaczynaj znowu.

Grace ściągnęła usta i wbiła w niego wzrok, w każdym razie na szczęście zamilkła.

W piątkowy wieczór Flynt wymienił grzeczności z nową nianią i zaproponował jej, żeby odpoczęła sobie godzinę lub dwie, a on tymczasem posiedzi z Leną.

Nakarmił dziewczynkę, zmienił jej pieluszkę i opowiedział głupią bajkę. Lena, rzecz jasna, nic nie zrozumiała, i wcale nie o to mu chodziło. Patrząc na jej radosną buzię i wymachujące bez przerwy rączki, poczuł się raźniej. Mógłby tak obserwować ją bez końca. Przez chwilę, tuląc Lenę, zapomniał nawet, że Josie odeszła i już nie wróci.

O siódmej przekazał Lenę pod opiekę niani i zszedł na dół do głównej części domu, gdzie zjadł kolację z rodzicami, Carą i Mattem.

Fiona fruwała gdzieś, zapewne po raz enty pakując się w jakieś tarapaty.

Atmosfera przy kolacji nie była zbyt przyjemna. Rodzice i Carą wyraźnie mieli mu za złe. Josie rzuciła na nich swój czar, a oni zaakceptowali ją w pełni i zaczęli traktować jak członka rodziny. Teraz stracili ją po raz drugi. Wiedzieli też, że stało się tak z winy Flynta, chociaż nie znali wszystkich szczegółów tej sprawy.

Matt zachowywał się znacznie bardziej wrogo niż pozostali członkowie rodziny. Coś go dręczyło, i to już od pewnego czasu. Tego wieczoru otwarcie wypowiedział bratu wojnę.

Ledwie zasiedli do stołu, Matt rzucił:

- Słyszałem, że Josie odeszła.

Flynt skinął głową z obojętnym wyrazem twarzy.

- To prawda.

- Zdawało mi się, że coś was łączy. Flynt nie dał się wciągnąć w dyskusję.

- Ona odeszła, dla ciebie tylko ta informacja jest istotna. Możesz mi podać sól?

Matt mruknął coś tak cicho, że Flynt nie zrozumiał jego słów, po czym szurnął solniczkę w kierunku brata.

Flynt tego nie pojmował, ostatecznie Matt prawie nie znał Josie. Czemu się tak wścieka, do diabła, że nie wyszło jej z jego bratem?

Tak, Matt po prostu kipiał ze złości.

I postanowił wylać swoją złość na Flynta, niezależnie od tego, co naprawdę za nią stało.

Zaczął od skarg - na jakąś umowę w sprawie ziemi, w którą wpakował ich Flynt, a która nie spełniła ich oczekiwań. Na jakieś

cholerne polecenia w sprawie karmienia zwierząt.

Flynt słuchał z zaciśniętymi zębami.

W końcu zwrócił się do matki:

- Doskonała kolacja, mamó. Dziękuję. - Rzucił serwetkę na stół i czym prędzej opuścił jadalnię.

Wyciągnął z tego doświadczenia pewien wniosek. Zazwyczaj jadał z rodziną dwa, trzy razy w tygodniu, nigdy częściej. Teraz postanowił unikać spotkań przy stole. Żadnych rodzinnych obiadków czy herbatek. A wszystko po to, żeby jego bliscy - i on sam także - mieli czas przywyknąć do nieobecności Josie.

W sobotę zjadł kolację w klubie. Na górze mieściły się pokoje hotelowe dla członków klubu oraz gości. Flynt spędził noc w jednym z tamtejszych pokoi. Następnego ranka niecierpliwie oczekiwał swoich partnerów od golfa: Tylera, Spence'a i Luke'a. I znowu zabrakło tego ostatniego. Pojawił się za to Michael.

Flynt grał fatalnie, z wielkim trudem przychodziło mu skupić się na grze.

Później zjadł z przyjaciółmi lunch w Men's Grillu. Spence poinformował ich, że zatrudnił Bena Ashtona i że za dwa tygodnie należy oczekiwać pierwszego raportu owego prywatnego detektywa.

Po lunchu Flynt pojechał na ranczo, nie łudząc się bynajmniej, że zostanie gorąco powitany. Jedynie Lena ucieszyła się na jego widok. Wykrzywiła buzię w uśmiechach, machała przyjaźnie pulchną rączką, kompletnie nieświadoma, że poza nią nikt inny w tym domu nie chce mieć z Flyntem nic do czynienia.

A niech tam, myślał. Niech się wściekają, przecież go to nie zabije.

Co innego utrata Josie. Całymi dniami myślał tylko o niej.

A w nocy było jeszcze gorzej.

Okolo czwartej siedział w swoim gabinecie, sprawdzając kilka rachunków. Matt zadzwonił do niego na wewnętrzną linię.

- Chcę pogadać - oznajmił.

- Dobra, pogadajmy.

W słuchawce popłynęła lawina skarg. Niezliczona ilość zażaleń. Kłopoty z programem hodowli, połamane ogrodzenie, a dokładniej całe kilometry zniszczonych ogrodzeń, pracownicy, którzy upijają się i nie przychodzą do pracy.

Krótko mówiąc nic nowego.

Tylko nie wiadomo dlaczego Matt obarczał Flynta winą za wszystkie te nieszczęścia.

- Co cię właściwie gryzie, co? - warknął w końcu Flynt do słuchawki.

Matt zaklął i rozłączył się.

Flynt bardzo ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki. Miał wielką ochotę coś potłuc. Miał też ogromną chęć napić się.

A najbardziej ze wszystkiego pragnął Josie.

Niestety, było to niemożliwe. Postanowił zatem zwinąć się z domu. Przeniósł się z powrotem do klubu, zjadł kolację w Men's Grillu i spędził kolejną noc w jednym z apartamentów na piętrze.

W poniedziałkowy rano stwierdził, że nie będzie się męczył w klubie tylko dlatego, że czeka go rozprawa z bratem. Pojechał zatem do domu i zatonął w pracy, kiedy do drzwi gabinetu zastukała matka.

Weszła do środka i stanęła na wprost biurka. Patrzyła na niego

swoim ciepłym i bardzo pojednawczym wzrokiem.

- Flynt, wszystkim nam brakuje Josie. Jakby jemu jej nie brakowało.

- Przyjmuję to do wiadomości.

- Wszyscy widzieliśmy, że bardzo się kochacie. Uważamy, że to jakiś nonsens, żebyście nie byli w stanie dojść do porozumienia.

Urwała, czekając, czy syn ma coś do powiedzenia. A właśnie, że nic nie powiem, uparł się Flynt. W końcu Grace westchnęła głęboko i podjęła wątek:

- Ale nie chcemy też, żeby ta sprawa nas poróżniła. Spróbujmy jakoś żyć zgodnie obok siebie.

- Staram się, mamó. Więcej, do diabła, nie mogę.

- Zjedz z nami dzisiaj kolację, proszę cię.

Powinien jej odmówić. Nie potrafił, niestety, odmawiać własnej matce, kiedy patrzyła na niego tak błagalnie.

- Dobrze, przyjdę.

Grace podziękowała mu i wyszła. Tego wieczoru obie siostry, Cara i Fiona, jadły kolację poza domem. Przy stole zasiedli zatem we czwórkę: Ford, Grace, Matt i Flynt.

Rodzice nie szczędzili wysiłków, żeby ten czas minął znośnie. Rozmawiali o pogodzie, o nowej inwestycji w Corpus Christi. Matt marszczył brwi, patrzył spode łba i mamrotał pod nosem jednosylabowe odpowiedzi, gdy ktoś zwracał się do niego z jakimś pytaniem. Flynt unikał zwady, jak mógł.

I tak zjedli zupę i sałatkę. Następnie służąca postawiła przed nimi talerze ze stekami. Matt podniósł głowę i spytał:

- To co, panie prezesie, zamierza pan spędzić resztę życia w klubie? Kombinując i ćwicząc rzut do dołka? A może od czasu do czasu pomógłby pan trochę w tej cholernej robocie?

To przelało miarkę. I to sporo.

Flynt zrzucił serwetkę i poderwał się z krzesła.

- Chcesz się bić, Matt?

Grace wydała stłumiony okrzyk. Flynt nie zwrócił na nią uwagi.

- O to właśnie ci chodzi?

Matt szurnął swoje krzesło do tyłu.

- Chłopcy, dajcie spokój - zaczął pojednawczo Ford.

Flynt prawie go nie słyszał. „Dajcie spokój, chłopcy” nie wystarczyło już, by go powstrzymać. Krew się w nim zagotowała.

- No proszę. Jestem gotowy, jeśli sobie życzysz.

- Tylko nie w tym domu! - zawołała Grace, ale jej dwóch synów już wyszło z za stołu.

Matt zaatakował pierwszy. Flynt pochylił się, waląc go w brzuch głową. Matt Stęknął głośno i chwycił Flynta w pól.

Znaleźli się na dywanie, kotłowali się, wymieniali ciosy, wpadali na meble, a kruche lampy i wazony leciały z trzaskiem na podłogę.

W pewnej chwili Matt znalazł się na górze. Siedział na Flyncie, pochylony nad nim, wbijając w niego wzrok.

- Ty durniu, ty skończony durniu. Masz wszystko, co najlepsze, i sam to odrzucasz. Wiesz, co stoi między tobą i twoją miłością? Ty, tylko ty. Oddałbym prawą rękę, żeby znaleźć się na twoim miejscu. Ja bym nie...

Flynt nie mógł tego dłużej słuchać, przede wszystkim dlatego, że

była to prawda. Dźwignął do góry środkową część ciała, a Matt przechylił się i znowu turlali się po podłodze.

Ford i Grace wykrzykiwali na zmianę:

- Przestańcie!
- W tej chwili się uspokójkcie!

Tym razem Flynt zdobył pozycję na górze i zaserwował bratu dwa potężne ciosy, z lewej i z prawej; Matt jęknął głucho. Miał krew na twarzy i we włosach^ na skutek ciosów Flynta i turlania się po rozbitej porcelanie. Flynt miał świadomość, że wygląda podobnie. I wcale się tym nie przejmował.

Nic go nie obchodziło. Liczył się tylko on i jego przeciwnik. I następny cios.

Uniósł pięść, by uderzyć po raz kolejny. W tej samej chwili czyjeś silne ręce powstrzymały go.

Ktoś wybiegł z jadalni i wołał o pomoc.

- Spokój, spokój - powtarzał któryś z robotników rolnych.

Dopiero trzech robotnicy zdołali odciągnąć Flynta. Dwaj następni trzymali Matta, żeby nie rzucił się na brata w dzikim szale.

Ford stanął między nimi.

- W porządku, chłopcy. Zabawiliście się. A teraz koniec. Ma być spokój.

Matt i Flynt zgodzili się zapłacić za potłuczoną porcelanę i szkło.

Matt przyznał, że jest ostatnio zdenerwowany. Flynt przyjął jego przeprosiny. Emocje walki mieli już za sobą. Teraz nadszedł czas refleksji, kiedy człowiek zastanawia się, o co w sumie toczyła się ta wojna, która pozostawiła za sobą kurz i pył zgliszczy.

Grace chciała zagonić obu synów do łazienki przy kuchni i opatrzyć ich rany, tak jak robiła to, kiedy byli mali.

Flynt pokręcił głową.

- Dzięki, mamó. - Rozejrzał się po polu bitwy, szacując straty. - Strasznie mi przykro. - To nic - powiedziała Grace. - To tylko przedmioty.

Flynt przeprosił i wyszedł, po schodach udał się do swojej części domu. Powinien teraz zrobić tak: zrzucić ubranie i wejść pod prysznic. On tymczasem skierował się do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Następnie wyjął z biurka klucz i podszedł z nim do szafki. Tam właśnie trzymał whisky. Okazjonalnie częstował nią gościa, który wyraził chęć wypicia drinka.

Teraz nie miał spotkania ani gości. Był sam. Towarzyszyła mu tylko szarość bitewnego kurzu.

Był sam i uznał w końcu, że wystarczająco długo toczył ze sobą tę walkę. Że jest śmiertelnie zmęczony, po prostu wykończony walką ze swoim bratem i ze swoimi myślami. I że cholernie chce mu się pić.

Zasłużył sobie na jeden cholerny kieliszek.

Wsadził klucz do zamka i przekręcił. Drzwi szafki otworzyły się, stała przed nim butelka Chivas. Sięgnął po nią i wziął niską szklanę z półki. Nalał na trzy palce, po czym dolał jeszcze.

- Na dokładkę - powiedział na głos do pogrążonego w ciszy gabinetu.

Nikt mu nie odpowiedział.

Co za zaskoczenie.

Odstawił butelkę do szafki i podniósł szklanę do ust. Zapach

alkoholu wypełnił mu nozdrza, był silny i słodki, i obiecywał przyjemność, owo powolne odpływanie, które prowadzi do jakże miłego zapomnienia.

Przytknął szkło do warg.

I równocześnie usłyszał głos swojego brata.

„Ty durniu, ty skończony durniu...”

Zamrugnął powiekami, odstawił szklanekę dość blisko, żeby mieć ją na oku.

Twarz Josie.

Taa. Widział ją. Patrzyła na niego tak jak półtora roku temu, tamtego ranka, kiedy chlusnęła w niego wiadrzem lodowatej wody i wykrzyczała mu w twarz, że chowa się przed życiem i zalewa swoje poczucie winy alkoholem.

Zamrugnął jeszcze raz.

Jej twarz zniknęła.

Wciąż jednak miał przed sobą bursztynową toń.

Więc znowu znalazł się w tym samym punkcie? Zacznie przepijać swoje życie, żeby nie widzieć cholernego bajzlu, który sam zrobił?

Co to ona mu powiedziała tydzień temu? Kiedy twierdził, że nie chce jej już widzieć?

Aha, że nie można cofnąć czasu. Że istnieje tylko tu i teraz. Że jeśli nie będzie żył terażniejszością, to równie dobrze może położyć się obok swojej zmarłej żony i nie narodzonego dziecka.

Powiedziała, że pokochałby ją wyłącznie z obowiązku. I nazwała to złem.

Nagle nasunęło mu się pytanie, które przewróciło jego cały świat do

góry nogami. Jakie płyną stąd korzyści dla zmarłych? Co będzie miała Monica i jej dziecko z tego, że on rozpuści swoje życie w alkoholu? Że nikogo nie będzie kochał? Że nikomu nic nie da? Nie stworzy nowego życia?

Odstawił nietkniętą szklanę.

I pomyślał, że prawdopodobnie jest tylko jedna rzecz, którą możemy zrobić dla naszych bliskich, których już z nami nie ma - przeżyć dobrze i w pełni pozostałe dni.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Następnego dnia Flynt Carson poszedł szukać swej kobiety. Miał za sobą ciężką noc. Przewracał się z boku na bok, walcząc ze sobą, by nie ruszyć na poszukiwanie jeszcze przed świtem. Ale ostatecznie uprzytomnił sobie, że dość już nachodził się za nią po ciemku. Najwyższy czas, żeby zdeklarował się w pełnym świetle dnia.

Jedno tylko dręczyło go i gryzło, a mianowicie to, że Josie nie zechce dać mu jeszcze jednej szansy.

No i prawdę mówiąc, nie mógłby mieć jej tego za złe. Sporo przez niego wycierpiała i zdecydowanie zasługuje na kogoś lepszego niż on. A zatem odejdzie ze spuszczoną głową, jeśli Josie odeśle go do diabła.

Jakoś to może przeżyje. Nie może sobie jednak pozwolić, żeby stracić ją przez zaniechanie.

Zaczął od domu Alvy. Z walącym sercem i spoconymi dłońmi sterczał na ganku, czekając, aż ktoś odpowie na jego pukanie.

W końcu Alva otworzyła drzwi, spojrzała na niego przez zmrużone

oczy i powiedziała:

- Nie ma jej tu. Flynt nosił kapelusz tylko wtedy, gdy pracował z bratem na ranczu. Tego dnia miał ze sobą słomkowego resistola. Przeczuli, że będzie musiał zająć czymś ręce.

- Proszę, pani Lavender. - Przekręcił trzymany za rondo kapelusz. Każdym nerwem wołał imię Josie. - Wiem, że nie jestem godzien pani córki, ale ja ją kocham. Jeśli pani chce, może pani powiedzieć, że przejrzałem.

- Co się stało z pańską twarzą?

Wyglądał kiepsko, zgoda. Na szyi i na brodzie miał szramy od kotłowania się na podłodze po potłuczonym szkłe. Do tego straszyl podbitym okiem i guzem na szczycie prawego policzka.

- Zderzyłem się z drzwiami. Alva uśmiechnęła się.

- Chyba z podwójnymi.

- To prawda, proszę pani. Może były ich nawet trzy czy cztery pary. Zdaje się, że powinienem bardziej uważać.

Alva przyglądała mu się, jakby chciała się upewnić w jakiejś sprawie. Potem zaproponowała:

- Niech pan zajrzy do kawiarni.

W chwili, gdy Flynt wchodził do Mission Creek Cafe, Josie podawała właśnie grzanki i herbatę trzech słodkim kobietkom, które wpadały tu w każdy wtorek o dziesiątej. Mavis, Anna i Tildy Lee lubiły być obsługiwane przez Josie, która miała dla nich nieskończoną cierpliwość. Ze spokojem wysłuchiwała ich zamówień, choć za każdym razem parokrotnie je myliły i zmieniały.

- Nie, Anno, ta angielska mufinka jest dla mnie. Ty przecież

zamawiałaś z czarną borówką.

- Ależ nie, Tildy Lee. Ja prosiłam o angielską, a ty o grzanekę z białego chleba. A pieczywo na zakwasie jest dla Mavis.

Mavis zaświergotała z oburzenia.

- Ależ skąd! Ja nie jadam pieczywa na zakwasie. Ja go nie lubię.

- No to po co je zamówiłaś?

- Ja go nie zamówiłam.

- Mavis, dobrze wiesz, że to nieprawda.

Josie tkwiła przy ich stoliku, pozwalając im prowadzić tę dyskusję do wyczerpania argumentów. Poda im, co tylko sobie zażyczą, i cierpliwie pogodzi się z kolejnymi ewentualnymi zmianami. Odnosiła wrażenie, że będzie musiała zabrać pieczywo na zakwasie, być może także grzanekę. Jedno nie ulegało wątpliwości, że zarówno Tildy Lee, jak i Anna, chcą muffinki.

Otwierające się drzwi nie zwróciły specjalnie jej uwagi. Usłyszała za to dzwonek, który towarzyszył wejściu każdego nowego gościa. I od tej chwili przestała słyszeć cokolwiek.

Jakby świat zamilkł. Jakby wszyscy goście baru, może za wyjątkiem trzech kobietek, które sprzeczały się o muffinki i grzanki - zapatrzył się na nowego przybysza.

Ellie Switzer powiedziała jedynie:

- O rety.

Margie Dodd gwizdnęła:

- No no, kogo my tu mamy?

Josie odwróciła się, by przekonać się na własne oczy, co takiego wydarzyło się w drzwiach, i mało co nie wypuściła talerzy na podłogę.

- Ostrożnie, kochana - ostrzegła ją Tildy Lee.
- Ojej - zaświergotała Mavis z dziewczęcym chichotem.

Flynt!

Jej dumne serce wykrzykiwało niemo jego imię.

Wyglądał okropnie. Po prostu obraz nędzy i rozpaczy. Najwyraźniej wdał się w jakąś bójkę. Ruszył wprost do niej, a ona nie wiedziała, co robić.

Ma rzucić mu się w ramiona? Zwiewać, gdzie pieprz rośnie? Czy może nie dawać się i spytać go, czego tu szuka?

Ostatecznie nie ruszyła się z miejsca, chociaż nie był to raczej wybór, ale następstwo szoku.

- Josie - odezwał się Flynt, zbliżając się do niej. Stał na wprost Josie i patrzył na nią. Wymówił jej imię tak, jakby było synonimem świata.

Josie przełknęła głośno.

- Co? - Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. - Czego chcesz, Flynt?
- Ciebie - odparł łagodnie.

Miał ze sobą kapelusz. Nigdy nie widziała go w kapeluszu, ale teraz akurat miał go ze sobą. I ugniatał w dłoniach.

Josie znowu głośno przełknęła.

U jej boku stanęła Margie.

- Daj mi lepiej te talerze, co? - Odebrała jej talerzyki z grzanką i mufinką i postawiła je na brzegu stolika, przy którym siedziały trzy kobiety. Wszystkie trzy milczały teraz jak trąsiek. - Proszę się zdecydować - rozkazała im bezlitośnie.

- Tak, już - odparła Mavis. - To dla mnie proszę pieczywo na

zakwasie.

Z boku rozległ się głos Flynta:

- Josie, daj mi jeszcze jedną szansę. Tylko jedną. Nie pożałujesz.

Przysięgam.

Josie przypatrywała się Flyntowi. Kochała go nieprzytomnie.

Wiedziała dobrze, że jest stracona. Zastanawiała się, czemu los zrobił z niej taką kompletną idiotkę.

Wtedy Flynt padł przed nią na kolano. Ujął jej dłoń i pocałował ją. Nawet Margie wstrzymała oddech.

- Kocham cię, Josie. Jesteś jedyną kobietą, której pragnę. Byłem ślepy i głupi. Bardzo cię zraniłem. Wiem to wszystko. Nie zasługuję na ciebie, na twoją miłość. Ale niech to cholera, wypróbuj mnie jeszcze raz. Wyjdź za mnie. Wyjdź za mnie zaraz. Z oczu Josie popłynęły dwie bliźniacze łzy, spływając po policzkach.

- Och, Flynt, czemu ty mnie tak kręcisz? Flynt położył rękę na piersi.

- Czy to znaczy tak?

Josie przygryzła wargę, by powstrzymać potok łez. I skinęła głową. Flynt podniósł się, porwał ją na ręce i wyniósł z kawiarni.

Póki drzwi nie zatrzasnęły się za nimi, sala milczała. Potem Ellie wybuchnęła płaczem.

Gus podszedł do niej i krzyknął:

- Do roboty! Nie płacę za mazgajenie się. Margie Dodd zwróciła się z pytaniem do trzech kobietek:

- Zadowolone panie?

Tildy Lee odparła z westchnieniem pełnym najczystszej zachwyty:

- Och, tak, jesteśmy bardzo zadowolone. Ach, ta siła miłości!

EPILOG

Flynt nie rzucał słów na wiatr. Chciał, żeby pobrali się jak najszybciej. Grace z kolei nalegała na tradycyjny ślub i huczne wesele.

W końcu oboje zostali usatysfakcjonowani. Flynt pogadał z kim należy i zamówił salę balową klubu na najbliższą sobotę. Grace, Ford, Cara i Fiona zasiedli do telefonów. Josie wysłano z miejsca do „Salonu Mody” Margaret McKenzie po suknię ślubną. Zamówiono kwiaty, zespół muzyczny, zaplanowano menu. Wszystko w rekordowym tempie. Grace była w swoim żywiole. A Josie, oczywiście, nie zapomniała zaprosić na ślub swoich znajomych z Hurst i z Mission Creek Cafe.

W sobotę o pierwszej Josie i Flynt złożyli przysięgę małżeńską w First Church przed wielebnym Williamsem. Ceremonia była skromna, tylko w obecności najbliższej rodziny.

Za to przyjęcie w przestronnej sali balowej klubu Lone Star na długo zapadnie w pamięć wszystkich jego uczestników. Josie miała wrażenie, że do klubu ściągnął dosłownie cały stan.

Josie i Flynt pierwsi wyszli na parkiet, rozpoczynając bal. Tańczyli tylko oni dwoje, sunąc gładko po podłodze pod kryształowymi żyrandolami.

- O czym pani myśli, pani Carson? - zapytał Flynt, nachylając się

do jej ucha.

- Myślę, że może nie jestem jednak taka naiwna - szepnęła.

Flynt zaśmiał się i pocałował ją, wywołując ogólny aplauz i rumieniec swej młodej żony. A ona na chwilę zapomniała, że nie są tam sami.

Zostali na parkiecie, dopóki muzycy nie zrobili sobie pierwszej przerwy. Wtedy usiedli do stołu z Grace, Fordem i Alvą. Josie przeprosiła ich na moment i udała się do garderoby zarezerwowanej wyłącznie dla panny młodej.

Było to ładny nieduży pokój z szerokim, dobrze oświetlonym lustrem. Josie skorzystała z toalety i myła właśnie ręce nad marmurową umywalką, kiedy drzwi pokoju otworzyły się.

- Rose - zdumiała się.

Osuszyła ręce i pospieszyła do swojej sekretnej przyjaciółki. Kobiety uściskały się serdecznie. Rose mówiła szeptem:

- Słyszałam, że pobieracie się z Flyntem. Wainwrightowie nie zostali zaproszeni, oczywiście, ale nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie wpadła cichcem, żeby ci złożyć życzenia. Życzę ci miłości i szczęścia. I dużo radości. Zaslługujesz na wszystko, co najlepsze.

- Tak się cieszę, że cię widzę. - Josie wzięła przyjaciółkę za ramiona i trzymała ją tak, patrząc jej w oczy. Nie była zachwycona tym, co zobaczyła w oczach Rose.

- Rose, wszystko w porządku?

- Tak. Jestem tylko trochę zmęczona. - Odwróciła wzrok, potem wróciła spojrzeniem do Josie. - Zerwałam z Mattem.

Josie bardzo jej współczuła.

- Nie załamuj się. Na pewno wszystko jeszcze się ułoży. Widzisz, mnie się udało.

Rose zmusiła się do uśmiechu.

- Pozwól, że jeszcze raz cię uścisknę. Na szczęście. Uścisnęły się powtórnie, po czym Rose wysliznęła się po kryjomu. Josie opadła ciężko na tapicerowane krzesło, kręcąc głową i przeklinając ów odwieczny spór, który skłócił dwie rodziny. Potem pomalowała usta i wróciła do swojego męża.

Trzy godziny później stała u szczytu szerokich schodów prowadzących do części hotelowej klubu, z mężem u boku. Trzymała w dłoni bukiet z lilii i róż. Na dole stały wszystkie obecne panny i patrzyły w górę rozmarzonym wzrokiem.

Josie zlustrowała morze pełnych nadziei twarzy i na skraju tego tłumu wyłowiła jedną z nich. Uniosła pytająco brwi i uzyskała krótkie skinienie głowy w odpowiedzi.

Szerokim łukiem posłała swój ślubny bukiet w dół. Wszystkie panny podniosły spragnione ręce. Tymczasem bukiet minął je i poszybował dalej, wpadając w czekające ramiona szczupłej brunetki.- Mój Boże! - zawołał ktoś. - Widzieliście? To Rose Wainwright.

- Rose Wainwright - powtarzali ludzie.
- Rose. Widzieliście ją?
- Rose Wainwright złapała bukiet ślubny Carsonów.
- Jest tam, z tyłu.

Ale szczupłej brunetki już nie było.

- Powiedz mi, że mi się przywidziało - szepnął Flynt Josie do ucha.
- Chyba nie mogę ci tego powiedzieć. - Położyła dłonie na jego

piersi. - Bo ci się nie przywidziało.

Flynt zmarszczył czoło.

- Więc to była Rose Wainwright?

- Może.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- Obawiam się, że na razie tak. - Splotła ręce na jego karku.

- Co? - mruknął.

- Mam nadzieję, że mnie pocałujesz.

Powoli twarz Flynta rozciągnęła się w uśmiechu.

- Josie Carson, tego nie mogę ci odmówić.

scandalous